L. Kondratowicz.

WYBÓR
POEZYJ.

2

WYBÓR POEZYJ
LUDWIKA KONDRATOWICZA

WYBÓR POEZYJ KONDRATOWICZA.

WYBÓR POEZYJ

LUDWIKA KONDRATOWICZA

1823 w Smolhowie na Litwie

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

+1862 w Wilnie

WYDANIE NOWE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA.

TOM II.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Іюля 1889 года.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ I.

UTWORY EPICKIE.

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMEŃSKICH.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę,
Jako skrybowie i pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczém,
Skarżą się nieraz na brak żywéj treści:
Że w pięknéj Litwie śpiewać nie ma o czém,
Że im nie staje wątku do powieści.
O bracia moi! rówiennicy mili!
Za cóż swéj matce bluźnicie zuchwali?
Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głąb duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem wtórzyć pieśń żniwiarzy,
Albo powtarzać szczebiotanie ptasze,
I jęki nasze, i radości nasze,—
Jeśli już dla was nienowa nauka
Słuchać, jak serce waszych braci puka,—

To weźcie wszystko przeglądać na nowo
Przez drobne szkiełko, co mikroskop zową.
Połóżcie pod niém, co łaska i wola,
Główkę motyla lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola —
A rozpowiedzcie sumiennie a święcie
Blask każdéj barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu,
A pieśń już sama utworzy się snadnie —
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
Posłuchać pieśni, westchnąć po kryjomu;
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba z méj wieczerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła.
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
O twojéj doli, o rodzinnéj roli,
O twojéj siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptactwo przylatało w goście?
Jak na twój kiełek czerwonawo-blady
Działało słońce i rosa, i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z niebios na twe spustoszenie?
Czy sute były dożynki po żniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?

Za ile ziarnek ile dostał groszy,
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
Czyli na ołtarz zbytkowi i pysze?
I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?...
O zlepku żytni! okruszyno marna!
Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka!
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac, i chróściana chata!

III.

Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi,
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze.
A gdzie Bóg zsyła swojego anioła
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy;
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno boże wyciśnie na twarzy.
W marnéj okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty sakrament Ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmiasz duszę,

Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę,
W ziemskiego chleba malutkiéj okrusze
Całą jéj przeszłość wysnowywam snadnie,
Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jéj dzwonek, jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się,
Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa,
W dzień Przemienienia lub Najświętszéj Panny,
Z poblizkich wiosek lud boży zwoływa.
Śpieszy w kaplicę ciżba pracowita
Święcić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą,
A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklękły naród widzi rękę bożą,
Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
Święcone ziarno po zoranéj roli
Sypnie garściami na każdéj rozorze,
I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,

„Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
„Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
„Toż to się wianki kłosiane posplata!“
Święcone ziarno mieszając z umłotem,
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy,
Bo z dawna własnym użyźniał je potem;
Więc szczerém sercem odmawiał pacierze:
„Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!“
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyodział zieloną.

VI.

—„Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
„Za dobrą wróżbę plonów mojéj pracy!
„Niech traw zbożowych nie niszczą robacy,
„Ni grad, ni powódź, ni skwarna posucha!“
Szlachcic Łagoda, dzierżawca téj włości,
Klęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
Wznosił ku niebu i ręce, i oczy.
Powstał z modlitwy — i ujął ochoczy
Grubą czeczotkę, kapelusz ze słomy,
I poszedł daléj ścianką wedle gaju,
Wciąż błogosławiąc Dawcę urodzaju.
I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
Stary wesoło wypił miodu czarę,

Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie
I opowiada przypowieści stare;
I cały wieczór był rozpromieniony,
Tak go cieszyły przyszłoroczne plony.

VII.

Och! między chwilą zasiewu i zbioru
Jeszcze rok cały nadziei a troski.
Biedny dzierżawco ubogiego dworu!
Przeminął dla was ów wiek pradziadowski,
Że gdy na polu nie dopisze praca,
Inszym się kształtem rachunek opłaca:
Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów,
Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
Za nadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiéj braci;
A biada temu, kto czynszów nie płaci,
Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty!
A owych czynszów rachunek bez końca:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą,
Z którego pszczółki plastr miodu przyniosą,
Za przelew prawa do kmiecéj spółbraci
Tyle a tyle srebrników się płaci
Do rąk dziedzica.

Dziś drogie talary:
Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
Niech cię od nędzy sromotnéj wyzwoli
Garść drobnych ziarnek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
Jak gdyby szatą przyodział zieloną;
I przyszła zima, i latorośl żyta,
Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
Legła jak dziecię—spocząć snem kolebki;
A w trawce drzemie, nim je Pan Bóg zbudzi,
Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o swojéj czeladzi;
Pastwiska jego my jesteśmy trzodą.
Umocnić serce wcale nie zawadzi
Na wszelką dolę, mospanie Łagodo!
Zasiałeś niwę, modląc się pobożnie,
Bóg raczy wiedzieć, kto twą pracę pożnie.
Bogaty sąsiad, pan poblizkiéj włości,
Może już dawno chleba ci zazdrości;
Widząc ruń piękną w około twych chatek,
I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
Może już z panem poczynił umowy
I na twą wioskę wyliczył zadatek;
Trafił pochlebstwem do pychy magnata,
A sutym groszem do służalczéj zgrai,

Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,
Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie!
Ani się stary spostrzeże Łagoda,
Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
Tém właśnie dzielna probuje się głowa,
Kto zręczniéj szpony mordercze przychowa.
Biada prostakom!

X.

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie,
A chleborodném obdarzona życiem
Śpi trawka żytnia pod białém przykryciem.
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnéj treści wyssać z niéj nie może:
Z zimnem słowiańskiém obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na sile.
A słońce wyżéj, wyżéj się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwija się wężem strumyków tysiące,
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi,
I szumią gwarem wiosennéj powodzi
Nadbrzeżne błonia, zarośla i drzewa.
Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,

Rozbija lody, łamie i rozpryska;
Fala wyzuta z cieśni grobowiska,
Pląsa po nurtach wirowym obrotem.
Rybacy czółnem już po Niemnie płyną,
I śmiały sternik puszcza się z wiciną,
A z po nad czarnéj pooranéj roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha.
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli, —
A rolnik, pełen wesołego ducha,
Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana,
I z sercem pełném wiosennéj radości
Wita przybycie pożądanych gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzyć, nadziwować wiośnie,
Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie;
Patrząc z uśmiechem ku domowéj strzesie,
Najpierwszą dziatwie przylaszczkę przyniesie,
Wszystkim zwiastuje najwierniéj, najwcześniéj,
Powrot bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiéj nie pamięta
Wszystkie wesołe a doroczne święta:
Kiedy się święci chleb, ogień, czy woda,
Nikt lepiéj nie znał, jak stary Łagoda.
Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,

Co w nizkiéj izbie kołace u progu,
W noc Zmartwychwstania dwunastą wydzwoni,
Starzec powstaje i modli się Bogu;
A po nad rankiem, gdy cisza dokoła,
Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
Drżącemi piersmi, ile głos podoła,
On *Alleluja* radośnie wywodzi.
I wtedy starzec najszczęśliwszy z ludzi,
Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,
Kiedy obaczy, że wszyscy weseli,
Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
Kiedy mu życzą domownicy prości:
„Daj Boże za rok doczekać w radości!“

Tak rok po roku jakoś się wyprosił,
Jakoś wymodlił dla starego pana,
I radość była, bo ją w sercu nosił,
Złym sercom obca, zepsutym nieznana,—
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiécha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo;
Tego modlitwą niemożna uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą;
Jak długie lata żywota się liczą
Przechować serca niewinność dziewiczą.
Bo czyje oko choć raz się zaprószy,
Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i kmieci
Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci
Klęka na morgu, mówi pięć pacierzy,
Ogląda pola, czy urodzaj wróżą,
Potém sąsiedzi do kółka się zbiorą,
Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
Potém znów klękną modląc się z pokorą,
A w dobréj myśli, ze spokojną twarzą
Idą do domu, śpiewają i gwarzą.
— „Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
„Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
„Klękli się modlić—właśnie od ugoru
„Były zasiewki garsteczką święconą.
„Ja sam rzuciłem—tam wyborna skiba,
„Niedawna trzebież, to widać z daleka:
„A jużby Pan Bóg niełaskaw był chyba,
„Gdyby tam żyto nie wyrosło w człeka! —
Tak stary Szymom mówił do sąsiada
I nalał czarkę na trzecią już koléj:—
„Bądź zdrów, Macieju! niech marnie przepada,
„Kto nam źle życzy—niech sam zginie woléj!“
— „Bądź mi zdrów, kumie!“ — Maciej mu odpowie
Przyjmując czarkę, którą Szymon poda:—
„Za zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
„Niedarmo stary zowie się Łagoda;
„Łagodna dusza naszego paniska,
„Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
„Nie tak jak inszy, co drze i uciska,
„Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!

„U nas... grzech mówić... Tak, tak, panie kumie,
„Pan nas uważa za ludzi, za braci,
„Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,
„Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!
„Niech ze swéj dziatwy cieszy się radośnie,
„Niech zboże jego na las patrząc rośnie!“
— „Ej, szkoda tylko, że rośnie przy drodze:
„Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.
„Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,
„Tutejszą wioskę zagustował srodze.
„Zjedna dziedzica i nas zadzierżawi;
„To sztuczka kręta, o sobie pamięta,
„A w pańskim zamku na niego łaskawi
„Od leśniczego do plenipotenta.
„Daje pieniądze — alboż oni głupi?
„Dla czego nie brać, kiedy ktoś przekupi?
„A dla dziedzica... to niewielka szkoda,
„Że nas obedrą bez litości bożéj;
„Czy pan Zabora, albo pan Łagoda,
„Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożéj,
„Ten będzie siedział na dwornym zagonie.“
— „A w Imię Ojca i Syna i Ducha!—
Zakrzyknął Maciej:—Szymonie! Szymonie!
„Nie gadaj głośno — bo szatan podsłucha;
„A Bóg łaskawy strzegł nas do téj pory
„Od głodu, ognia i pana Zabory!
„Alboż nie słyszysz, jak jego poddani,
„Każdéj niedzieli gdy się w karczmie zbierzem,
„Z głodu wybladli, szmatami odziani,
„Sypią przekleństwem, jak żebrak pacierzem?
„Gdy nas Zaborze dola w ręce poda,
„Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.

„Posłuchaj kumie, wypijem po czarce,
„Niech z nami stary wiekuje Łagoda!“
Tak dwaj kmiotkowie, przy kielichu szczerzy,
Gwarzyli z sobą na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie, jak nikt nie pamięta.
Złoty urodzaj—święconych ziarn dzieło!
Pod koniec maja, na Zielone Święta
Zielone kłosie krasować poczęło;
Mży się jak fala polanka bogata,
Pył chleborodny jak dym nad nią lata,
W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,
Bo łaską bożą po nad kłosiem wieje.
Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem,
Będzie gaj żytni—to przypowieść znana.
Stary Łagodo! zkąd taka odmiana,
Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczém?
Poglądasz w koło tęsknemi oczyma,
Na uściech twoich uśmiech się nie trzyma?
Czemu najczęściéj zasklepiasz się doma?
A gdy cię kroki na pole powiodą,
Bywało z kwiatem, z grzybem lub z jagodą,
Teraz powracasz z pustemi rękoma?
Czemu w twém oku uśmiech coraz rzadszy,
Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
Ani cię polny urodzaj pocieszy,
Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta,
Ani śpiewanie pracowitéj rzeszy,
Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta.

Coś ci niemiło, niedobrze na świecie,
Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.
O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy,
Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą,
Bystry u niego, o! bystry wzrok duszy,
Jego przeczucia nigdy nie zawiodą.
Stary Łagoda, lubo już nie w porę,
Oczyma duszy przeniknął Zaborę.
Choć serce pełne prostoty gołębiéj
Myśl podejrzliwą jakby grzech odpycha,
Lecz robak w serce wgryza mu się głębiéj
I jak mól w drzewie wciąż kołata z cicha:
— „Ej, pękną twoje najdroższe nadzieje!
„Ej, praca życia marnie ci zmarnieje!...
„Dzisiaj zamożny i śpichrz, i stodoła,
„Jest coś i w trzosie—to krwawy pot czoła;
„Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
„Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
„Coś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
„Z pańskiemi sługi coś bardzo się brata.“
Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą.
Dokąd się stary obróci Łagoda?
Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
Nie szkoda zbiorów i dworku nie szkoda,
Chociaż nałogiem serce tam przyrosło,
Nie szkoda bujnych urodzajów pola,—
Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
Podrosła dziatwa—a kędyż jéj dola?
Zgrzybiała głowa—a kędyż odpocznie?
Choćby pracować i ciężko, i szczerze,
Ręce nie zwykły k'sosze i siekierze.

Nad kim już cięży grobowe przykrycie,
Późno mu nowe rozpoczynać życie.

XIV.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadne,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
Bo tamte strony ukochałem szczerze:
A taka miłość, jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubéj tajemnicy,—
Obcym jéj uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowéj sośnie,
Ku lichéj trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą, jak z matką,
Że nic tam dla mnie nie było zagadką, —
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę, jak żywo, starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie;

I słuchem duszy, jak gdyby na jawie,
Słyszę na błoni nadrzecznéj obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze,
I polny konik jak strzekocze w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściéj,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chychocą i pieją
Pieśni żałosne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat koleją,
I z matki, z babki, z prababki podeszłéj
Do ust nadobnéj krasawicy przeszły:
Pieśń o Dunaju, o krasnéj kalinie,
I o kozaku, co na wojnie ginie;
A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostéj piersi szczęśliwą nadzieją,
Śpiewa o lubym, o zielonéj rucie,
A towarzyszki z jéj marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali,
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć daléj?
Widzę, jak słonko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiéj.
A tu na polu krzątają się dziewki,
By dworskich morgów dziś dożąć obszary,
W tém samém miejscu, kędy Maciéj stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, księże, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca nie marna:
Plenny urodzaj ściele się do brogu.

Dożnijcie zagon wesołą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwińcie do wianka najpiękniejsze kłosie
Z krasną kaliną i modrą bławatką;
Zanieście panu podarek ze żniwa,
Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

XV.

Niezdrów, niewesół coś stary Łagoda —
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniéj przyjmował z uśmiechem radości,
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
Czemu zesmutniał, a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
A gdy śpiewano dożynkowe pieśnie,
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!
Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniéj widzieli—lecz zgadli, choć prości,
Że insza smutku, insza łza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska,
Co, kiedy błyśnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem bozkim przyobleka.
Takiemi łzami w dożynkowe święta
Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
Ale łza smutku dzisiaj niepojęta...
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?

Żona i dziatwa, widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą,
I sami smutni leją łzy ukradkiem.
Lud, patrząc w oczy, aż zabłysną słodziéj,
Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wesołém okiem spojrzał na żniwiarzy;
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanéj twarzy.
Na stole, białą zasłanym oponą,
Stawią chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce,
Piskliwe tony wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce. Miód, sprawca wesela,
Krąży po rękach—gwar coraz to wzrasta;
Skromny parobczak i cicha niewiasta,
I młode dziewczę coraz się ośmiela.
Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy.
Dla niego kmiecie to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili,—
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W senném powietrzu szumi święto żniwa,
W mgłach letniéj nocy z echem się rozpływa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmiecy rozhowor rozlega się głośno:
— „Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
„Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,

„Niech syny jego na téj saméj ziemi
„Będą panami nad syny naszemi!“

XVI.

— „Oj, źle Szymonie! źle, sąsiedzi moi!
„Tylko u Boga miłosierdzia proście:
„Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
„Dziś szumią inni na folwarku goście.
„Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
„Taki dał rozkaz do swych komissarzy:
„Wygnać Łagodę, bo źle gospodarzy,
„A wioskę jego dać panu Zaborze.“
Tak, kurząc lulki a idąc do pracy,
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.
— „Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy!—
Rzekł na to drugi:—ależ jak? i za co?“
— „Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
„Znajdą przyczepkę—bo za to im płacą.
„Daj się im w ręce!—jak opiszą człeka,
„To aż zapomnisz o swym własnym rodzie.
„Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
„Aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
„Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
„Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
„Ot i podeszli... oczernili marnie...
„Teraz chudobę ostatnią zabiorą...
„Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
„Pana Zabory niebezpieczne oko,
„Dziedzic daleko, a Pan Bóg wysoko,
„Zabora skargi niebardzo wysłucha.

„Dobrze nam było ze starym Łagodą,
„Bóg raczy wiedzieć, czy tak będzie dłużéj,
„Czy się tak samo nabytki powiodą?
„Na dwoje wróżka, ej, na dwoje wróży!
„Bywało grosza zarobi gromada,
„Gdy na flisówkę parobcy popłyną;
„Dziś pan Zabora, gospodarz nielada,
„Każe im dworną puścić się wiciną.
„Tak... tak... sąsiedzi!...“ Tu starzy włościanie
Kiwnęli głową jakby w jedno hasło,
I stary Szymon rozprawiać przestanie—
Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
Wykrzesał ogień, rozpalił i pyknął,
I daléj mówił:—„Zły życia ostatek!
„Człek do Łagody już dawno przywyknął.
„Toż on, mospanie, ze mną jednolatek,
„Jeśli dożyjem tegorocznéj zimy,
„Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
„Lat ze trzydzieści, czy więcéj już pono,
„Jak my za niego Pana Boga prosim;
„Toż kiedy cerkiew dzisiejszą święcono,
„Kończy się latek trzydzieści i osiém.
„Dobre panisko—ej szkoda go, szkoda!“
To mówiąc, starcy rozeszli się skoro,
A w każdych uściech był stary Łagoda,
A w każdém sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
Że tam i gwarno, i szumno we dworze:

Przybył pan rządca, a każdy już świadom,
Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
Pan rządca, z razu przystępny, łaskawy,
Z uśmiechem w uściech, jakby anioł z nieba,
Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
Łagoda prostak, nie wie co potrzeba,
Nie zna przysłowia: „Nie weźmiesz, gdy nie dasz,“
Ani pojmuje sumienia na przedaż.
Dobrze mu za to!—pan rządca w pokorze
Zgraję pismaków do dworku napuszcza:
Na polu, w śpichrzu, w komorze, w oborze,
Wszędzie plondruje wygłodniała tłuszcza,
A każdy chmurném spojrzeniem aż bodzie.
Tylko pan rządca ma uśmiech na twarzy,
W imieniu pańskiém staremu Łagodzie
Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
Że śpichrze starym pobudował gustem,
Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
Że się rozwala stary młyn z upustem,
Zkąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
Że wodospustów na łące niewiele,
Które się kopią jak najlżejszą pracą,
Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
Zkąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
Pióro jak wicher po papierze lata,
Kreśląc Łagody gospodarcze winy;
Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
Każda na pieniądz oblicza się strata;
Rosną tysiące w straszliwéj postaci,
Które Łagoda gotówką opłaci.
A jeszcze czynsze—to już swoją drogą,
Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,

Co jedno z drugiém obliczywszy szczerze;
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze.
— „Tak — mówił rządca — źle, panie Łagodo!
„Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
„Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą!
„Czemu nie brałeś przykładu z Zabory?
„Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
„Osadził drogi topolą i brzozą:
„Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
„U niego zboża do stodół nie zwiozą,
„Taki urodzaj!—a co u waszmości?
„Kąkol i chwasty, kamienie i trawy.
„Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
„Potém łaskawie wyruszyć z dzierżawy.
„Swojego dobra nasz dziedzic już dłużéj
„W podobne ręce powierzać nie może;
„Wiedząc, że sąsiad lepiéj mu usłuży,
„Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
„Co się mnie tycze, ubolewam srodze,
„Że z niedobremi wieściami przychodzę...
„Za to wszelkiego dołożę starania,
„Ażeby ulżyć waszmościnéj doli;
„Memu bliźniemu, wedle przykazania,
„Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
„Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
„Wedle rachunku winieneś ją kassie;
„Niech to waszmości głowy nie kłopota,
„Może nie jesteś teraz przy zapasie,
„To poradzimy i na to, jak możem.
„Na wszystko sposób najkrótszy przywiodę:
„Coś gotowizną, coś weźmiemy zbożem;
„Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,

„Wszystko w rachunku przyjmiemy, strącimy,
„I dopomożem, i będziemy radzi,
„Możesz we dworku przemieszkać do zimy,
„Bo pan Zabora wójta tu osadzi.
„A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
„Nie umrze z głodu twojéj dziatwy rzesza:
„Są miłosierne zakłady na świecie,
„A na niebiosach jest Ten, co pociesza.“
To mówiąc rządca łagodnie i z cicha,
Słodkiém obliczem k' niemu się uśmiécha.

XVIII.

Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
Zadrżał z ohydy i zacisnął pięście;
Ogniem zabłysły przyciemniałe oczy,
A krew gorąca serce mu oblała,
Ze staréj twarzy ledwie nie wyskoczy,—
A gniew na czole trzęsie się i pała.
Ale rozważył i obliczył pilno
Swoje ubóztwo i starość bezsilną;
Obliczył, czego nie czuł do téj pory,
Potęgę możnych i chytrość Zabory.
Nierówna walka!—zamarzył jak we śnie,
Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
Na jego oczach błysła łza chwilowa:
—„O dzieci moje!“—wyjęknął boleśnie.
Lecz krótko tryumf trwał nieprzyjacieli,
Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
Spojrzał ku niebu i ducha pocieszył,
Spojrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.

Czy odrętwieniem bolesném dotkniony,
Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
Pomimo płaczu i dziatwy i żony,
On zimném okiem patrzał na łupieże.
Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
Krwawo dla dziatek zebrane grosiwo;
Patrzał z uśmiechem, kiedy ręką chciwą
Pańską pieczęcią stodoły zamknięto.
Cięźéj mu było przenosić daleko
Głód własnéj dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
Jak z jego trzody udojone mleko
Dawano chartom pana komissarza,
Kiedy wprzęgano do cudzego pługa
Dwa siwe woły, co bywało pieści,
Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
Zelżywém słowem kiedy go bezcześci.
Ale urazę odrzucił na stronę,
Ani się dąsa, ani gniewem miota;
Choć ręce słabe, barki pochylone,
Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
Pogodne czoło, obojętne oko
Nie zdradza żalu, ni brzydkiéj rozpaczy,
A jeśli cierpi, to gdzieś tak głęboko,
Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
Gdy mu służalcza uprzykrza się rzesza,
Dziatwę utula i żonę pociesza.
Wmawiał, że zawód rozpoczyna świeży,
Udawał młodość i siły ochocze,
I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
Wziął starą chatę i gruntu półwłocze.
Odarty z grosza, z obory i stada,
Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.

Świetny pan rządca, gdy się w mieście zdarzy,
I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy;
Ale Łagodzie coś bardziéj do twarzy
Pogodne czoło i kostur żebraczy.
Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty.
Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Żegnał ich z płaczem za wiejskiemi wroty;
Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski.
Przypominali ich pobyt ojcowski,
Całując ręce i pana, i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.
I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał,
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żałość nieobłudną,
Można tym oczom zawierzyć, gdy płaczą.

Stary Łagoda doświadczył naocznie,
Jak go żałują kmiotkowie ubodzy;
Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili.
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiéj nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napełnia się dusza,
Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza
W staréj sukmanie, w skrzypiącéj kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług niepróżna skarbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.

Spojrzenie wzniosłéj i cnotliwéj pychy
Rzucił raz jeszcze ku wiejskiéj zagrodzie,
Skrył się za górą jego wózek lichy,
I nie słyszano więcéj o Łagodzie.

* * *

XX.

Nie sądźcie, moi czytelnicy mili,
Że na bezdroża zuchwale was wiodę,
Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
Kreśląc Zaborę i starca Łagodę,

O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze,
Żem się zagwarzył i Bóg wie co gwarzę.
Oto daleka nadniemeńska wioska
Po to się kreśli, byśmy, prawdzie wierni,
Łacniéj śledzili pierwszy zaród kłoska
Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
Raczcie przebaczyć, że nieczyste pole,
Że obok kłosów—porosły kąkole.
Więc jako czynią na polu żniwiarze,
Jedno i drugie na snopki rozdzielę,
Jedno i drugie w oczy wam pokażę,
Byście poznali, co chleb, a co ziele,
Byście, nie mogąc rozeznać z oddali,
W chwastach zbożowéj trawki nie zdeptali.
Chleb—wielkie słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
Człek go pożywa usty pobożnemi.
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,
W chlebie Bóg życie doczesne przysyła,
Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi,
Zbawienie ciału, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty,
Kto Chleb zbawienia świętokradzko spożył!
Pokarmem życia na duszy otruty
Pod swemi stopy sam przepaść otworzył.
O ziemskim chlebie też same są wnioski:
Jeśli nie wierzysz, przychodniu z daleka,

To zajdź na Litwie do najpierwszéj wioski
I spytaj o to najpierwszego człeka.
Tam ci naocznie pokaże lud boży
Chleb, co się sporzy i co się niesporzy:
Jeden posila, a drugi cię zdradnie
O głód przyprawi i obdarzy bolem:
Jeden być musi zatruty kąkolem,
A drugi czysty,—któż zresztą odgadnie?
Zdaje się zboże czysto i wyniosło
W blizkich zagonach wedle siebie rosło,
Razem doznało i deszczu, i suszy,
Razem pożęte, zwiezione przed burzą,
Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
A przecięż zdrowiu niejednako służą:
W jedném być muszą kąkolu owoce,
Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce.
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie:
To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
Spytaj Zabory—jeżeli nie zblednie,
To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
A był to wieczór i deszcz chłosnął duży;
Przez całą odzież, po twarzy, po ręku
Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
Iskierka ognia błysnęła w okienku,
Dach się nasunął—to była gospoda.

Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
Klecone z bierwion, potrząśnięte słomą,
Nędzne postacią i dymem, i wrzaskiem,
Każą się we dnie omijać z daleka;
Ale w noc ciemną swych ogniów odblaskiem
Jakoś w podróży orzeźwiają człeka.
Jakoś ci głowa weseléj zamarzy,
Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie;
Bo zatęskniony do człowieczéj twarzy
Chciałbyś rzec komuś: „Dobry wieczór, bracie!“
Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
A tutaj dobrém słówkiem się odezwą,
A lud zebrany rozprawia na trzeźwo,
A komin ciepłém ogniskiem wybucha?
Ni ztąd ni zowąd chętka się nawinie
Przepędzić nocleg w ubogiéj mieścinie.
W takiéj gospodzie, choć do domu blizko,
Stanąłem tedy na noclegowisko.
Nie chcąc się nudzić w izdebce dla gości,
Wszedłem do izby kipiącéj w rozgwarze;
Tam pili miodek jacyś ludzie prości,
Z dalekiéj strony wiejscy gospodarze;
Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
Taki słyszałem rozhowor tych ludzi:

XXIII.

—„Bądź zdrów, Szymonie!—Pij wesół Marcinie!“
„Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
„Gdzie się to stary obraca Łagoda?
„Bóg raczy wiedzieć—ot marnie gdzieś zginie.

„Widzisz!... odarli człeka do ostatka
„I w świat puścili — aż strach, panie kumie!
„Co jemu zagon i czynszowa chatka?
„Wszakże on sochy udźwignąć nie umie;
„A gdyby umiał, to tylko zastęka,
„Nie jego siła, nie jego w tém ręka.
„Co to? wiek cały przebył po szlachecku,
„Jak tu przywyknąć w ubogiéj chudobie?
„A w lat sześćdziesiąt—to siły jak w dziecku,
„Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.“
—„Co to Szymonie! Bóg dobry i basta!
„Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.
„Już dzięki Bogu i dziatwa podrasta,
„Coraz pocieszy i wyręczy starca.
„Niech tylko ręką powodzi się praca!
„Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.“
—„Dziś, gdyby do nas zawitał na chwilę,“—
—Rzekł drugi wieśniak przyparty do ściany:
„Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,
„Aniby poznał—takie tam odmiany!...
„Prawda, że z nami bywa czasem kręto,
„Za to Zabora wszędzie zysk wyciśnie,
„Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.
„Ot nowe śpichrze budować zaczęto,
„Nowemi gonty pokryto dom cały,
„Morgują pola i kopią kanały.
„Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie:
„Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,
„Budować z muru piętrowe gorzelnie,
„Sprowadzą wielkie woły z Ukrainy,
„Co orać będą i pracować latem,
„W zimie sprzedane — grosz spłacą dukatem.“

—„Byłem—rzekł inszy—niedawno we dworze
„Poprosić pana, by zwolnił od stróży.
„Sam pan Zadora był w dobrym humorze,
„Jął się przechwalać, że mu szczęście służy:
—„A co? powiadał, gospodarka tęga?
„Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,
„Nie tak jak dawniéj — stary niedołęga
„Nie znał, że dworek to jabłko ze złota.
„Bywało włościan żałuje i pieści,
„I cóż mu w końcu dopomogli chłopi?
„Cóż tu zarobił przez latek trzydzieści?
„Czeczotkę z lasu i torbę z konopi.
„Ot i w tym roku u pana Łagody
„Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie;
„Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie,
„I bez modlitew, bez święconéj wody!
„On, starożytnym zwyczajem narodu;
„Poświęcał kłosy, a orał niedbale,
„Latem przy żniwie więdniał na upale,
„Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
„Ja się nie wdając w miłosierdzie boże,
„Pójdę o własnéj gospodarskiéj sile,
„Pięć razy pole pod żyto poorzę,
„A będzie chleba dziesięć razy tyle!"—
—„Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
„Niech Pan Bóg broni takiéj gospodarki!
„Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki,
„Ot i choroba zjawiła się w chacie,
„Że już i końca nie widziałem lichu!—
Tak mówił Szymon, szeptając po cichu —
„Naprzód zasłabła dziecina z kolebki,
„Potém parobczak; a gdy ten się dźwignie,

„Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
„Ot drugi tydzień jak leży w malignie.
„Ja do doktorów -- co tam doktorowie!
„Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
„Ja do znachora — daj Boże mu zdrowie!
„Całą chorobę odgadnął po chwili.
„— Może to z wiatru? pytam u znachora,
„Może złe oczy? — A broń Jezu Chryste!
„Pewnie was chlebem nakarmił Zabora;
„W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste.
„Dajcie tu kęsek — ja zło wyprowadzę. —
„A gdy go żegnać i szeptać coś pocznie,
„To cóż powiecie? chleb zczerniał na sadzę,
„Po nim robactwo pełzało widocznie.
„—Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
„Słuchaj, Szymonie, — tak mi znachor rzecze: —
„To czyjaś własność niesłusznie wydarta,
„A to robactwo, to są łzy człowiecze.
„Nie bój się! zdrowie choremu powróci!
„Lecz chleb ten spalcie do jednéj okruchy,
„Inaczéj wszyscy będziecie zatruci,
„Lub was nieczyste opanują duchy. —
„Więc ja do miasta następnéj niedzieli,
„Kupuję żyto i wiozę do młyna;
„Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
„I syn mój biedny zwlekać się poczyna.“
Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe,
Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

— „Słyszałem o tém—rzekł inszy z wieśniaków:—
„Mówiłem żonie, że zaklęte zboże;

„Lecz ona prawi:—Wszędzie chleb jednaków,
„A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
„Na dworném polu pracuje gromada
„Od poniedziałku do saméj soboty,
„Człek nie ma czasu do swojéj roboty,
„Cóż więc dziwnego, że w polu przepada?
„Jeśli jest jakie sumienie na świecie,
„Niechże Zabora przekarmi nas przecię! —
„Tak nierozważna mówiła kobiéta,
„Poszła do dworu i przyniosła zboże,
„I wnet się do nas nieszczęście przypyta,
„Jakaś niezgoda, dopuszczenie boże.
„Kobiety, dzieci, a nawet ja z bratem,
„Pan Bóg wie za co, nuż kłótnie i swary;
„Szatan się cieszył — a co idzie za tém,
„Znikła zamożność i porządek stary.
„Mówię do brata: — Posłuchaj mię, Janku,
„Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
„Co to za korzyść kłótnia bez ustanku?
„Obraza Boga i pośmiech u ludzi.
„Więc się rozdzielmy. — Rozdzielmy się, powie,
„Wszakżeśmy bracia, nie jacyś wrogowie. —
„Poszedł do dworu, wziął półwłocz pustoszy,
„I nuż się dzielić — bo szatan rozpędza.
„Był jakiś zapas dobytku i groszy,
„Poszło na dwoje — u obudwóch nędza!
„A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,
„Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,
„Mówiąc do siebie: — Jak się chleb nie zlepi,
„Tak my pospołu nie będziem żyć daléj...
„To w kęsie chleba—czy dacie mi wiarę? —
„Jakieś robactwo znalazło się szare!

„Wtedy uczułem, że czegoś się boję,
„Niedobréj wróżby — i wyszło na moje.
„Przy wspólnéj pracy, za dawniejszéj pory,
„Człowiek się łatwiéj nakarmił, przyodział;
„Dziś my nędzarze! — a to chleb Zabory
„Przywiódł do domu niezgodę i podział.“

XXV.

—„Ej, prawda! prawda! rzekł parobczak mło-
„W chlebie Zabory nieszczęście się chowa. [dy:—
„Ot zapomniałeś niedawnéj przygody:
„Pamiętasz Hannę? i piękna, i zdrowa,
„W szesnastym roku — o Boże uchowaj!
„Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała;
„Pan miarkę żyta dał jéj na korowaj,
„Otoż nieboga w dzień ślubu skonała.
„A tamten żebrak o drewnianéj nodze?
„Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru,
„Pamiętasz? z wioski powlókł się do dworu,
„Dostał kęs chleba — i umarł na drodze.“

XXVI.

—„Znają dokoła Zaborzyńskie zboże; —
Znów mówił Szymon, nad czarką schylony.
„Zabora w cudze posyła je strony,
„Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
„Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
„Tu w wielkiém mieście i znaku nie będzie.

„Tu między ludźmi niezgód co niemiara,
„Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
„Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
„W zaklęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
„Nie tak jak w naszém miasteczku targowém!
„Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
„Dawaj gawędzić to o tém, to o owém,
„O urodzajach i ziarna, i słomy.
„ — No! — mówił do mnie — niech ja marnie [zginę!
„Dziwnego pana wy jesteście chłopi:
„Garść jego zboża sypnij na wicinę,
„Pewno się cała wicina zatopi.
„Zdaje się rządny, gospodarz wyborny,
„Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
„Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
„Musi mieć serce powalane w sadzę! —
„O! panie bracie, mają rozum żydzi,
„Zdaje się prostak, a jak rzeczy widzi!

XXVII.

Taką gawędę słyszałem w gospodzie,
I takem sobie rozmyślał w podróży:
Czemu kęs chleba, wydarty Łagodzie,
Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
Czemu, gdy w jakim ukaże się domu,
Kłótnię, chorobę lub śmierć niesie komu?
Za co niewinnym trzeba karę znosić,
Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
Czy własnych grzechów na duszy nie dosyć,
Aby opłacać przewinienia cudze?

Czemu Zabora wesoły, bogaty?
Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
A biedny rolnik z wyrobniczéj chaty,
Jedząc chleb jego, nieszczęście spożywa?
Ja w mojéj głowie tego nie wyjaśnię...
Karczemne baśnie — nic więcéj, jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
Zboże Zabory chciwie obstąpili;
I myślę w duchu: Czyliż od téj chwili
Więcéj tu cierpień i niezgód się zjawi?
Ale zrządzeniem tajemniczéj Ręki
Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
Wypiekł na chleby — wziąłem dwa bochenki,
I chleb zaklęty jadłem na wieczerzę.
A Pan Bóg, karząc swéj woli bluźniercę,
Łoże niemocy zgotować mi każe,
A ten, dla kogo niosłem bratnie serce,
Bolesne na mnie jął ciskać potwarze,
I chleb, nieczystą pokalany siłą,
Krwawemi łzami oblać przychodziło.

XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożéj,
Gdy grzechy chłoszcze, a zasługę płaci!
A my zuchwali bluźnimy najsrożéj.
Cierpim za naszych ojców i współbraci:

Może w ten sposób miłosierna rada
I nasze winy na ludzkość rozkłada,
By grzechów świata zgładzić szereg długi
Wspólném cierpieniem, wspólnemi zasługi?
Czy może, pełniąc za bliźnich ofiarę,
Własnéj zasługi dopełniamy miarę?
Bóg raczy wiedzieć — ale zawsze biada:
Bo obcy ciężar wziął na swoje ramię,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała lub spokojem ducha.

Czy pan Zabora, gdy oko zamruża,
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u anioła stróża,
Jemu wiadomo — a to rzecz nie nasza.
Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
Nie bierz, gdy pieniądz Zabora ci poda:
Boć najniewinniéj na głowę upadnie
Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854. Wilno.

FRAGMENTA

O FILIPIE Z KONOPI.

Z NOTATY NA OKŁADCE STAREGO KALENDARZA
SPISANE RYTMEM.

FRAGMENT I.

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje Kryżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance, —
Wszak krainy rymowéj bezbrzeżne są krańce.
Niech każdy nowe rzeczy jakby z rogu sypie, —
Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
Muzo! (czy jak inaczéj dziś twoje nazwisko)
Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blizko,
Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapała,
I kiedy bredzić pocznę, — niech twa rączka biała
Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!

Przed trzemaset latami, gdzie podolskie łany,
Był cichy dwór szlachecki, Konopie nazwany,

Czy od panów Konopków, co go założyli,
Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
Ciągnęły się przy dworku — a że grunt niepodły,
Wyrastały wysoko niby leśne jodły,
Miały liście szerokie, miały kity duże.
Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze;
Dość, że jego panowie, ilem zebrał śladów,
Pisali się *z Konopi* z dziadów i pradziadów.
  Tam, w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubém,
W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbem,
Roku, co się od dawna w mgle przeszłości topi,
Wyrwał się z łona matki *Pan Filip z Konopi*.
Popatrzał na świat boży i zacisnął pięście,
I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
I wrzasnął w niebogłosy na nótę sierocą,
Jakby pytał z boleścią: „A jaż tutaj po co?"
I długo hałasował nakształt wojewody,
Co, przybywszy w podróży do nędznéj gospody,
Złorzeczy gospodarzom, aż trzęsą się ściany:
Dla czego tutaj pałac nie wybudowany?
Musiał wreszcie pomyśleć: Cóż po tym zapędzie?
Gdy niemożna inaczéj, niechaj i tak będzie!
Wydał jakieś jęczenie albo uśmiech głuchy,
I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.

W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
Młodzian ochrzczon Filipem wedle kalendarza,
I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

. . . .

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą, —
Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
Oni świat zrozumieją, a świat ich zrozumie.
Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoch boży,
Któremu gdy myśl nową Pan do serca włoży,
Naprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
A wtedy słowa jego umysły ogarną,
I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
Ludzie z szaloną głową a sercem gorącém,
Co, nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
Niedość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy;
W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
Napróżno z całéj siły zbiera w sobie ducha,
Biedne piersi mu pękną, a nic nie wydmucha!
A śmiechuż będzie, śmiechu z biednego szaleńca!
Gawiedź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
— „Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
„Filip z Konopi!...“

. . . .

FRAGMENT III.

U ojców Jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
Uczył się młody Filip służyć Panu Bogu,
Mówić mądrą łaciną, czytać rzymskie prawa,
Słowem — tego wszystkiego, co szlachcie przystawa.
Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściśléj:
Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli;
Do nauk brał się nieźle, lecz widzą ojcowie,
Że gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
Tak mu się coś nie wiedzie w pośród szkolnéj rzeszy,
Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem roz-
[śmieszy!
A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy,
To bywało aż skoczy ze studenckiéj ławy,
Wybieży w środek szkoły i gada, i gada,
I rękoma wywija, aż trąca sąsiada,
A oczy aż się iskrzą — taki w mowie zapał;
Koniec końców — rozśmieszył albo plagi złapał.
Na przykład: Ksiądz Retoryk raz uczył swe ucznie,
Jak trzeba pięknym stylem wysłowiać się sztucznie,—
A wtedy rej łacina wiodła w polskiéj mowie,
I wielce byli w modzie Olimpu bogowie, —
Więc mówił ksiądz Retoryk:—„Trzeba zażyć pracy,
„A nie gadać po polsku, jak mówią prostacy,
„Ale umieć łacinę i przypiąć co chwila
„*Sententionem* z Flakka lub wierszyk z Wirgila,
„Peryody układać okrągłéj budowy:
„To jest właściwe *signum* eleganckiéj mowy.

„Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
„*Conticuere omnes!* podnieść uszy w górę!

„Otoż tedy, *powtóre*: niechaj w twojéj mowie
„Najczęściéj olimpijscy panują bogowie.
„Zamiast mówić: ktoś *mądry*, dobry do *porady*,
„Nazwij go oblubieńcem bogini *Pallady;*
„Nie powiadaj: *człek mężny*, bo tak mówią prości,
„Lecz powiedz, że jest pełen *marsowéj* dzielności;
„O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci *Flory*,
„Zboże zaś w pięknéj mowie to *Cerery* zbiory;
„Na jabłko, nie mów: *jabłko*, lecz owoc *Pomony*.
„A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony!"
Filip na szkolnéj ławie dosiedzieć nie może:
— „Nie! — krzyknął — nie masz zgody, księże [professorze!
„Jeden Bóg stworzył kłosy, i jabłka, i kwiaty,
„Na co tu Ceres, Flora, boztwa staréj daty?
„Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!
„A że słynie ktoś mężnym w krajowéj posłudze,
„I jeżeli konieczna retoryka taka,
„To już lepiéj Tarnowskim nazywać wojaka,
„Najlepiéj bohaterem nazwać bohatera!"
Ksiądz Retoryk brwi zmarszczył, jak Jowisz Homera
A mszcząc się uchybienia mistrzowskiéj powagi,
Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.
A srogich bóztw Olimpu niewinna ofiara,
Gdy po ciężkiéj przestrodze pocieszyć się stara,
Każdy nóż najgrawania do serca mu topi:
— „Nie wyrywaj się więcéj, Filipie z Konopi!"
Drugi raz w Wielki Piątek jezuickie żaki,
Aby dać pobożności gorliwéj oznaki,
Więc za to, że Żydowie umęczyli Boga,
Chciały wygrzmotać kijmi rabina z Ostroga.
Hurmem tedy pobiegły ku jego gospodzie

(Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie).
Daléj tłoczyć się, krzycząc w około siedziby,
Zaświstały kamienie, zabrzęknęły szyby,
Wysypał się rój Żydów w hałaśliwéj tłuszczy,
Ktoś jeden, potém drugi do bitwy poduszczy, —
I dwa groźne obozy skupiły się z blizka,
Każdy złorzeczeniami i kamieńmi ciska;
Pogruchotano kije — zwarto bój na pięści,
A żakom jezuickim snadź Bellona szczęści:
Bo tamtych większa liczba, tych męztwo ośmiela,
Pokonały wrzaskliwe hufce Izraela;
Krew nawet popłynęła — już starsi przypadli,
Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
Wtém, gdzie bitwa najsroższa, gdzie najgęstsze ciosy,
Wpadł Filip, z cycerońska krzycząc w niebogłosy:
— „Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszéj głowie?
„Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
„Cóż oni temu winni? Swawole! swawole!
„Na bezbronnych!... na słabych!... O! ja nie pozwolę!“
I wpadł w środek motłochu — a tam kupy wrzące
Nuż tedy grzmotać pięśćmi swojego obrońcę:
Bo tego, co on gadał, żaden nie dosłyszy,
Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
Co przyszedł spędzić motłoch, pewnie dałby gardła,
Tak się zawziętość judzka na niego wywarła.
Został jeden na placu — pierzchli towarzysze;
A ksiądz Rektor, nadszedłszy, co widzi, to pisze:
Więc jako naczelnika ulicznéj swawole,
Znów skazał na przykładne ukaranie w szkole.

A co tam było żàrtów! a śmiechów bez końca,
Że to wódz Izraela, że Żydów obrońca!
Biedny Filip z Konopi! za dobre zamiary,
Że się wyrwał nie w porę, aż trzy odniósł kary!...

. . . .

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
Nie spisaćby ich wszystkich na wołowéj skórze.
Wyszedłszy na młodziana, pracuje jak może,
Bo służył i rycersko, i na pańskim dworze.
Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:
—„Nie wyrywaj się naprzód! dobrze ci Filipie!
„Czyń, jako czynią drudzy, wierz, jak każdy wierzy!"—
Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
Ale niełatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.
Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
On wyrywa się naprzód i pali z kopyta,
Nie bacząc, gdzie jest odsiecz—czy koledzy biegą,
Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
Zawsze gęstemi rany swą płochość przypłaci,
A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.
Gdy insi brali łupy lub wojny honory,
On nigdy się nie stawił, bo zawżdy był chory;
Wtenczas, gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
Wyrywał się z chorobą, jak Filip z Konopi.

Raz z hufcy tatarskiemi jak lew szedł w zawody,
Pan chorąży przedstawić miał go do nagrody;
Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
Zaskarżył chorążego do regimentarza.
Skarga była prawdziwa, jak to wiedzieć możem,
Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchórzem,
Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,
(A pan Filip w téj chwili czuwał nad rannemi).
Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,
Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore!

Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.
Pan mówi: — „Bracia szlachta, przyjaciele moi!
„Na sejmiku zakrzyczeć, nie pozwolić całkiem,
„Aby skarbnik piltyński był u nas marszałkiem.
„Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto
„Za moim przyjacielem, rzeczyckim starostą!“
Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:
—„Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się scho-
„Kto nas dziś przekreskuje, jesteśmy ciekawi! [wa!
„A kto inaczéj trzyma, z nami się rozprawi!“
—„Jak to! czy my nie szlachta? czy poddani chło-
Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi:— [pi?—
„Prawda, żem na twym chlebie, mości wojewodo!
„Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą.
„Syn Rzeczypospolitéj, znam krajowe prawa,
„I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.
„Pan skarbnik ma i serce, i głowę nielada,
„Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
„Choć mi szyję zetnijcie, póki serce żywe,
„Ja dla pana starosty rzucę negatywę:
„Tak mi każe sumienie!“ — Więc po takiéj sprawce,
Pan go wygnał ze dworu, a dworscy szubrawce

Urągali się nad nim, że ma zmysły chore,
Że się wyrwał z sumieniem jak raz w samą porę,
Istny Filip z Konopi!
Więc głodno i pieszo
Śpieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy śpieszą;
Przekrzyczał, przekreskował i do tyla sprostał,
Że marszałkiem pan skarbnik piltyński pozostał.
Ale skarbnik piltyński, nic tego nie świadom,
Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
Zajada kawał chleba, pije szklankę piwa;
A choć w duchu był wesół, lecz drudzy się śmieli,
Że porzucił sztandary dworskiéj klienteli.
I dla czegoż porzucił? że jak Filip czysto
Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczystą!
Ze śmiechu poszła bitwa—dzięki szerpentynie,
Dostał kreskę przez wąsy, krew z czoła mu płynie;
Więc złorzecząc sejmikom, w nędznéj alternacie
Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiéj chacie...
. . . .

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni;
Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.
Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
Dobrą mu niespodziankę naraiły swaty.
Była panna posażna z domu Doliwitów,
Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów.

A dziewczę takie hoże, takie raźne, słyszę,
Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie,
A z owéj konjunktury w małżeńskie ogniwa
Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt spływa.
Więc starym obyczajem poczęto konkury;
Można było sukcesa przewidywać z góry:
Pan ojciec krew żołnierską spodobał w Filipie,
Pani matka za skromność pochwały mu sypie.
Tylko bieda z dziewczyną—widział jak na dłoni,
Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
Smutnie główką pokiwa i łzę otrze z cicha.
Przykro patrzał pan Filip na ten znak niemiły,
Bo jéj oczy nie żartem do serca się wpiły.
Może kocha innego—pan Filip się biedzi.
— „Nie uważajcie na to! — cieszą go sąsiedzi—
„Alboż to młode dziewczę jest panią swéj woli?
„Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
„Wypłacze się, przetęskni i z wesołą twarzą
„Z tym pójdzie do ołtarza, z kim rodzice każą.
„Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
„To można spowiednika użyć do namowy.
„Wszak na tém Polska stoi!“

— „Wstydź się, panie bracie!
„Czyż sercu człowieczemu już woli nie dacie?
„Czyż mam młodą małżonkę zakowywać sidły?
„Gwałtem porywać brankę, jak Tatar obrzydły?
„Razem rękę i serce! inaczéj nie biorę!“
Ot i z sercem wyskoczył jak raz w samą porę!

Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.
— „Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi!—
Tak go sąsiad ofuknie:—„Czas w głowie mieć oléj!
„Wybrałbyś piękny posag, niż te brednie, woléj.
„Majątek ubożeje, idą stare latka:
„Bierz, co daje fortuna, i ojciec, i matka!“
Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;
Ale Filip z Konopi, w tych rzeczach nieskory,
Chciał zjednać serce dziewki: nieznacznie... niezna-
[cznie,
Już się do niéj przybliża, już z nią szeptać zacznie;
A szepcą tajemniczo... coś w głowach się marzy;
Ona poweselała, on zesmutniał w twarzy.
To jedynie przyjaciół pocieszało trocha,
Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
A ona wdzięczném okiem k'niemu się przymila.
Czasem łzą oblanemi pożegna oczyma,
I wyjeżdża z jéj domu—dni kilka go niéma;
Ale dokąd i po co wymyka się zdradnie?
Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.

Raz powrócił k'bogdance z niebytności długiéj,
Z nim przybył nieznajomy jakiś młodzian drugi;
I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
Tak szepcą przyjaciele, radzi w głębi ducha,
Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.

Coś długo z rodzicami ciągnie się narada,
A dziewczę to kraśnieje, to jak chusta blada.

Wyszli wreszcie—a Filip z obliczem radości
Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,
Zbliżył się do dziewicy — i rękę im poda:
— „Teraz do nóg rodzicom! do nóg, paro młoda!
„Rodzice zezwolili!!"—Więc owi przelękli,
Do nóg ojca i matki nieśmiało uklękli.
A gdy ci błogosławią: „Połączcie się zdrowi!"
Oni upadli do nóg panu Filipowi
— „Tyś anioł dwojga ludzi!!... dobroczyńca miły!"
Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
Że Filip, widząc smutek na dziewiczéj twarzy,
Zbliżył się do niéj szczerze, poznał niespodzianie,
Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
Że ona Filipowi da rękę... z rozpaczy...
Lecz to będzie ofiara—bolesna, straszliwa!...
Więc się Filip z dziwacznym konceptem wyrywa:
Choć bolało go serce, choć kochał nad życie,
Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,
I za dwojgiem kochanków, téjże saméj chwili,
Wstawiał się do rodziców, którzy go lubili.
Nim upór pana ojca przełamał ognisty,
On przewoził kochankom ukłony i listy,
I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
I jakże wyszedł na tém?—Żal się Panie Boże!
Stracił bogaty posag, stracił dziewczę hoże!
Nie żal go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
Bo się wyrwał w swatowstwo, jak Filip z Konopi.

. . . .

FRAGMENT VI.

Tedy Filip, zraniony na ciele i duszy,
Już w domu zamieszkawszy, rzadko gdzie wyruszy;
Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
Odżyła nowém życiem domowa zagrodka.
Sąsiedzi go lubili i estymowali.
— „Lubo dziwak — mówiono — choć mu mózg się
„Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży,— [pali,
„Trzeba o tém pomyśleć, niech rodakom służy!"
Tak mówili życzliwi współobywatele,
A właśnie, że ku temu i zręczność się ściele:
Bo przyszła wić królewska do wszystkich powiatów,
Aby na sejm grodzieński wysłać deputatów.
Więc zgromadził się sejmik w powiatowém mieście,
Zjechało się i panów, i szlachty ze dwieście.
Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:
„Niech pan Filip z Konopi naszym posłem będzie!"
Z ust do ust gdy się braciom jego imię poda,
Przyjęto na rozwagę—i stanęła zgoda.
Tak tedy, choć się w żadne urzędy nie ciśnie,
Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.

Wdzięczen za miłość bratnią, za tyle okrzyków,
Wydał braterską ucztę dla swych powietników,
Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,
Zawołał uroczyście: — „Hej, mości panowie!
„Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemię,
„Filar złotéj swobody téj sarmackiéj ziemie!"

— „Wiwat szlachta! — ktoś krzyknął powtóre, po-
[trzecie:—
„Nie masz stanu, jak szlachta, nie masz w całym świecie,
„Ona jedynie godna zaszczytów, swobody!
— „Mylisz się!—krzyknął Filip—na to niema zgody!
„Bo jest w Polsce stan inszy — chociaż nie herbowni,
„Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!“
— „Co waść gadasz, mospanie Filipie z Konopi?
„Któż to równy ze szlachtą?...“

— „Któż to równy? — chłopi!—
Zawołał groźnym głosem, iskrząc się oczyma:—
„Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.
„Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,
„Oni nam chleb gotują, naszéj dziatwy strzegą.
„Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły niebiosa,
„Wart najlepszego herbu ich topór i kosa.
„Waść niby człek rycerski — a pożal się Boże!
„Szabla ci zardzewiała od pradziada może.
„A patrzaj na ich pługi — czyż nie więcéj warte?
„Jak się błyszczą, codziennêm użyciem wytarte!
„Oni w swojéj dostojnéj a skromnéj postawie
„Lepiéj się zasłużyli, niż my, w naszéj sprawie:
„Warci równości z nami!... Dziś, gdym ziemskim po-
[słem,
„Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:
„Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga!
„Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
„Jeden Statut dla wszystkich, zobopólna rada,
„Miejsce w Izbie poselskiéj, gdzie szlachta zasiada.
„Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
„Ileż głów zdrowéj rady krajowi przybędzie!

„Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę
„Wszak mamy Jezuitów kollegia bogate.
„Toż w Rzeczypospolitéj niedziwna nowina,
„Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!
„Płać podatek do skarbu, jak i kmiotek płaci!
„Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!
„Ja piję zdrowie kmiotków! hej! kto ze mną pije?“
Krzyczał Filip z Konopi, wyciągnąwszy szyję,
I w serdecznym zapale ducha gorącości,
Pełny kielich tokaju wyciągał do gości.

Ale szlachta zgorszona zrywa się od stołu,
I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:
— „Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!“
— „Co to! szlachta mniéj warta niźli gawiedź ślepa!“
— „Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!“
— „Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę?“
— „Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszy!
„Hejże, mości panowie! a obciąć mu uszy!!“
I sto spojrzeń Filipa przebodło surowo,
I sto szabel zabłysło nad niebaczną głową,
I każda, jedna ostrzem, druga płazem, kropi.
Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,
Chciał dobyć karabeli—lecz padłszy jak długi,
Wywrócił stół z puhary.—Krew i wina strugi
Pociekły po podłodze, szkła w powietrze lecą...
A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,
Wywleczono z pod stołu, jak gdyby złoczyńcę,
Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.

Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszy:
Ocucono Filipa, dopytano duszy,

Dali nieco pomocy i nieco pociechy,
I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.
Dobrze mu! jak nie wiedzieć, że los taki spotka,
Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?...

. . . .

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby—to łoże żebracze:
Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
Ani żywego ducha! Pan Filip w swéj dumie
Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
Że trzeba inszym kształtem opatrywać rany;
Zagniewał się na niego lekarz zawołany
I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
Potém Filip z Konopi wyrwał się jak z procy
Dowodzić przed plebanem, kutym teologiem,
Że wszyscy chrześcianie równi są przed Bogiem,
Że grzech brać dziesięcinę od ubogiéj włości,
Że nie każdy zbawiony, kto Suchedni pości.
Księdzu aż uszy więdły na takie gadanie,
Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
I dopełnił, co przyrzekł. A tu przyszła nędza:
Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
I dworek opustoszał, i grunta w bezładzie,
A musi trzos mieć pełny, kto się w łóżko kładzie, —
Nie stało i na plastry w szlacheckiéj chudobie.
Tak przejęczał rok cały, złorzecząc sam sobie.
W rany weszła gangrena—a głód wnętrze wierci,
Aż po długiém konaniu doczekał się śmierci.

A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
Wyrwał się z narzekaniem, że mu życia szkoda.
Boże, Boże! tak marnie sterawszy swe lata,
Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!...

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie;
Nikt mu pochwalnych liter nie wyrył na grobie,
A kurhanek piaszczysty—rozsypał się sobie.
Śpi Filip, nim się na sąd straszliwy obudzi,
A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi:
Kto się wyrwie nie k'rzeczy, kto się w mowie stropi,
Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.

Ktoś świadom życia jego, albo nawet świadek,
Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,
Zapisał te przygody, co podaję ninie.
Jam dopadł téj rzadkości—i legendę całą
Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
Niekłamanym affektem służę ci, jak mogę,
Czerpaj ztąd, czytelniku, zbawienną przestrogę.

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniéj przeglądał, niż twoi współcześni,
Nie śpiesz się — moja rada — mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.

Nie idź za gorącemi twéj duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy,
A serce miej zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz, rozważaj: czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie, i w słowie,
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko—taka ich zapłata.

1854. Wilno (dom Müllera).

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

GAWĘDA.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Zkąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojéj niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbyteczną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu, a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzęce,
Najpierwéj takich pochwytuje w ręce,
I za dwubarwne a niepewne zdanie
Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.

Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianéj nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stołek, krucyfiks na tacy,

Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał litanie.

A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak, rodem z téj samėj krainy,
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów, i mieszczan, i kmieci, —
Wiedział kto dobry, a kto jest ladaco;
Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnkę jednéj miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!“

II.

A nasza próżność to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza, —
A trzygroszówki lecą do talerza,
I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy, i wiejskie mięsiwo.

Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzéj mu nieraz pobłądzić się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłosiernym panem.

Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
Lecz myślał sobie: Nie ma inszéj rady,
Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,
Kto wart, czy nie wart, nisko się pokłonić,
I wzniósłszy oczy powtarzać bez miary:
„*Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!*“

III.

Raz ksiądz Bernardyn, idący po kweście,
Rzekł do żebraka: — „Niesłuszni jesteście;
„Bo nie każdemu i nie w każdéj porze
„Godzi się mówić: *Niech ci Bóg pomoże!*
„Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
„Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
„Co złe zamysły w swojém sercu chowa —
„Czyż za każdego modła jednakowa?
„Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
„To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
„Oszust prostaka otumani zdradnie,
„Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
„Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
„Więc z twemi słowy rachując się ściśléj,
„Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
„*Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!*
„Radzę ci mówić sumienniéj i prawiéj:
„*Dobrym* zamysłom niech Bóg błogosławi!“

IV.

— „A! mości księże! co mi tam do tego,
„Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biegą

„Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
„Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
„Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija,
„Ja mojéj sakwy, ja pilnuję kija.
„Ja z modlitwami każdemu usłużny,
„Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.
„Na to ubogi, że Majestat błaga:
„Niechaj każdemu Pan Bég dopomaga!
„Przebacz, co powiem: to skrupuły głupie!
„Grosz na tabakę daj, księże biskupie!
„A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
„Mniejsza mi o to — *niech ci Bóg pomoże!*“

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
A żebrak daléj w rzemiosło nędzarza,
Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
Były to czasy sudermańskiéj wojny,
Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze;
A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą.
— „Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
„Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko je-
„Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże, [dno,
„*Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!*“

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze sioła,
Żebrak się kłania, o jałmużnę woła,
A gdy jałmużnę na tacę położą,
On pomoc dla nich przywoływa bożą.
A kiedy Szwedów pokonywać śpieszy
Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
Znów żebrak bije pokłony usłużne:
— „Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
„Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
„*Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!*“
A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
Każdy za modłę żebrakowi płaci;
A żebrak w służbie Chrystusa i czarta
Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;
Choćby nogajscy naszli Tatarowie,
Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za szwedzkie i polskie proporce
Modląc się, zebrał — miedziaków dwa korce:
Więc włokę ziemi zakupił za korzec,
Za drugi sobie pobudował dworzec,
I z włoki gruntu miał dobre intraty;
A że gościniec był blizko od chaty,
Przeto, jak dawniéj, pokorny, usłużny,
Siedział przy drodze i żebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
Pewnego ranku idą dwaj złodzieje,

I jeden mówi: — „Otoż losy sczęsne,
„Jeżeli sakwy starego wytrzęsnę!
„Toż, mówią ludzie, groszowity sztuka
„I ztąd i z owąd swoich zysków szuka!“
Drugi odpowie: — „Oho! znam ja dziada!
„Ma tam i w chacie zapasy nielada;
„Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
„Ale brytana uwiązał we wrota.
„Jakżebym pragnął obrać go do naga!
„Moim zamysłom niech Bóg dopomaga!“

Przeto złoczyńca, chcąc skusić biedotę,
Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
„Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!“
A stary żebrak, choć znał, że to złodziéj,
Lecz myśli sobie: Co mię to obchodzi?
Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
Mówi Ojcze nasz i Zdrowaś Marya,
I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
„Twoim zamiarom niech Nieba pomogą!“

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
I rzekł Przedwieczny do aniołów grona:
— „Jego modlitwa niech będzie spełniona!“
Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?

A żebrak, wdzięczen za uprzejmość taką,
Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
Życzył mu szczęścia—a złodziej w gawędzie
Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
Chleb, i owoce, i zapasy różne,
Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
I złodziejowi *szczęściło się* szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
Zamiast zaszczekać i nasrożyć paszczę,
Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
A ten, szczęśliwy, że się brytan garnie,
Splondrował skrzynie, zasieki, śpiżarnie.
Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
I sutą odzież, kożuchy i świty,
Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
Że jedném słowem, można mówić śmiało,
Tylko ptaszego mleka nie stawało.
Złodziej niegłupi—a jak się zawinie,
Wszystkie zapasy uprzątnął w godzinie;
A tak sumiennie był pracy oddany,
Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
Więc pośpiewując po sowitém żniwie,
Pogłaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczy,
Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,
Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
Przeklina siebie, i psa, i złodzieje;
A bardziéj jeszcze po sercu mu bodło,
Że mówił pacierz, by im się powiodło.
Wytaczać skargę na niewiele zda się,
Księdza kwestarza wspomniał po niewczasie,
I już naprawdę jak nędzarz ubogi
Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
Lecz po nauce, po ciężkiéj goryczy,
Już nie każdemu powodzenia życzy,
Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
„*Dobrym* zamysłom dopomagaj, Boże!“
Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.

Śmiano się z niego, i długo, i szczerze:
—„Ja cię okradnę — mów dziadku pacierze!“
A ztąd przysłowie powstało powoli:
Że człowiek sprawca sam swojéj niedoli.

1854. Borejkowszczyzna.

MATYSEK.

GAWĘDA.

Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny, i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska:
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kréska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— „Mój Matysku! jestem twoja,
„Będę twoja całe życie!“
Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kréska na Matyska.

— „Mój Matysku, nie dbaj o to,
„A miłosne rzuć zachody!
„Lepiéj z nami użyj złoto:
„Pójdziem hulać do gospody!“

Tak go sąsiad cieszył w biedzie,
I całuje, i uściska.
— „Dobrze mówisz, mój sąsiedzie!“
Przyszła kréska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą,
Na pociechę pół tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało,
I sąsiada, i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,—
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kréska na Matyska.

I od tańca, i od trunku
Zachorował téjże doby;
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kréska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
— „Niechże wspomną towarzysze!
„Ja testament dla nich zrobię
„I każdemu coś zapiszę.“
Ale w chacie nic nie było,
Prócz starego w progu psiska,—
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kréska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zową,
A odzieży lichéj szczęty
Położyli mu pod głową.
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet z blizka,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kréska na Matyska.

Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
Przyszła kréska na Matyska.

1855. Borejkowszczyzna.

KAPRAL TEREFERA
I
KAPITAN SZERPENTYNA.

GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

I.

Ej, żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Boć to młodość—taka może,
Jak dziś widzisz pan dobrodziéj?!
Nie dopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we Dwunastym Roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?

Patrz ten krzyżyk—toż go przecię
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem, jak i za co?
Ej! to panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Żwawym marszem w odwrot kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki—ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście!—
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdéj strony
Tłumy ludu, jakby fale:
I Żmudziny, i Gaskony,
I Krakusy, i Westfale.

Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał—chyba wstanie
Na dolinę Jozafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w półku naszym
Pacierz krzepił—jak gorzałka.
Insze półki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w bożych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze;

Co do postów: gdy golizna,
Nolens, volens, człowiek pości...
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Bo się, panie, rąbał *arte!*
Dla żołnierza pierś otworzy,
Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem—człowiek boży,
Ale szatan na komendzie!
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo:
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo.

Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojéj roli:
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz, co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska,
Stary krzyknął:—„Broń na ramię!“
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha,—ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje, jak napiły,
Coś się kurczy, jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.

Lecz jak krzyknie stary gdera:
—„Co się troszczyć cudzą raną!
„Do szeregu, Terefera!“
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

A w Imię Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpentyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy z dala:
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

Ot nie wytrwał—jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze,
Z dziesięć ramion na usługi.

Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały,
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów pęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyzwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
— „Cóż to? cały półk żołnierzy
„Ma się późnić z méj przyczyny?
„Precz ode mnie! marsz do szyku!
„Rozkazuję to pod gardłem.
„Słuchaj, mości poruczniku!
„Podaj rapport, że umarłem.
„Nie kopajcie mnie mogiły,
„Nie potrzeba trąby brzęku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: Choć łeb utnie,
Ja mu zginąć nie pozwolę!

Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: — „Kapitanie!
„To się za nic stać nie może,
„Pan w tém polu nie zostanie.“
— „Cóż gdy kroczyć nie mam siły!“
— „Ja poniosę pomaleńku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

— „Precz mi z radą i pomocą!
„A nie przywódź mię do złości.
„Mną się trudzić nie ma po co,
„Ty masz swoje powinności.
„Uważałem, Terefere,
„W twym plutonie są rekruci,
„Dzierżą bagnet jak siekierę,
„Maszerują jakby skuci;
„Trzeba, aby się rozwiły
„Władze w nogach, zręczność w ręku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

„Jestem ranny — po krwi stracie
„Tak mi słabo!... skończę życie...
„Słuchaj, dobry mój kamracie:
„Jak do domu powrócicie,

„Wiesz zaścianek, tam... przy Niemnie,
„Kędy matka moja żyje?
„Schodź, pożegnaj ją odemnie,
„Oddaj krzyżyk z mojéj szyje;
„Opatrz domek mój pochyły
„I dwa ule przy okienku...“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

„W ładownicy cała nędza:
„Jest tu mały groszów worek,
„To mi zanieś gdzie do księdza,
„Poproś dla mnie o paciorek!
„Matce powiedz, niech nie płacze,
„Bom nie zginął jako podli;
„A do frontu zbierz rębacze,
„Niech się każdy z nich pomodli!
„Śpiesz, bo wojska już się skryły,
„Już nie słychać broni szczęku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

—„Dobrze! dobrze! — ja doń mówię –
„Nie gadajmy o tém woléj;
„Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
„Wszystko pójdzie w swoją koléj.

„Teraz lepiéj, mojém zdaniem,
„Kapitana wziąć na plecy,
„Do szpitala się dostaniem,
„Kędy leczą się kalecy.
„Tuby śniegi was zakryły,
„Tubyś skonał na tym pieńku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
—„Patrz: kolumna już pod lasem!
„Twoje miejsce przy plutonie.
„Śpiesz dopędzić towarzysze:
„Za zbiegowstwo areszt, kula!“
Ja, udając, że nie słyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całéj siły,
Grozi, krzyczy na mych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!

Człowiek spocznie sobie chwilę
I marsz naprzód, aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Po za wojskiem w całéj drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,
Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały.
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały.
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór widzę z dali,
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:

— „Widzisz, trutniu, co to czeka,
„Kto rozkazy poniewiera!
„To kozactwo... nas rozsieka...
„Marnie zginiesz, Terefera!
„Patrz, swawole co zrobiły!
„Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIII.

„Żal mi ciebie... dziatwy twojéj...
„Pan Bóg skarał cię wyraźnie!...
„Lecz poczekaj... wszak to swoi...
„Ja ci zaraz sprawię łaźnię!“
Patrzę tedy... aż tu jedzie
Hu! porządnie szykowany,
Z dala działa, a na przedzie
Mameluki i hułany.
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białéj, dzielnéj szkapce,
Jakiś jeździec ku nam kroczy,
W szaréj kurtce, w nizkiéj czapce,
Co mu spada aż na oczy.

Patrzę pilno... i struchlałem...
— „Broń prezentuj, jak na wartę!—
Krzyknął kapitan z zapałem—
„To sam cesarz Bonaparte!“
Szerpentyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczéj;
Wstrzymał konia, spojrzał groźno
I zapytał: — „Co to znaczy?
„Gdzie wasz oddział? co tak poźno?“
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby zaraz tracić serce?
(A francuzkich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zajęku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpentyną,
Jak raniony padł na drodze,

Jakom kwapił się z posługą,
By go unieść do szpitalu.
Cesarz słuchał, słuchał długo,
I rzekł: — „Brawo, mój kapralu!“
Aż mu oczy zaiskrzyły
Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potem spytał Szerpentyny,
Jak się zowę, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo méj odwadze.
Już się znaczno, że nie dąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości,
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowéj niekarności;
Lecz się usta nie ruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!

A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;
Poszanujcie u mogiły,
Bo był trzyman w dobrych ręku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściéj:
—„Wiwat cesarz!"—wykrzyknąłem,
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.
Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!
Teraz, słyszę, człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.

— „Cesarz—mówił—wynagradza,
„Bo poczciwym szedłeś torem;
„Ale, bratku, moja władza
„Naruszona twym uporem.
„Choć wyrwałeś mię z mogiły,
„Nie popuszczę władzy z ręku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

* * *

Tak powiadał Terefera,
Siedząc w progu nizkiéj chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku—
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

1855. Borejkowszczyzna.

CÓRA PIASTÓW.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW LITEWSKICH — 1282 ROKU.

I.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie,
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kreślę litewskie postacie,
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiednie,
Miękkie jak dzieci, gdy w domowéj chacie,
Straszne, gdy idą w krainy sąsiednie,
Kiedy dzikości popuściwszy wodze,
Kąpią się we krwi, rabują w pożodze.
Nawet niepomny obowiązków syna,
W niedobréj chwili kreślę ich oblicze,
Gdy ich bojaków skrwawiona drużyna
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiéj zemsty lub brzydszéj łupieży.

II.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praojców łupieżcami zową:
Czyż ich sąsiady żyjące dokoła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,

Lepsze poganom podawały wzory
Bratniéj miłości i świętéj pokory?
Kiedy zachodni rycerze, jak fala,
Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
Zowiąc jéj synów dziećmi Beliala,
Dzikim potworem i leśną gadziną:
Czegoż się dziwić, że gromada dziczy
Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
Gdy krew bojową Kawas mu poruszy,
Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
Bardziéj się dziwić, gdy dziki syn puszczy
Słodkim uczuciom da przystęp do duszy,
Gdy bałwochwalcy marsowa jagoda
Łzami czułości zaleje się hojnie,
Kiedy starcowi dłoń synowską poda,
Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
Kiedy oszczędzi dla rycerskiéj cześci
Głowę dziecięcą albo wstyd niewieści.
Spytajcie wtedy: zkąd on cnotę bierze?
Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
Czy własne serce, albo leśne zwierzę?
Zkąd się nauczył?—pewno nie od ludzi!
Gdy doń Krzyżacy pukają we wrota,
Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta:
Starcom zaguba, niewiastom sromota,
Mężom kajdany i hańba wieczysta,
A chacie płomień, a bogom zniewaga—
Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga.
I Litwin srogi: gdy twierdzę zdobędzie,
Pluska się we krwi, nie oszczędza jęku,
A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie,
Nie dopuść Boże widzieć w jego ręku!

Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
Uszy zatyka i oczy zasłania:
Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
A on własnemu sercu niedowierza.
Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
Lęka się dumek, co rozczulić mogą,
A dzielna ręka w godzinę złowrogą
Od bicia serca zadrżeć mu gotowa...
Och! bo to serce bogowie odlali
Z miękkiego wosku i ze twardéj stali.

III.

Stare-ć to czasy, które wam wygwarzę.
Dawno już w próchno rozpadły się ręce
Owego ludu, co w szumnym rozgwarze
Dał Trojdenowi oznaki książęce,
Co mu zwierzając przyszłość swojéj doli,
Przybrał młodzieńca w uroczyste szaty,
W szkarłatną szubę i kołpak soboli,
Dał mu miecz kuty i pancerz bogaty.
Ten miecz, i pancerz, i szubę z hatłasu
Dawno już wilgoć przejadła z mogiły;
Trzy łokcie ziemi i sześć wieków czasu
Tamtejszych ludzi dawno już przykryły.
W stolicy kniaziów, w odwiecznym Kiernowie,
Kurhany władców zaorane miedzą;
Śpi stara Litwa — a jéj potomkowie
Nawet podania swych ojców nie wiedzą.
Zimnym toporem dąb ścinają wzniosły,
Z piersi pradziada na grobie wyrosły;

A z niego drewka szczepiąc do komina,
W święto do ognia zaprosiwszy gości,
Naród coś marzy, niby przypomina,
Majaczy powieść o staréj przeszłości.
Wtedy coś burzy jego krew zaskrzepłą,
Iskra zapału odżywa w nim jawna:
Czy to z powieści, czy z kominka ciepło?
Może ten ogień tlał w duszy od dawna?
Bóg raczy wiedzieć!

IV.

Litewską stolicę
Po Narymuncie objął Trojden młody.
Już go poznały sąsiednie narody,
Gdy jeszcze sprawiał podlaską dzielnicę,
Wiedzieli o nim i cudzy i swoi,
Że mądry w radzie, a chrobry we zbroi.
Ze swéj stolicy, jak ze skały sokół,
Śledził, zkąd grożą najbliższe zamachy:
I Ruś, i Niemców, Mazowsze i Lachy
Bystrém spojrzeniem obrzucił naokół.
Wszędy wrogowie na Litwę zażarci,
Gotowi działać czy jawnie, czy zdradnie.
Trojden rozmyślał: kogo najprzód skarci?
Czyje najazdy uprzedzić wypadnie?
Najniespokojniéj jego oko pada
Na mazowiecką dzielnicę Konrada.

V.

Syn Ziemowitów — od Białego Leszka
Dzierżył te kraje na prawach wassali.
Znajoma Litwie na Mazowsze ścieżka,
Znajome pola, gdzie krew przelewali,
I twarde mury mazowieckich grodów,
I twarde piersi tamecznych narodów.
Dziś dobra pora odznaczyć się świetnie—
Trojden wypadków mazowieckich świadom:
Konrad, pacholę siedemnasto-letnie,
Sił jeszcze nie ma oprzeć się napadom;
Matka, po życia smutnego kolejach,
Mężowskiéj śmierci płacząc, dogorywa;
A lud Mazowszan pracuje we żniwa,
A baronowie polują po kniejach,
A starostowie ucztują w komnatach,
A straż zamkowa usypia na czatach.
Niechże ucztują, niech bawią się sami,
Niech śpią ich straże z bardyszem we dłoni,
Aż róg litewski pobudkę zadzwoni
Pod ceglanemi ich grodów basztami!

VI.

Trojden dał hasło o rannéj jutrzence.
Pokorne echo z gór, lasów i rzeki
Poniosło pilnie rozkazy książęce—
Przez dzień obiegło po Litwie dalekiéj,
Że każda strona, każdy Litwy przedział
Już się wieczorem o haśle dowiedział.

I z gór i z lasów wychyliły głowę
Srogie postaci wojowniczéj dziatwy;
Śpieszą pod Kiernów wojska Trojdenowe,
Że ich rachunek zaprawdę niełatwy;
A wszystko krzepka, gdyby dęby, młodzież,
Chrobre jéj twarze, a straszliwa odzież.
W niedźwiedzich szubach, kudłami do góry,
Przy bokach trąba i siekiera wisi,
W rękach oszczepy, korbacze, kostury,
A zamiast czapki łeb wilczy lub rysi;
A jeszcze inszy uczepił na czole
Długie kły dzika, lub rogi bawole.
A konie Litwy, oszyte w rogoże,
Parskają, spięte trędzlą wojownika.
Zdumione oko rozeznać nie może:
Jaki to potwór z lasu się wymyka?
Bo ludzkich kształtów dojrzeć tu niesnadnie,—
Chyba je serce lękliwe odgadnie.

VII.

Na przedzie Litwy książę Trojden hasa:
Ma strój ozdobny junacko a suto,
Uderza w trąbę, co wisi u pasa,
W trąbę bawolą, we srebro okutą.
Kibić ma smukłą -- znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki, roboty nielada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża;

A z pod brwi gęstéj gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi —
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnéj dziewoi.
Włos kędzierzawy i kita pierzasta
Igrają z wiatrem, gdy leciuchno wionie;
Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu zarasta.
Ręce niezbrojne, krom lnianéj odzieży,
By tém swobodniéj wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Przez jedno ramię na rzemiennym pasie
Wisi róg żubra, którym hasło dawa;
Przez drugie ramię szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, co krwi pragnąć zda się.
U boku wodza, na poprędze złotéj,
Miecz długi, ciężki, niekształtnéj roboty.
Rumak, obleczon czaprakiem z niedźwiedni,
I rży, i parska, snadź zwycięztwo wróży...
Truchlejcie ludy krainy sąsiedniéj,
Już wam podobno nie ostać się dłużéj!
Nie dla popłochu, nie na popis marny
Ten hufiec z puszczy wynurzył się czarnéj!
Aż rzeźwo słuchać, gdy ziemia zatętni
Pod kopytami niezliczonych koni;
Aż echo rade, gdy wojacy chętni
Gwarliwie jadą po leśnéj ustroni,
Lub z męzkiéj piersi, co się nic nie lęka,
Zagrzmi w sto głosów pochodu piosenka.

VIII.

PIEŚŃ POCHODU LITWINÓW.

Niech wesoło szumi las:
Kniaź do boju wezwał nas;
Umocnijmy dzisiaj ducha,
Jutro falą krew zaplucha —
Idziem w dobry czas!

Śmiało, koniu, idź na bój!
Towarzyszu dobry mój!
Kiedy pan twój wrogów drażni,
Ty nie pierzchaj dla bojaźni,
Ale mężnie stój!

W mocnych murach mieszka Lach,
Ale w piersiach jego strach;
A my Lacha w jednéj chwili
Zwyciężyli, wyszydzili,
Wzięli twierdzy gmach!

Ziemię Niemców dobrze znam,
Bo dziewczęta krasne tam;
Lecz my Niemca krwią się zleli,
Krasawice uścisnęli,
Nie uciekły nam!

Gdyśmy daléj poszli w tan,
Drżały mury gdańskich ścian —
My wypadliśmy z zasadzki,
Aż pobledniał wódz krzyżacki,
Gdańskich murów pan!

IX.

Babiński zamek choć ludny i zbrojny,
Lecz mur i rycerz niegotów do wojny.
Zwodzona brama na oścież otwarta,
Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty,
Bo książę Konrad, syn Ziemowitowy,
Polubił tylko biesiady i łowy.
Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,
Ognia nad domem nie baczy i nie wie,
Że najstraszniejsze przygasłe żarzewie,
Że wróg najbliższy, kiedy najmniéj spodzian.
Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę,
Więc postanowił spolować rogacza,
I wszystkich wodzów, i całą załogę
Wezwał na łowy.
Drużyna junacza,
Barony państwa, jakby motłoch ślepy,
Marnie w ostępach łamią swe oszczepy.
Już drugi tydzień, jak goście sproszeni:
Z rana za zwierzem goni się gromada;
W południe sypia wpośród leśnych ćieni;
Wieczorem gwarno do uczty zasiada.
A książę wesół -- a zdrojami płyną
Miód mazowiecki i pannońskie wino.

X.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogala
Huczna drużyna piła pogrzebowe,
Gdy łoskot trąby odezwał się z dala,
Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
Okrzyki mężów i płacze niewieście.
Konrad spojrzenie zwrócił ku drużynie.
—„Słyszycie — mówi — zkąd ten okrzyk płynie?"
—„Nie, mości książę, wszak słuch mi się nie ćmi,—
Odpowie Pełko starszy wojewoda: —
„To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi...
„Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!"
— „Czyście słyszeli te trąby rozgwary?"—
Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.
— „To jakiś starzec zwoływa ogary.
„Śpieszmy do lasu, bo upuścim zwierza."
— „Widzicie łunę pożarną na niebie?"—
Rzekł ku Lassocie, staroście warowni.
Lassota spójrzał naokoło siebie:
—„To nic — odpowie — to jacyś wędrowni,
„Jacyś pielgrzymi, wracając z odpustu,
„Przy drodze sobie naniecili chróstu.
„Spocznijmy raczéj, miłościwe książę,
„Bo jutro rano pracowite łowy.
„Niech wasza miłość swój pancerz odwiąże."
Taką dał radę starosta grodowy.
Trafiło słowo do ucha Konrada:
Odwiązał pancerz i swój oszczep składa,
I na niedźwiedni, jak w miękkiéj pościeli,
Układł się książę, plemię Ziemowita.

Wzorem książęcia dworzanie posnęli.
A po za lasem znowu trąba zgrzyta,
I słychać jęki zmieszane z hałasem,
I chmura dymu zawisła nad lasem.

XI.

A Trojden w zamku — już wdarł się na wały,
Powiązał straże łyczanemi sznury;
Trąby litewskie w warowni zagrały;
Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Litwin z okrzykiem do skarbca się wdziera
I srebra Piastów garściami rozdziela.
Drzwi od kaplicy rozdarła siekiera,
Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
Zabrano srebrne wzorzyste ornaty,
Złote kielichy i relikwiarze.
Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
Pewien, że świętość uszanować każe.
Trojden popatrzał na oblicze Chrysta: —
—„To Bóg wasz?—spyta—za cóż go męczycie?"
Stanął, podumał — i łza uroczysta
Z oczu pogańskich polała się skrycie.
I rzekł do księdza: — „Ten krzyż to mi znany,
„Bo go Krzyżacy na swych płaszczach noszą;
„Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
„Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
„Czemuście, pytam, stary wajdeloto,
„Nie dali wiedzieć do Litwy w téj chwili?
„Tam insze bogi — ale mniejsza o to —
„Waszego Boga mybyśmy bronili.

„Och! jak on cierpi! jak zraniony srodze!
„Za cóż go męczą ciernistą koroną?“ —
Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
By nic z kaplicy więcéj nie ruszono.
Litwa, czcząc rozkaz książęcéj potęgi,
Wyszła z kaplicy, i daléj się wali
W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
Pergaminowe z klamrami ze stali.
Jedne z nich świętsze a oprawne suto,
Stalnym łańcuchem do półki przykuto;
Insze obite cedrowemi deski,
Pobożna ręka zebrała dokoła:
To są Doktory, Ojcowie kościoła,
Z nich dusza ludzka ma pokarm niebieski;
A insze pracy niesłychanéj potem
I piękne kunsztem wybornéj skryptury,
Malował barwą, naprowadził złotem
Mnich Benedyktyn Świętokrzyzkiéj góry:
To chrześciańskiéj nauki filary:
Ewangelia lub Testament Stary;
A insze zasię pergaminu skręty,
Żywe świadectwo pięknéj świata chwili —
To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
Starego Rzymu relikwiarz święty.
Rzym, chrzestna matka Lechowéj krainy,
Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
Podarowała ten spadek jedyny,
Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
Piśmienne skarby Piastowie od wieka
Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
Ale się Litwin w książki nie zacieka:
Lęka się czarów, które w nich być mogą.

Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
Kto wie, te czarne i krasne zygzaki
W swych ostrych żądłach czy jadu nie mieszczą?
Tak się lękając nieznanéj potęgi,
Trojden spoglądał na łacińskie księgi;
Wdział rękawicę — i wolumen stary
Ujął, popatrzał raz, drugi i trzeci,
I rzekł do Litwy: — „Wynieście te czary,
„Puścić je z dymem — niechaj zło uleci.“
Więc dzika tłuszcza na księgi się miota,
Odziera klamry ze srebra i złota,
I w środku zamku suty ogień kładnie,
I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
A kiedy ogień z między kart wybucha,
Gdy się pergamin kurczy i popieli,
Litwini z boku naocznie widzieli
Latającego po nad stosem ducha:
Jak biały ptaszek zwinął się w przestrzeni,
Otoczon blaskiem ze siedmiu promieni.
To był zaprawdę Duch mądrości bożéj,
Z którego Światło, Roztropność, Odwaga;
Ten Duch skrzydlaty nie mści się, nie sroży;
Kiedyś go Litwa na klęczkach przebłaga;
On na jéj głowę rzuci swe odblaski
Ze siedmiorakich promieni swéj Łaski.

XII.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
Związana warty żołnierska drużyna,

A tłum niewieści i dwa stare mnichy
Żadnym oporem nie drażnią Litwina:
Kto niedołężny, pogląda z daleka,
Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
Gdzie stały miody kołodzieja Piasta,
Gdy pije stare wina Ziemowita,
W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
Już się zwycięzca na niewiasty miota,
Na karkach starców probuje brzeszczota,
Podkłada ogień pod dębowe ściany,
Puszcza do okien kamienie i strzały.
Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany;
A kędy stąpią zwycięzcy gwałtowni,
Krew bryzga ziemię i ściany warowni.
Wtém most zatętnił — i co siła zmoże,
Pędzą z ostępu strzelcowie Konrada,
Zbrojni w oszczepy i w myśliwskie noże.
Pełko piorunem na Litwiny wpada,
Tratuje końmi wpół-pijane głowy,
W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
I bój gwałtowny zakipiał tém rzeźwiéj,
Że chrobre piersi dawno go pragnęły.
W lekkich kolczugach wymuskane Lachy
Zwinniéj harcują i mieczami sieką;
Litewskich ramion silniejsze zamachy
Zadają cięcia straszliwsze daleko.
Grzmią silne piersi, człek z człekiem się splata,
Zgrzytają miecze po pancernéj blasze,

Prosta niedźwiednia i zbroja bogata
Latają w szmaty, łamią się pałasze,
Żelazne hełmy druzgoce siekiera,
Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera.

XIII.

Dowódca zamku, Pełko siwobrody,
Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.
Wiek ich nierówny, ale dzielność równa,
Spotkać się z sobą pragną najgoręcéj.
Dusza Trojdena ognista, gwałtowna,
Lecz Pełko w boju doświadczony więcéj.
Zwarli się na pół żelaznemi ciały —
Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył;
Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
Lecz żaden miecza w piersiach nie pogrążył.
Ciosy Trojdena piorunem ognistym
Z góry z gwałtownym uderzają świstem.
Pełko, jak granit mchem siwym porosły,
Tępi pioruny na swém twardém łonie.
W oczach Trojdena całe piekło płonie;
U Pełki uśmiech bohaterski, wzniosły,
Miecz zda się przyrósł do prawicy dziada,
Na każde cięcie — cięciem odpowiada,
Po każdym ciosie znać, że wprawna ręka;
Lach litewskiego nie szczędzi mocarza,
Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
Życia niebacznie na sztych nie naraża.
Był to bój piękny — i Litwa, i Lachy
Stanęli patrzeć, co się zeń wywiąże.

Lach miał kolczugę, a litewskie książę
Pancerz ze szwedzkiéj wykowany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,
Kuty po prostu w niemieckiém kowadle,
Zwijał się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał kolczugę, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pełki stalowy, wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach niezdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to jak ogniem pali,
Krasny krwi sznurek wytryska z pod stali.
Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczole
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem:
Trojden zakipiał — i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pełko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie,
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał,
Ciężki napierśnik oderwał się z szyje;
Już w rękach Lacha wenecki puginał
Miał się dopytać, kędy serce bije,
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło — padł lacki wojwoda,
Jak dąb spróchniały, gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Pierś Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepczą: „Jezus i Marya...“
Skonał...

XIV.

Litwini wszędy górę biorą,
Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
Jeszcze krwią płynie podwórzec zamkowy,
Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo.
Leżą na ziemi okryte kurzawą
Szczątki zbroicy i ludzkie tułowy,
Dobija rannych litewska siekiera,
Jęk konających aż duszę rozdziera.
Już Trojden z Lachów bolesnego jęku
Może odgadnąć zupełną wygranę, —
Zamek bezbronny ujrzawszy w swych ręku,
Chce z niego zabrać łupy niezabrane,
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty
I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

XV.

Po starych komnat kamiennéj podłodze
Idzie, stukając miedzianym brzeszczotem;
Wiedzie za sobą swoje chrobre wodze,
A twarz zwycięzcy zlana krwią i potem.
Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki roboty nielada,
A kita strusia wiatrami rozwiana
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża.
A z pod brwi gęstéj gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi:

Wzrokiem przeszyje pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnéj dziewoi.
Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
Szałem wściekłości oko mu nie płonie;
Zdobi włos czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu porasta;
Ręce niezbrojne, krom lnianéj odzieży,
By tém swobodniéj wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
Na jednéj trąba, którą hasło dawa,
Na drugiéj ostra, szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, już krwią napojona;
Krew na jéj ostrzu jeszcze się rumieni,
Spada kroplami na tafle kamieni.

XVI.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty,
Tylko im echo na odpowiedź tętni.
Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
Tu ucztowali wodzowie pamiętni;
Tu zwykł i Konrad, zmordowany łowy,
Ucztować z pany, ze swymi starosty.
Na łosich rogach wsparty stół dębowy,
Daléj ławice, gdzie siada lud prosty;
A daléj sfory przykute do ściany,
Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
A daléj komin, co w słotną pogodę
Sowitym ogniem wybuchał po sali,

Kędy siadają starcy siwobrode,
A u ich kolan pachołkowie mali,
Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
Gdzie miód i wino leje się w puhary.
Dziś ta komnata i pusta, i głucha,
Ledwie rozmierzyć okiem jéj obszary;
Tylko tu goszczą od końca do końca
Echo rozwlekłe i pasemka słońca
U krat okiennych.
Komin się nie węgli,
Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
Litwini przeszli, spojrzeli w około,
Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

XVII.

Trojden pchnął we drzwi—ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
Litwin się cofnął, jak gdyby przelękły,
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka,
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
Lecz się opatrzył — to dziewica lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;
Lecz jéj spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie postał na twarzy.
Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
Kędy się rodzą i Chrobrzy, i Śmiali,

Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali.
Stara piastunka nad księżniczki głową
Nóciła starą piosenkę bojową;
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiéj i łagodnéj razem;
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
W czarnéj odzieży i w białém nagłowiu,
Stanęła we drzwiach, jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż, co dziewica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściéj
Straszliwszém ostrzem przebił pierś książęcia.
Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzców tłumie;
Znowu spojrzała — cofnęli się srodzy,
I mową ruską, co Litwa rozumie,
Tak się ozwała do litewskich wodzy:
— „Słabość dla mężnych jedyna zapora.
„Nie wnijdziesz daléj, bo tam matka chora.
„Książę rycerskie! bądź wiernym twéj cześci,
„Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
„Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
„Nie nadużywaj praw twojego miecza.
„Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
„Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
„Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
„Zabieraj wszystko, co ci się podoba,
„A cześć uszanuj w godzinę złowrogą,
„Bo twoje losy przeważyć się mogą.

„Nie patrz szyderczo, że, słaba i młoda,
„Grożę oszczepem chrobremu wodzowi:
„Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
„Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
„Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zginę,
„Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!“
Rzekła — i k'piersiom litewskiego księcia
Podnosi oszczep, na życie niepomna;
Płonie w jéj twarzy wstydliwość dziecięcia,
A w oczach zapał i wola niezłomna.

XVIII.

Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi,
I zakłopotan do dziewicy rzecze:
— „Kniahini Lachów! my chrobrzy z chrobremi;
„Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze.
„Żaden zły zamiar w méj myśli nie postał,
„I żal, i wstyd mi, żem zwycięzcą został;
„Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
„Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
„Wziąłem więc zamek — to nie moja wina:
„Dla czegoż wasi nie strzegli go lepiéj?
„Nie wskrzesić z martwych tych, co w boju padli,
„Lecz każę przestać wojennéj srogości;
„Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
„Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości;
„Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
„A jutro w dalszą puścimy się drogę!“
Rzekł i na stronę wodzów odprowadza,
Wydał rozkązy do drużyny dzikiéj,

I w jednéj chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
Wpół taktu w bójce żelazo upuszcza;
Tylko z dziedzińca posłyszysz z daleka
Jęknie raniony lub trwożny ucieka.

XIX.

Hanna, oparta na drzewcu od włócznie,
Zdumioném okiem na Trojdena patrzy;
Bo czyn szlachetny, piękniejszy im rzadszy,
Serce dziewicze zhołduje widocznie.
Jeśli chcesz, mężu, mieć łaski Kupida,
Trefić twe włosy na mało się przyda:
Niechaj niewiasta raczéj na twém czole
Pięknego czynu widzi aureolę!
Ty, strojny blaskiem twojego ramienia,
Zostaw zaloty pieszczonéj młodzieży:
Niech z oczu twoich, zamiast przymilenia,
Jak błyskawica wielka myśl uderzy;
A ta, co myśli, co czyny wywoła,
Potędze twojéj oprzeć się nie zdoła.
Dusza jéj stanie w nadziemskim zakresie,
Dumna twym czynem przestanie być płocha,
Ołtarz dla ciebie w swojém sercu wzniesie,
Wprzódy uwielbi, potém cię pokocha.
A taką miłość, uwielbienie, chlubę,
Niełacno z serca, niełacno utraci!
Choćbyś, jak Trojden, w jéj dom niósł zagubę,
Choćbyś się skrwawił posoką jéj braci,

Ona, niepomna swych łez i rozpaczy,
Duszę pogrąży w twego czynu pięknie,
Wszystko zapomni, wszystko ci przebaczy,
I mimo woli przed tobą uklęknie.
Bo serca niewiast, lękliwe a drżące,
Każde wrażenie do głębi poruszy;
Czułe na piękno, jak kwiatek na słońce,
Lubią się zdumieć bohaterskiéj duszy.

XX.

Trojden powrócił — a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele,
I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy,
I mężne ręce jak do prośby składa;
Tak w téj postaci było mu do twarzy,
Że się spłoniła krasawica blada.
—„Kniahini Lachów! wnet się bój uśmierzy;
„Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty,
„Wpuśćcie mnie teraz do dalszéj komnaty,
„Niechaj się waszéj pokłonię macierzy,
„Niech trudy wojny złożywszy z méj szyje,
„Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję.“
—„Szlachetny kniaziu!—odpowie mu Hanna—
„Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
„Ale twój pancerz i zbroja blaszana
„Może przestraszyć moją matkę chorą;
„Na twym toporze i na pochwie miecza,
„Patrz: jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
„Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
„A chleba z nami spożyjesz pospołu.

„U moich przodków szerokiego stołu
„Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
„Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
„Wkrótce powróci z obławy na zwierza,
„I wypijecie puhary przymierza,
„I ręce sobie chętliwie podacie.
„U Ziemowitów — u stołu Konrada,
„Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada!"

XXI.

Wyszła uprzedzić matkę o gościnie,
Trojden zdejmuje hełm pierzasty z głowy,
Otarł krew lacką, co po zbroi płynie,
Odpasał z ramion swój topór stalowy
I miecz swój gruby, wykowany z miedzi,
I tęskno z komnat czekał odpowiedzi.

XXII.

—„Wnijdź, książę Litwy! gość w domu, Bóg [w domu!"—
Mówiła Hanna, rumieńcem oblana;
Wzięła za rękę pięknego młodziana,
A już jéj ręka drżała pokryjomu.
Szli przez komnatę sklepioną, wysoką;
Nic nie przerywa uroczystéj ciszy.
Trojden k'niéj zwrócił płomieniste oko,
Coś mu się zdało, że westchnienie słyszy;
Zwiesiła główkę — a Pan Bógże zgadnie,
Co się tam w myśli dziewicze zakradnie?

Wtém się sąsiednia otwarła alkowa:
Tam matka Hanny, poważna matrona,
Księżniczka z Rusi, Ziemowita wdowa,
Jęczała, długą niemocą dotkniona,
I obyczajém swéj rodzinnéj strony
Chciała uklęknąć—lecz chwieje się, słania.
—„Kniahini Lachów!—rzekł Trojden wzruszo-
„Dajcie mi rękę na znak przejednania.“ [ny—
—„Nie gub nas, nie gub i z duszą i z ciałem!
„My wiemy, wiemy, czém są wojny prawa!“ —
Mówiła matka z wejrzeniem nieśmiałém,
A łza boleści na jéj oczach stawa.
—„Pokój wam, księżno!—Trojden jéj odpowie,
Zgrzybiałą rękę całując z pokorą —
„Nie bój się Litwy: już my nie wrogowie;
„Złóż na posłanie twoją głowę chorą.
„W twym grodzie Litwin tryumfował górą,
„Lecz się ukorzył przed krasną twą córą.“
— „Hanno!—spytała mazowiecka księżna: —
„Czemu Konrada nie mam przed oczyma?
„Pewnie, gdy naszła drużyna orężna,
„Wybiegł do walki — może go już niéma!
„O, głowa biedna! głowa moja siwa!
„Jakiegoż dzisiaj sieroctwa dożywa!“ —
I załamała rozpaczliwie ręce:—
„Na co mi życie? na co mi zaszczyty?
„Na co mi państwa i grody książęce?
„Mówcie: gdzie Konrad? czy syn mój zabity?...
„Wodzu Litwinów! tém samém żelazem
„I mnie zabijcie... zabijcie z nim razem!“
—„Konrad z panami na łowach się cieszy,—
Odpowie Hanna:—on nic jeszcze nie wie.

„Obaczył pewnie nad zamkiem żarzewie,
„Nie bój się, matko, zaraz tu pośpieszy.“

XXIII.

— „Jam tutaj, matko!—zabrzmiał okrzyk w sa-
„Potrafię chodzić po ojcowskiéj ścieżce. [li —
„Niedługo będą cieszyć się zuchwali,
„Z grodu mych przodków wycisnę łupieżce!“
Drzwi się rozwarły, i Piast młody wpada;
Zajadłość w oku, miecz w ręku Konrada.
—„A tuś, mi kniaziu!... tu na moje szczęście!“—
Rzekł, k'Trojdenowi podbiegając srodze....
Trojden bezbronny ścisnął silne pięście,
Grzmotnął mu w piersi, złożył na podłodze.
Krew kipi w piersiach Piastowego syna,
Powstał z podłogi... słania się i chysta —
Miecz w jego rękach jak piorun zaśwista,
I straszna walka znów się rozpoczyna.
Litwin, hartownéj podobien opoce,
Znowu mu w piersi całą siłą grzmoce.
Lecz w téjże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury.
— „Nie sróż się, bracie! posłuchaj mię woléj;
„Od twojéj zemsty nie wskrzesną umarli.
„Wiadoma losu wojennego koléj:
„Litwini wpadli — nasz zamek odarli.
„Była tu walka mordercza i wściekła;
„Część naszych padła, a reszta uciekła.

„Nasi zwycięzcy już byli gotowi
„Rozpocząć pożar i rabunek w grodzie;
„Jam tylko sama wyszła ku wodzowi —
„Męzka szlachetność już mu duszę bodzie.
„Wstrzymała walkę jego woli władza,
„Łupy nam wraca, szkody wynagradza.
„Wyzuł się z hełmu, odpasał miecz kuty,
„A teraz gościem przychodzi w te progi.
„Nie czas na żale, nie czas na wyrzuty;
„Złóżcie, rycerze, wasz zapęd złowrogi.
„Ten, co szlachetnie usłuchał niewiasty,
„Co miecz zwycięzki sam na stronę kładnie,
„Czyż ma żałować, że wszedł między Piasty?
„Zginąć w ich zamku, zamordowan zdradnie?“
Tak mówi Hanna, a jasne jéj oko
Zagrało blaskiem i łzami zachodzi.
Bystrém spojrzeniem zmierzyli się młodzi,
W głąb swego serca zajrzeli głęboko,
I w bratni uścisk serdecznie się wiąże
Z książęciem Litwy mazowieckie książę.

XXIV.

W dziedzińcach zamku, u jednego stołu,
Litwa i Lachy ucztują pospołu,
Synowie Piastów gościnni, bogaci,
Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
A Litwa spełnia najpierwsze puhary,
Jako wspominek po umarłéj braci,
Drugie w cześć bogów i ojczystéj ziemi,
Trzecie na zgodę z dziećmi Lachowemi.

Ucztują wespół zgodni i weseli,
Jak gdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

XXV.

A druga uczta na zamku Konrada.
Jeszcze weseléj i jeszcze tam słodziéj:
Wróg przeciw wroga do stołu zasiada,
Obadwaj chrobrzy i obadwaj młodzi;
Toczą rozhowor o łowach i psiarnie,
O bystrych koniach i rodzajach broni.
A Hanna włosy z nad czoła odgarnie,
Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
Tak zasłuchana i zaciekawiona,
Sama nie zgadnie, co się w głowie marzy;
Jeno skraśnieje, jak wiśnia czerwona,
Gdy wzrok Litwina spocznie na jéj twarzy;
A sama nie wie, że swemi oczyma
Lwa straszliwego na uwięzi trzyma.
Ale król puszczy nie zwykł do łańcucha,
Nie zdoła w ciszy zachować się dłużéj;
Niezwykła taić, gdy się serce burzy,
Mężna pierś jego westchnieniem wybucha.
Nalał swój puhar, wypił go w połowie:
— „Kniahini Lachów! to za wasze zdrowie,
„W cześć waszéj córy! ja k'niéj sercem płonę...
„Dajcie mi Hannę, dajcie mi za żonę!
„My, stara Litwa, żołnierscy a prości,
„U nas długiemi słowy się nie mami.
„Szerokie moje ziemice i włości;
„Wiecznêm przymierzem opiszę się z wami;

„Książęce skarby złożę pod jéj nogi;
„Zrównam jéj głowę z wielkimi mocarze;
„Czcić będzie swoje, a ja swoje bogi,
„Modlić się będzie, jak jéj wiara każe;
„Zostanie bóztwem na litewskiéj ziemi,
„Królować będzie nad ludźmi dobremi!“
— „Mocarzu Litwy! jam tylko niewiasta, —
Odpowie matka: — jam przyzwolić rada.
„Konrad jest głową u rodziny Piasta:
„Mocarzu Litwy! zapytaj Konrada.“
— „Hanno!—brat spyta—wola, czy niewola?“
Hanna oblicze w drobnych rączkach chowa:
— „Trojden zwycięzca — jam branka bojowa,
„Niechaj od niego zależy ma dola;
„Niech waszym chęciom uczyni się zadość,
„Będę nagrodą szlachetnego dzieła!“
Klękła przed matką i płakać poczęła,
A przez jéj oczki prześwieca się radość.

EPILOG.

Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro?
U nas się kochankowie tak prędko nie biorą.
Darujcie, jam podania nie wysnuł z méj głowy,
Wziąłem je całkowicie z kroniki dziejowéj.
Jeden wiek pisze swoje, drugi swoje prawa,
Każdemu cudzy zwyczaj dziwnym się wydawa.

Historya podania nie kłamie, jak tuszę.
Ej, dziwne Laszek oczy, a Litwinów dusze!
Litwa do pięknych czynów zapala się snadno,
Ej, to cud pięknych oczu, ćo sercem zawładną!
Nie wstyd być dla mężnego pod urokiem wdzięku,
I złożyć krwawy brzeszczot, co już dzierżył w ręku,—
Ej, nie wstyd bajarzowi, nie wstyd dla pieśniarza,
Sławę takiego czynu gdy ludziom powtarza!
Każda cnota, natchniona świętym Duchem Bożym,
Łacniéj się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.
A gdy lubim powieści z upłynionéj chwili,
Dajcie ucho méj pieśni, czytelnicy mili,
A obrokiem duchownym niech was Bóg posili!

22 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZGON ACERNA.

CHWILA Z XVII WIEKU.

(1608 roku).

I.

Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do fórty jezuickiéj drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzi mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie!
Znają w całym Lublinie jego sierść, nazwisko:
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieńmi; kruchciani dziadowie
Napróżno swemi szczudły biją go po głowie:
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokornéj,
Ale go nie odpędzisz od fórty klasztornéj;
Chciałby wcisnąć się milczkiem i omylić straże,
Ale Ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.
Wtém stateczny przechodzień we dzwonek zadzwoni—
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną wcisnąć się z nim razem.

Przychodzień go pogłaskał: — „To ty, psino wierna!
„Jedyny przyjacielu biednego Acerna!
„Pójdziem nad jego łoże, oczy mu zasłonim:
„My w Polsce tylko jedni zapłaczemy po nim!
„Przy skonaniu pieszczocha sarmackiéj cytary
„Pożałuje pies stary i przyjaciel stary...
„A reszta Polski zimna — nie wie, ani zważa,
„Że w téj chwili utraca wiernego gęślarza,
„Co jéj chlubę poczciwie głosił w świat daleki!“
Tak powiadał przychodzień — łzę otarł z powieki,
I zadzwonił powtóre, potrzecie, poczwarte;
Skrzypnęły rygle fórty powoli otwarte,
I z za fórty, co z ciężkim zgrzytem się rozpada,
Twarz Ojca odźwiernego wychyla się blada:
—„Czego tu waszmość chcecie? tak silnie dzwonicie!
„Po dziewiątéj godzinie, choćby szło o życie,
„Niewolno bywać obcym za klasztorną kratą,
„Chyba da Ojciec rektor zezwolenie na to.“
—„To idźcież do rektora i wracajcie żwawo.“
—„Ach! czy to wasza miłość? Sam wpuścić mam
[prawo:
„Lekarz Albertus Oczko, miły gość w klasztorze,
„Za fórtę *Societatis* zawsze wchodzić może.“
Tak mówił Jezuita z uśmiechem słodyczy;
A brytan wpadł do fórty, smutnie zaskowyczy
I pobiegł w korytarze.
— „Cóż Klonowicz przecię?
„Czy zdrowszy dziś, czy słabszy? nic o nim nie wiecie?“
Zapytał Wojciech Oczko.—„Źle—odrzekł odźwierny:—
„Daliśmy mu w klasztorze kątek miłosierny
„Za to, że nas osławił po sarmackiéj ziemi,
„Za to, że szczypał zakon pismy dotkliwemi,

„Że nas przezwał gangreną straszliwych bezprawi,
„Co kraj cały zarazi i o śmierć przyprawi.
„My mścić się nie umiemy na sprawcach potwarzy,
„Bo Chrystusa znieważa ten, kto nas znieważy.
„Bóg zwrócił na bluźniercę zagniewane oko —
„I ów Acernus głośny, sławiony szeroko,
„Przyszedł na stare lata do torby i kija,
„Nędza go i zgryzota przed czasem dobija,
„A kraj, co w jego pismach tak wielce spodoba,
„Nie dźwignął swego wieszcza z barłogu Hioba.
„Lecz przyszedł Jezuita, wziął z błota oszczercę,
„Okazał niegodnemu miłościwe serce;
„Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonéj wala,
„Dał mu gościnny kącik swojego szpitala:
„Niech świat patrzy i uzna Jezuitów czyny,
„Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny.“
Rzekł odźwierny i westchnął w prostocie gołębiéj;
Westchnął i Wojciech Oczko boleśniéj i głębiéj:
Na starego lekarza osiwiałéj rzęsie,
Jak gwiazda promienista, łza gorzka się trzęsie.

II.

—„Do celi, gdzie Acernus, wejść teraz nie możem:
„Rektor go pojednywa z miłosierdziem bożém.
„Dzisiaj prosił o spowiedź z pokorą i skruchą,
„Rektor jego spowiedzi sam raczył dać ucho,
„Sam wprowadzi grzesznika w wiekuiste wrota,
„I Olejem namaści, i da Chleb żywota;
„Sam wydrze jego duszę piekłu i rozpaczy.
„My wrogom przebaczamy—niech im Bóg przebaczy!“

Tak, wiodąc sklepieniami ciemnych korytarzy,
Odźwierny Jezuita sam do siebie gwarzy,
Bo lekarz, w tęsknéj myśli pogrążywszy ducha,
Słów jego nie uważa, przechwałek nie słucha.

III.

Przed nizkiemi drzwiczkami zakonniczéj celi,
Nie śmiejąc do niéj pukać, przybyli stanęli.
Ztamtąd płacz dolatywał i rozmowa cicha:
To schorzały głos starca, to mocniejszy mnicha;
Aż w końcu pełnym dźwiękiem do ucha uderzy
Uroczysta harmonia łacińskich pacierzy.
Snadź już rektor ukończył spowiedniczą pracę,
Rzekł: „*Ego te absolvo, jam vade in pace!*“
I słychać głuchy łoskot jak o trumnę młota:
To skruszony pokutnik tak się w piersi grzmota.
Odźwierny kląkł się modlić, jak ustawy każą,
Wojciech padł na kolana z uroczystą twarzą
I modlił się ze łzami: „Ach! odpuść mu, Chryste!
„Ścieżki jego żywota tak były cierniste,
„Dni jego na tak ciężkiéj upływały probie!
„Przygarnij męczennika, przygarnij ku sobie!
„Niechaj pieśniarz lechicki, w cierniowéj koronie,
„Godzien będzie *Hozanna* śpiewać przy twym tronie!“

IV.

W celi zabrzęknął dzwonek. Na ten sygnał cichy
Wychodzą ze swych komnat na korytarz mnichy,
Wszystka czeladź klasztorna sypie się jak mrowie,
I dziady z pod kościoła, i szkolni żakowie.

I otwarły się drzwiczki od ubogiéj celi:
A tam na wiązce słomy, na grubéj pościeli,
Klęczał schorzały starzec, i ręce kościste
Podnosząc ku niebiosom, wołał: — „Jezu Chryste!
„Dozwól, bym godnie przyjął ostateczne chryzma,
„Udziel mi zlitowania, co doznał łotr Dyzma,
„Umierając na krzyżu!“... Chciał daléj wieść modły,
Ale piersi schorzałe już starca zawiodły:
Tylko ustami rusza, ręce splótł na łono.
Wtém znowu uroczyście w dzwonek uderzono;
Rektor Hostyę podniósł, chory głos natęża;
Upadli na kolana laicy i księża.
„Oto Baranek Boży!...“
Chory patrzał k'ziemi,
I sercem upragnionem, usty złaknionemi
Przyjął Chleb odkupienia... odżył w nowe siły;
Oczy jego tak dziwnym blaskiem zaświeciły,
Coś tak dziwnym urokiem twarz mu promienieje,
Że zda się nowe życie i nowe nadzieje
Poczęły igrać w tętnach młodzieńczego łona,
Wstąpiły w marny szkielet, co za chwilę skona.
Choć jeszcze nitka życia w piersiach mu nie pękła,
Lecz już dusza głęboko w niebiosa zasiękła;
Oczy tak mu się wpiły w krucyfiks na stole,
Że ostatni dar ziemski—cierpienia i bole—
Gotów przenieść jak kamień... Ale z wolna... z wolna,
Słabnie lepianka ciała, słabnie nieudolna,
I boleść chorowita znów dotyka zmysły;
Oczy wieszcza przygasły, ręce mu powisły,
Osunął się na pościel, czując kres złowrogi.
Rektor prędko namaszcza czoło, ręce, nogi
Ostatniém pomazaniem — chory, zda się, kona...

Nie! — tylko dusza jego, w niebo uniesiona,
Zda się z padołem płaczu zerwała widocznie.
Lekarz przerwał modlitwy: — „Niechaj trochę spocznie,
„Niechaj zbolałą głowę przytuli na łoże,
„A jeszcze siła życia zagrać w piersiach może.“
Więc skończono obrządek — a ci, co klęczeli,
Szepcąc pacierz, odeszli od nędzarskiéj celi;
Tylko został z gromnicą jeden Jezuita,
I stary dziad kościelny, który Psałterz czyta,
I stary Wojciech Oczko z kroplami tyzanny,
I stary wielki brytan, co jęk nieustanny
Ronił po korytarzach. Acernus śpi błogo;
Już mu łza nie pomoże, leki nie pomogą;
Jeszcze ocknie się trochę, by pożegnać ludzi,
A potém, znów gdy zaśnie, aż na Sąd się zbudzi.

V.

Ściemniało... noc zapada. U głowy Łazarza
Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza,
Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi,
Ogień pała nierówno — jaskrawiéj, to bladziéj;
A po wilgotnéj celi, po zczerniałéj ścianie,
Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.
Piękna była w tém świetle blada twarz Acerna:
Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
W uściech nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
Na czole zmarszczki cierpień—ślad życia na świecie,
Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
Bo może dusza wieszcza błogi kraj oblata,

Żegna swoją ziemicę, odchodząc ze świata.
Może gromadę ziomków przeprasza najczuléj,
Co kielich jego życia goryczą zatruli,
A on, gdy cierpliwości braterskiéj nie stało,
Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
Już mu Pan Bóg odpuścił — przeznał dobre chęci;
Odpuśćcie jego winę i ludzie zawzięci!
Bo jego cała wina, że czuł nadto żwawo,
Że jęcząc opatrywał swoją ranę krwawą!!

Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu bożém;
A stara jego harfa, wisząca nad łożem,
Nietknięta od nikogo, zda się, pieśnią dycha,
Niedosłyszaném drganiem pobrząkiwa z cicha.
O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
Że przeczuła pieśń duszy, którą śpiewa we śnie,
I poczęła mu wtórzyć — znane jéj zadanie
Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy,
Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?...

VI.

A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
Że czuć obecność śmierci, nim jeszcze zapuka:
Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,
Głowę oparł na ręku, wzrok wlepił w Acerna,
A łza staréj przyjaźni, rzewna, miłosierna,

Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska,
Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
Wiatr uderza do okien, wzdycha Jezuita,
A dziad chrapliwym głosem *Miserere* czyta.

VII.

Wieszcz ocknął się ze drzemki i słodko uśmiecha;
Przyjacielsko powitał starego Wojciecha,
I rzekł doń:—„Miły Oczko! wierzyć nie możecie,
„Gdziem to ja latał we śnie—och! po całym świecie!
„Śniłem, że jestem *Flisem*... w ładownéj komiędze,
„Zda się, szybko nurtami wiślanemi pędzę;
„Od źródeł płowéj Wisły do Gdańskiego grodu,
„Obiegłem całą przestrzeń, jak niegdyś za młodu.
„A cała ta kraina, na żyznym zagonie
„Usiadła, jak pieszczocha, u Boga na łonie;
„Jakie tam żyzne pola, jakie piękne lato,
„Jak tam w wioskach wesoło, jak w miastach bogato!
„Jakie echa dla pieśni w téj miłéj zaciszy,
„Hukniesz kędyś nad Wisłą—trzy powia-
[ty słyszy!...
„Wzniosłem się na powietrze — wytężyłem oko,
„I widziałem Ruś piękną, całą Ruś szeroką.
„Do odwiecznego Lwowa zawitałem gościem,
„Krążyłem nad Kamieńcem, nad krzepkim Zamościem,
„Zlatałem Busk, i Sokal, i Horodel stary,
„Przesnułem się świętemi w Kijowie pieczary.
„Zakrążyłem raz jeszcze — i spadłem jak ptaszę
„Na puszcze roksolańskie, stare puszcze nasze:
„Wszędy mię było pełno... Zajrzałem do kwiatka,
„Byłem pszczółką, gdzie żwawa krząta się gromadka,

„Przyniosłem kroplę miodu dla pszczółek i dla się,
„Skosztowałem go nieco: upoił mię zda się,
„Upoił aromatem macierzystéj niwy...
„I od wioski do wioski latałem szczęśliwy,
„Widziałem prace ludu pasterskie i rolne,
„Dzieliłem jego trudy i życie mozolne,
„Zabiegłem w jego serce, przeznać duch człowieczy,
„I widziałem tam pięknych, siła pięknych rzeczy!...
„Kochałem go i dawniéj: małeć to zasługi...
„Och! gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
„Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściśléj,
„I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli:
„Tam się serce odmładza, tam dusza korzysta;
„Pieśń byłaby dźwięczniejsza, a myśl bardziéj czysta.
„Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
„Zarazili mi serce niechęcią do braci...
„Gdyby mnie otaczali wyrobnicy prości,
„W dniachbym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości,
„Nie bluźnił Panu Bogu!!... Gromiąc błędy cudze,
„Ani mi się marzyło o własnéj zasłudze.
„A pole do zasługi szerokie mi dano:
„Całą drogę cierniową, krzyżami usłaną,
„Gdzie przez ostre kamienie, pokrzywy i osty,
„Przez Golgotę do Nieba prowadzi szlak prosty.
„Chrystus szedł tym gościńcem, ale szedł inaczéj;
„Mnie dano krzyż—jam dźwigał, klnąc moich siepaczy!
„Kląłem głośno — jak niegdyś modlił się psalmista,
„Przy dźwięku świętéj harfy, co była tak czysta...
„Gdy święcone jéj struny skalał śmiech mój zimny,
„Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny;
„I duch mój obumierał, nie czując swéj straty,
„Stał się gorzki jak piołun, jak oset kolczaty...

„Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga,
„I przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga.
„Chleb mój jadłem z popiołem, zwiądłem jako trawa,
„Lecz modlić się z Dawidem nie miałem już prawa,
„Bo w dniach mojéj boleści bluźniłem Jehowie...“

VIII.

— „Ej, panie Fabianie! — Wojciech mu odpowie —
„Zbyt się brzydką rozpaczą unosisz w tym względzie.
„Pan Bóg za twoje pieśni karać cię nie będzie,
„Zgorszeniem się potomnych serca nie napoją:
„Poczciwa chęć natchnęła każdą pieśnię twoją.
„Wszak w *Worku Judaszowym* i *Zwycięztwie bogów*
„Pragnąłeś zedrzeć larwę szkodliwych nałogów;
„A swojemu krajowi usłużyłeś godnie:
„Jak Herkules potwory, tyś zwyciężał zbrodnie.
„Acernie! twoją chwałę wiek przyszły zobaczy,
„Tylko w ostatniéj chwili nie daj się rozpaczy!“
Tak starca Wojciech Oczko przekonywać zacznie,
I rękę uściskając, bada puls nieznacznie.
A w pulsach krew zastygła kipi gorączkowo,
Podsycona marzeniem i żwawą rozmową.
Po mętnych jego oczach blask przebieżał wilczy;
Drżą mu spalone usta... ale jeszcze milczy;
Chmurnieje mu na czole troska frasobliwa;
Zbiera ostatek myśli, co już się rozrywa;
To cały pokraśnieje, to jak mur pobladnie;
Z ust mu się wymykają gorączkowe brednie.
Oczko chce dać lekarstwa, przemawia doń z cicha,
Lecz on już głosu nie zna, a rękę odpycha;

Wzrok jego bezprzytomny, jak winem pijany,
Wlepił się nieruchomie w jeden kątek ściany,
I w wilgotnéj komnaty ponurém przezroczu
Widzi kształty, dla innych niedojrzane oczu.

IX.

I szepce: — „Ha! to śmiesznie: ktoś mi mówił wczora,
„Że ja zwalczyłem zbrodnie, jak Herkul upiora,
„Że mi Polska zostanie wdzięczna i pamiętna,
„Żem zmazał z jéj oblicza kalające piętna.
„Tak!... żółć z mojego pióra... wygryzła ich wady!..
„A cóż znaczy na ścianie ot ten lichwiarz blady,
„Co z brodą szafranową i z postawą lisa?
„Jako smok afrykański, krew słonia wysysa,
„Tak on wysysa biednych, krew ludzką [wypija...
„A cóż znaczy ta druga pełzająca żmija,
„Co się wszędy doczołgnie, co się wszędy wetrze,
„Przedaje wyrok sędziów, przedaje powietrze,
„Co na haczyk swéj wędki uczepiwszy złoto,
„Wyciąga dusze ludzkie i znaczy sromotą?...
„Po co tu ów świętoszek najszkodliwszy z ludzi,
„Co z rzemiosła cześć bliźnich rozdziera i brudzi?
„Słuchajcie, jak on wzdycha! patrzcie, jak się modli!...
„Wszak w Polsce od mych pisem zginęli już podli,
„Jak muchy od cykuty!!... A toż co za dziwa?
„Woźny do trybunału sprawę przywoływa;
„Przychodzą dwaj pieniacze ku sędziowskiéj radzie:
„Jeden swoje dowody — drugi halerz kładzie,
„Chce przekupić statutów przysięgłego stróża;
„Patrzcie, jak się dłoń sędziów przedłuża... przedłuża,

„I kościstemi palcy złoto k'sobie zgarta!...
„Czego chce ta niewiasta ze wstydu odarta,
„Co przedaje wstyd innych?... Patrzaj na tych graczy:
„Jeden z twarzą wybladłą, z wyrazem rozpaczy,
„Majątek i poczciwość na rzut kości ciska!...
„Czy widzicie ohydne uczuć targowiska?
„Czy słyszycie jęk smutny, co aż serce targa?
„To ubogiéj sieroty żałościwa skarga,
„Na któréj całe mienie już chciwością pała
„Złoczyńca we lwiéj skórze — ludzkości zakała!
„Patrzcie... wysuwa szpony... Ktoś puka we·wrota:
„Tłoczy się do drzwi możnych podłość i głupota;
„Przymila się pochlebca do Plutusa dzieci,
„*Jak jaskółka za latem, on za szczęściem le-*
„Patrzajcie, jak obżarstwo zapalczywie zmiata [ci...
„Zagraniczne przysmaki ze stołu magnata!
„Patrzajcie, jak lenistwo, po sutéj biesiadzie,
„W aksamitnych wezgłowiach spoczywać się kładzie,
„A panu za gościnność wdzięcznie a uprzejmie
„Przedaje swą szablicę i swój głos na sejmie!...
„Wszak już takich występków nie ma Polska nasza,
„Od czasu, gdym je skarcił w mym *Worku Judasza?*
„Robactwo się nie pastwi nad społeczném ciałem??
„Więc nienapróżno żyłem — niedarmo śpiewałem —
„I Pan Bóg mię nagrodził w miłosierdziu świętém,
„Że hydrę nieprawości znękałem ze szczętem!...
„Lecz patrzajcie: tam szatan poruszył się w ciemnie...
„Czego on tak chychoce? urąga się ze mnie!
„Urąga się z mych pieśni, co miałem w pokorze
„Zanieść jako zasługę przed Oblicze boże!..."

X.

Na wspomnienie szatana struchlał Jezuita,
Dziad kościelny pobledniał, kropielnicę chwyta
I podał egzorcyście. Ksiądz pokropił ściany:
— „*Vade, vade, sathanas!*—wyjęknął zmieszany
I gęsto krzyżem żegna chorego i celę:—
„Odejdź, odejdź do piekieł, ciemności aniele!“

— „Nie! szatan nie odchodzi, nie lęka się krzyża...
„Lecz patrzcie... gość promienny do mnie się przybliża,
„Uśmiechem uspokaja, gdy się serce trwoży...
„Bądź mi pozdrowion, gościu, posłańcze ty boży!
„Ja czytam w jego oczach wyrok przebłagania,
„Wiankiem cierni jak tarczą głowę mi osłania,
„Aby potwór zabójczy nie zbliżył się do mnie...
„Patrzajcie... ja nie marzę... ja mówię przytomnie.
„Ja widzę ich — obadwaj latają w przestrzeni,
„I obadwaj promiennym blaskiem otoczeni;
„Lecz z jednego blask krwawy płomieńmi wybucha,
„A w środku czarna postać straszliwego ducha.
„Jakże dzikie szyderstwo czytam w jego twarzy!
„Jaka zabójcza groźba na oczach się żarzy!
„Straszno mi... módl się, księże... krop święconą wodą,
„Bo mię jego źrenice przepalą, przebodą...
„O!... teraz już mi lepiéj... przyleciał duch biały,
„Jego tęczowe blaski całkiem mię obwiały,
„A promyk z jego oczu aż mi serce głaska...
„O, Hozanna! Hozanna! Zbawienie i Łaska!...
„Czyż dla mnie takie szczęście? dla mnie taka chwilka?
„Za kilka łez gorących, za mych cierni kilka,

„Za miłość pól rodzinnych, com kochał z zapałem,
„Za piosnki... których jeszcze—ach! nie dośpiewałem...
„Co znaczy taka miłość? co znaczą te pieśnie? —
„Teraz czuję, co mogłem... ale już niewcześnie...
„O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcéj!
„Dziśbym kochał goręcéj i śpiewał goręcéj,
„Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
„Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
„Wiele mi było dano — wiele się dopomną...
„Biada mi!...“
I odwrócił głowę nieprzytomną,
I kościstemi dłońmi zasłaniając oczy,
Wołał, że duch ciemności już mu piersi tłoczy,
Że mu nad samém uchem straszliwy wróg świata
Nicestwo jego życia na oczy wymiata.
— „Uspokój się — rzekł Oczko — to gorączkę zna-
[czy.“
— „Módl się — powtarzał kapłan — broń się od
[rozpaczy,
„Bo to szatan, jak zwykle, straszy przed skonaniem.
„Padajmy na kolana — pomódlmy się za nim!“
Poklękli... ale chory snadź jeszcze nie kona,
Silnie kipi mu w piersiach modlitwa stłumiona,
Choć słów nie wydobędzie z zachrypłego gardła,
Znaczno z promiennych oczu, że myśl nie umarła.
Jeszcze usta bełkocą to słowa nadziei,
To psalm pokutujących — *Miserere mei;*
A w staréj jego harfie, co wisi na ścianie,
Znów po strunach przebiegło harmonijne drganie.

XI.

Zaskrzypiały drzwi w celi—i ksiądz rektor wchodzi,
A za nim ciżba mieszczan, i starzy, i młodzi:
Zeszła się na skonanie garstka prawowierna,—
To sławetni sąsiedzi, to krewni Acerna.
I spojrzeli po sobie i szepcą do ucha:
— „Jeszcze stary nie oddał Panu Bogu ducha.
„Przecięż był rajcą miejskim... jak duszno w téj celi!
„Jakie twarde wezgłowie!... słoma na pościeli!
„Wstyd... umiera, jak nędzarz... a mógł zebrać grosza.“
Tak powiadał pan Andrys do pana Bartosza.
— „Zachciałeś!—mówił Bartosz—ot harfa na ścia-
„Jeszcze mu teraz w głowie piosenka i granie. [nie!
„Oj, piosenki... piosenki... chciałbym słyszeć z dala:
„Dziwnie muszą odbijać od murów szpitala.
„Patrzaj, jak zmizerniało, jak mu się wychudło;
„Tak to puszy poetów hypokreńskie źródło!
„Jeździł dawniéj do Gdańska ze szkutem i tratwą,
„A w Gdańsku to nie żarty... tam o pieniądz łatwo:
„Szyper przywozi pańską pszenicę lub żyto,
„To go Niemcy nakarmią, napoją sowito,
„A jeszcze, jak to u nich stary zwyczaj każe,
„Od łasztu sprzedanego dają po talarze.
„Mając z kopę talarków — o mocny mój Boże!
„Wcale niezły handelek zaprowadzić może.
„Człek nakupił hatłasu, tabintu, jedwabi,
„A u nas taki towar zawsze kupca zwabi,
„Potém handelek szerszy, potém jeszcze szerszy...
„A on w Gdańsku cóż robił?—rzucił się do wierszy,

„I opisywał flisów rozliczne przygody,
„Nadwiślańskie wybrzeża, wioseczki i grody,
„I powrócił do domu z całym poematem,
„I chciał się swemi rytmy popisać przed światem
„Bywało kopę groszy zaledwie gdzieś złowi,
„To zaraz do Krakowa i szle drukarzowi.
„Sława rośnie po świecie — a tu długi rosną;
„Więc rusza do lichwiarza z postawą żałosną:
„Daj grosza na zastawę, ulituj się, bracie!
„A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie,
„Nim da halerz, to przezna cały człeka zasób,
„Bierze lichwę w dwójnasób, albo we trójnasób:
„Cóż za dziw, kiedy potém dług ze długu rośnie?“
— „Tak, tak, panie Bartoszu! — odpowie żałośnie
Pan Stach, co był w kościele starszym sodalisem: —
„Niechby sobie nakoniec zabawiał się *Flisem;*
„Lecz go duma szatańska jeszcze daléj niesie:
„Na księży Jezuitów bryknął w swym *Ekwesie.*
„Wyniosła go pod niebo Aryanów tłuszcza;
„Lecz Pan Bóg takich rzeczy płazem nie przepuszcza,
„I patrzcie, jakie zebrał niedowiarstwa plony!“
— „Tak, tak — rzecze pan Krzysztof, Aulicus rze- [czony,
Bo służył w pańskich dworach: — mniejsza z Je- [zuity;
„Ale jeśli plebujesz, sukmaną okryty,
„Pocznie pańskim splendorom złorzeczyć niegodnie,
„Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie;
„Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
„W jasny naród szlachecki satyrą ukole:
„To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi —
„Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi.

„Z panami najbezpieczniéj, kiedy człek najsłodziéj:
„Dzisiaj *Worek Judaszów* bokiem mu wychodzi..:“
—„Albo to, czy przystało mieszczańskiemu bratu—
Zarzucił pan Mikułasz, rajca skabinatu: —
„Gdy się sędzia żydowski puszy we swéj chwale,
„Jakby zasiadł w koronnym wielkim trybunale!
„Potrzeba być obrotnym, wzbudzać postrach w Żydzie:
„Ztąd zyski i przezyski, ztąd gotówka idzie,
„A na szali Temidy ważąc adwersarzy,
„Gdzie położą funt pieprzu, niech słuszność przeważy.
„A u niego bywało sprawiedliwość kuta,
„I dla niewiernych Żydów wertuje statuta.
„Cóż za dziw, że zubożał sądowniczą władzą?
„I głowę mu przekrzyczą, i grosza nie dadzą!“
Tak rozprawiali z sobą sławetni mieszczanie; —
A harfa po raz trzeci zabrzękła na ścianie,
I chory siłę w piersiach odzyskał nieznacznie,
I jakby w takt jéj brzęku odzywać się zacznie:

XII.

—„Obywatele miasta, sąsiedzi i krewni!
„Dziękuję wam za pamięć, dziękuję najrzewniéj.
„Już sądziłem, że umrę (to cios najdotkliwszy),
„Was ani pożegnawszy, ani przeprosiwszy...
„Zbliżcie się, dajcie ręce... w ostatniéj godzinie
„Niech przed wami testament śmiertelny uczynię!...“
Tu obecni spojrzeli, zdumieni po trosze,
Jakby zdając się pytać: Zkąd nędzarz ma grosze?
I komu je zapisze? — „Dobrze-ć, panie bracie!—
Odpowie pan Mikułasz, rajca w skabinacie.—

„A wy zasię, sławetni i zacni mężowie,
„Zważajcie pilném uchem, co Acernus powie,
„Aby, gdy ciało jego już opuści dusza,
„Uroczyste zeznanie zanieść do ratusza,
„A tam przed urzędniki i *ad legis mentem*
„Ugruntować je pismem, stwierdzić juramentem.
„Słuchajcie, bo to wielce uroczysta chwila!!“
A chory blade czoło na rękę pochyla,
Odgarnął długie włosy, co mu twarz cieniły,
I z piersi ostatecznéj dobywając siły,
Tak jął mówić:

XIII.

— „Oświadczam w mym przytomnym [stanie:
„Żem wierzył w kościół święty, naukę, podanie,
„Że żyłem wedle jego praw i obyczaju,
„Bo to wiara mych ojców i mojego kraju.
„A jeżeli przed laty targnąłem się śmiało
„Na to, co moim oczom zdrożném się wydało,
„Niech, pobożni Ojcowie, wasza niechęć znika,
„Jak to mi Bóg odpuścił usty spowiednika.“ —
Tu uderzył się w piersi, a westchnąwszy skrycie,
Uczynił nizki pokłon ojcu Jezuicie. —
„Tę miłość, która pierśmi władała mojemi,
„Przekazuję méj matce — rodowitéj ziemi.
„Nie przestanę z za grobu, gdzie mię Pan Bóg zowie,
„Modlić się o jéj szczęście, o społeczne zdrowie,
„O zgodę panów radnych, o pomyślność kmieci;
„A jeśli moja prośba do Pana zaleci,

„To mam dobrą otuchę, że skrócę jéj nędzę,
„Od niéj głód, mór, pożogę, szarańczę odpędzę.

„Jakiż dam upominek dla miłego miasta,
„Gdzie mi dano naukę, gdzie młodość podrasta,
„Gdziem piastował urzędy na sędziowskiéj ławie?
„Cóż mu prócz kości moich w pamięci zostawię?
„Ja kocham piękny gród nasz — ale tego mało.
„O! jeżeli potomność otoczy mię chwałą,
„Jeśli się opromieni moja chęć i praca,
„Niech wszystek marny promień to miasto ozłaca.
„Ja z krain wiekuistych tu wytężę oczy,
„Moja rzewna modlitwa te dachy otoczy,
„Wieże waszych kościołów i urzędów ławy,
„Abyście sąd ludowi wymierzali prawy.
„Tymczasem, bracia moi, cni obywatele,
„Nie gardźcie temi rady, których wam udzielę,
„W których całą życzliwość, co się w sercu mieści,
„Testamentem oddaję z łoża méj boleści.
„Miasto moje rodzone! tyś jest grodów kwiatem,
„Pan Bóg dał ci być pięknèm, ludnèm i bogatèm,
„Król nowe przywileje coraz ci stanowi:
„Bądźże wdzięczne a wierne Bogu i królowi!
„Czemu pod twemi dachy tyle wiar się mnoży?
„Czemu u was w pogardzie jeden kościoł boży?
„Dla czego w rzeczach wiary tyle zdań was dzieli?
„Czemu twoi duchowni Chrysta zapomnieli?
„Czemu serce światową rozkoszą oddycha?
„Dla czego harde głowy podnosi im pycha? —
„Zaklnijcie stan szlachecki, na Boga was proszę:
„Niech rzuci buntownicze zjazdy a rokosze;

„Niech raczéj jednomyślnie, jak czynili starzy,
„Wspólnemu dobru gwoli z królem się kojarzy.

„Zaklnijcie deputatów, co do nas w téj chwili
„Na trybunał koronny zjechać się raczyli:
„Niechaj czynią sąd ludziom sumienny a ścisły,
„By bicze pomsty bożéj nad nami nie zwisły,
„Aby tych pięknych murów, gwoli złéj przemocy,
„Nie rozbiła łza wdowy, albo jęk sierocy...
„Wy zasię, cni mieszczanie, do sądów się zbierzcie,
„I napiszcie uchwałę, i mieczem uderzcie
„Przedajność i bezbożność, co ku złemu uczy,
„Lichwiarstwo, co krwią ludzką pasie się i tuczy,
„I wybiegi pieniactwa, co do zguby pędzą,
„I zbytki, które kiedyś opłacimy nędzą.
„Niech kocha gród rodzinny każde małe chłopię,
„Niechaj grzech fundamentów jego nie podkopie,
„Niech cnota jego mury ugruntuje święcie...
„To testament Acerna — to jego zaklęcie.
„Na dowód, że się wszystko wedle prośby stanie,
„Dajcie rękę, przesławni lubelscy mieszczanie!
„Rękę waszemu bratu!... Cofacie się od niéj?
„Och! dajcie wasze słowo, a skonam swobodniéj!..."
Wyciągnął drżące dłonie. Zmieszany widocznie,
Cofnął się tłum zebrany, nie wiedząc, co pocznie?
Wzajem patrzy na siebie i do drzwi się skupia;
Jakby mu się wydało, że ta ręka trupia,
Że te słowa zapału — to z gorączki brednie.
Chory westchnie głęboko, twarz jego pobladnie,
A wzrok, co jeszcze ogniem błyskawicy pała,
Wlepił na czarną ścianę, gdzie harfa wisiała.

XIV.

„Harfo moja poczciwa, narzędzie ty boże!
„Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
„Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty...
„Pamiętam, kiedy tutaj przed dwudziestu laty
„Umarł Jan z Czarnolasu, a ja, płacząc smutnie,
„Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?
„A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
„To twój spadek, Acernie — cythara Janowa...
„Och! jeżeli to prawda, żem godzien téj łaski,
„Patronie pieśni polskiéj! Janie czarnolaski!
„Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
„Słabo grałem — lecz grałem, jak mi serce każe.
„Może popsuł jéj struny niewdzięczny harfista,
„Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
„Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
„Grałem przy niéj dla Boga i dla miłéj braci...
„Mistrzu mój! ty w niebiesiech zarzutu mi nie dasz,
„Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż;
„Świadkiem moim niech będzie Bóg, serca świadomy,
„Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
„Na którym dogorywam... Są tam łzy goryczy...
„A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy.
„Ktokolwiek będzie na niéj ciągnął hymn ten samy,
„Niechaj struny oczyści od téj rdzawéj plamy.
„Niech nie gardzi starego pieśniarza przestrogą:
„Bo dźwięki chrapowate urodzić się mogą,
„Staną się niepodatne jego słowa wieszcze,
„Zamiast serca łagodzić, porozjątrza jeszcze,
„Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je poplami,
„I stanie przed sąd boży z próżnemi rękami,

„Jak niewierny najemnik... Za pieśnię goryczy
„Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
„Czyż, widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
„Dla czegoś nie pracował, jak dobry najmita?...
„O! kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku;
„Ktokolwiek pieśnię moją odziedziczy w spadku,
„Niech ją samą miłością rozkołycha szczerze,
„Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
„A choćby kiedy ludzie zimni a nieczuli
„Octem mu czarę życia i żółcią zatruli,
„Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
„Niech nektar niesie braciom, a żółć sam wypija...
„Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
„A szkodliwszy od żółci panegiryk podły
„Niech od ciebie, śpiewaku, będzie zawsze z dala,
„Niech mojéj staroświeckiéj harfy nie pokala.
„A jeśli mój następca płocho a niebacznie
„Niegodnemu pieśń chwalczą pobrząkiwać zacznie,
„Ty, pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna,
„Pęknij pod jego ręką, moja harfo wierna!..."
Tu głos wieszcza potężniał... potężniał pomału,
A twarz jego nabiegła rumieńcem zapału,
I drgają jego palce, jakby dźwięki chwyta.
Czegoś się zakłopotał ojciec Jezuita,
Lica jego pobladły — i rzekł do lekarza:
—„Uśmierzcie tę gorączkę, co mu krew rozżarza..."

XV.

—„Acernie! Pan Bóg z tobą — rzecze Oczko
[z cicha —
„Hamuj zapęd twéj piersi, gdy się rozkołycha;

„Nie daj się dobrowolnie rozwijać malignie,
„Wypij nieco tyzanny, to ci krew ostygnie.“
—„Nie trwóżcie się — rzekł chory — o bracia naj-
[szczersi!
„Krew już i bez tyzanny zastyga w méj piersi.
„Ja czuję, że przeżywam mój ostatek ducha;
„Lecz nim zgaśnie kaganiec, niech żywiéj wybucha!
„Przy ostatecznym blasku nim zgore oliwa,
„Może się jaka prawda z cieniów wydobywa;
„Dajcie niech się wynurzy, póki myśl migota...
„Wiesz, jakem szukał prawdy przez mój ciąg żywota...
„Boże mój! czemuż właśnie prawda się odsłania
„W ostatecznéj godzinie... w godzinie skonania?...
„Jak myśl kipi! a słowa powoli się wleką,
„A jeszcze mój testament do końca daleko;
„A tutaj jedno z drugiém kojarzy się tłumnie,
„A tutaj biedna głowa marzy bezrozumnie,
„A tutaj serce rwie się, rozpada na części...
„Czyż chwilom ostatecznym Pan Bóg nie poszczęści?
„A muszę, nim pożegnam oblicze téj ziemi,
„Wygadać mój testament przed ludźmi dobremi,
„Wygwarzyć wszystkie bole, wszystkie me rozkosze...
„Na czém to ja stanąłem?... pomóżcie mi, proszę!

XVI.

„I ja byłem szczęśliwy — ja... dziś nędzarz stary!
„I mnie niegdyś kochano — kochano bez miary;
„Nie dorównałem inszym gładkością urody,
„Lecz miałem nieco sławy—byłem jeszcze młody—
„A młodość, głośne imię i dostatku nieco,
„Zdoła zawsze podziałać na duszę kobiecą.

„Jam ją kochał... och! kochał... o przepuść mi Boże!
„Więcéj niż własną duszę — niźli Ciebie może!
„Przy niéj cała méj duszy skupiła się siła,
„Myśl ukradziona pieśniom u jéj stop gościła;
„Jéj obraz wciąż przede mną, uczucia me drażni;
„Widziałem ją na jawie okiem wyobraźni,
„A w snach moich, w snach pięknych, ona wciąż
[się marzy...
„Przebaczcie, aniołowie! ale waszéj twarzy
„Niepodobna tak piękną i tak bozką zostać,
„Jak ja oczyma duszy widziałem jéj postać!...
„Spełniły się wyroki... przeszło dni niewiele,
„I kapłan nasze ręce połączył w kościele;
„Nastała chwila szczęścia — przelotna a skora,
„Przyszła snem — i uciekła, jako senna zmora...
„Piękne były jéj słowa, gdy rzewna jak dziecię,
„Schyloną moją szyję rączkami oplecie,
„I zda się całą przyszłość w moje ręce składa.
„A ja myślałem w duszy: O biada mi, biada!
„Jeżeli na tém czole spłoszę kiedy radość,
„Jeżeli temu sercu nie uczynię zadość!...
„I czyniłem modlitwy Przenajświętszéj Pannie,
„By tak wspólném uczuciem goreć nieustannie...

„Musiałem źle się modlić przed Dziewicą świętą:
„Bo prośb nie wysłuchano, modłów nie przyjęto...
„Nie spełniłem jéj szczęścia, jak to mi się marzy:
„I zapał uroczysty uleciał z jéj twarzy,
„Powszednia jakaś próżność i zimna rachuba
„Już owionęła duszę pięknego cheruba,
„Egoizm w taką szatę jéj postać przyodział,
„Że trudny stał się myśli i uczuć z nią podział...

„Wreszcie jednego serca było jéj za mało,
„Jéj myśl biegła gdzieindziéj, jéj serce kłamało;
„I pierzchły mego szczęścia urocze widziadła,
„I gadzina zazdrości do piersi się wjadła.
„Zabójcze żądło w piersiach czułem tak boleśnie,
„Ból przerywał sny moje, modlitwy i pieśnie,
„Obrzydził mi naturę, od pracy odpędza...
„I przyszły w dom niezgoda, zgryzota i nędza.
„Zdrowie mię opuściło, a w długiéj chorobie
„Byłem nieznośny ludziom, nieznośny sam sobie...
„Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
„Towarzyszka żywota odeszła ode mnie?
„Rzuciła mię w chorobie?... Sąsiedzi i krewni!
„Ulitujcie się nad nią! któż jéj los zapewni?
„Niech jéj Bóg po mym zgonie lepszą dolę zdarzy:
„Och! dosyć za swą płochość poniosła potwarzy!...
„Powiedzcie jéj sąsiedzi, żem w ostatniéj chwili
„Niedole mego życia przebaczył najmiléj.
„Niechaj ma duszę moją na życzliwym względzie,
„Niech sama mi przebaczy, niech szczęśliwa będzie.
„Ja tam z wysokich niebios, jeśli Bóg pozwoli,
„Dopomogę modlitwą do jéj lepszéj doli.
„Oddajcie jéj ten pierścień z życzliwemi słowy,
„Bo grób doczesnych ślubów zdejmuje okowy.“
Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
A łzy długo tajone ze źrenic wytrysły;
Stęknął... i głosem cichym, urwanym co chwila,
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.

XVII.

—„Bracia moi, ziomkowie, dobrzy towarzysze!
„Żebraczym testamentem cóż ja wam zapiszę?...

„Dobry Wojciechu Oczko, cóż zostanie tobie?
„Ty w życiu, we złéj doli, w ostatniéj chorobie,
„Zawżdy byłeś mi bratem — więc nie wzgardź ofiarą:
„Mam pieśni Horacego i Biblię starą,
„Tam znajdziesz pokarm duszy, tam sercu osłodę...
„Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,
„I zebrałem przez życie mnogie foliały;
„Ale na starość książki na chleb się przedały,
„Bom często łaknął chleba... biada niedołędze!
„Tak odzież po odzieży, a księga po księdze
„Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze opończę:
„Zabierzcie ją, Bartoszu, gdy ja żywot skończę,
„Bo mnie włożyć do trumny dość staréj sukmany...
„Mam pałasz damasceński srebrem dźwirowany,
„Przyda się wam, Krzysztofie, do wojennéj sprawy;
„Lecz go sami musicie wykupić z zastawy...
„Wy, panie Mikołaju, ot ten krzyżyk weźcie,
„Oddajcie waszéj żonie, poczciwéj niewieście,
„Co w ostatniéj chorobie z dobrocią kobiecą
„Przysyłała mi jarzyn lub owoców nieco...
„Przeżegnaj twoją dziatwę—niech przyjmie gromada
„Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
„Powiedz dziatwie, że kiedy w trumnie się położę,
„Przyślę z nieba gościniec—przeżegnanie boże...
„Wam zaś, panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze?
„Przyjmijcie psa mojego, niech wam domu strzeże;
„Niedługo się naprzykrzy, strzegąc wasze wrota:
„Zabije go poczciwa po panu tęsknota...

„Oto, bracia, już wszystko, co miałem na świecie...
„Jeszcze mam do was prośbę... czy spełnić zechcecie?
„Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świa-
„Sercem, głową i pismem służyłem sąsiadom; [dom:

„Wszakże pospołu z wami całe życie prawie
„Czyniłem sprawiedliwość na sędziowskiéj ławie;
„Wszak niegdyś mém imieniem było miasto dumne...
„Złóżcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,
„Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
„Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...
„A teraz... Bóg was żegnaj! odchodzę w świat nowy...
„Ciężą mi... och! jak ciężą cielesne okowy!...
„A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa,
„Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrywa...
„Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
„Chryste... rozwiąż jéj więzy..."
Tu mowa zakrzepła,
Chory usnął... i cisza nastąpiła w celi.
Obecni bicie serca i oddech przycięli.
Zegar wybił godzinę — a gdy echo kona,
Ozwała się na ścianie harfa nieruszona
Raz i drugi—a potém wszystkie struny pękły.
Oczko w około siebie rzucił wzrok przelękły,
Zbliżył się do chorego — wziął za puls — i płacze:
—„Już przed Bogiem stanąłeś, lechicki śpiewacze!
„Módlcie się!..."
I obecni poklęknęli bladzi;
I stał się cichy rozruch w klasztornéj czeladzi;
Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głową,
I *Requiem aeternam* wyciągnął grobowo;
Zahuczał dzwon kościelny, ile jęku stanie,
Głosząc po całéj Polsce Acerna skonanie...

DOŚPIEWEK.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba:
Trup, co leżał w szpitalu, na łożu Hioba,
Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
Obitą aksamitem, frendzlami srebrnemi;
Na trumnie leży harfa z porwanemi struny;
Cały kościół obito w grobowe całuny;
Zebrani na trybunach szlachta i panowie
Tak płacą hołd za późny zasłużonéj głowie.
Kraj, który patrzał zimno, gdy zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.
I sowity był pogrzeb — i naród się cieśni,
I w sto głosów śpiewano rekwialne pieśni,
I Ojciec Jezuita z wysokiéj ambony
Wyliczał jego zasług szereg niezliczony;
I polskiego Acerna pochwała wymówna
Aż z łacińskim Horacym i Nazonem równa.
A gdy trumnę sierocą złożono na mary,
Stanęły cechy miejskie ze swemi sztandary,
Muzyka trybunalska smutne grała marsze,
I rajce skabinatu — ławniki najstarsze,
Nieśli trumnę do grobu — a potém na stypie
Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
I hojnie łza wytryska oczmi pijanemi —
Krzyczy: *Vivat Acernus!* chluba naszéj ziemi! —

Ale łezką serdeczną nad grobem ofiary
Zapłakał stary Oczko — i z nim brytan stary,

Co błądząc po cmentarzu zwieszał smutną szyję.
Zgadł Acernus, że straty pana nie przeżyje:
Przez trzy dni wył nad grobem—na czwarty dzień rano
Zwlekł kędyś stare kości, —już go nie widziano.

* * *

Od śmierci Acernowéj trzeci wiek upływa,
A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,
Jeszcze jego nagrobek marmurowy, stary,
Pokazują przychodniom u lubelskiéj fary.
Czcili go ludzie dawni — uczcijcie współcześni,
Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!

Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać twe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
To przyprowadź je tutaj, a opowiedz wiernie
O żebraczym szpitalu i biednym Acernie;
A jeśli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
Jeśli ten wzór do piosnki jeszcze nie zniechęca,
Odżałuj twego syna — Nieba go wybrały
Do cierniowéj korony i do palmy chwały!

Lipiec 1855. Borejkowszczyzna.

TRĘZLOWE.

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

I.

Héj, młokosy! żal mi was!
Niby stary znacie czas,
Niby wiecie o narodzie:
Jak żył szlachcic na zagrodzie,
Jak na zamku władał pan,
Jak się w celi modlił mnich;
Znacie w Polsce kilka zmian,
I sądzicie naród z nich.
Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie ztąd,
Tysiąc bredni ciśnie druk,
A tych druków owoc masz!
Będzie bredził późny wnuk,
Jak za matką *Ojcze nasz*,
Przenaturzy, przeklnie, złaje
Staroświeckie obyczaje,
Zarumieni twarz.

II.

Ot! mówicie w jeden głos:
Że brat szlachcic służby niósł,
Że w magnackim karmion dworze,
Swego zdania mieć nie może,
Że za lichy gruntu morg,
Że za kufel, miedzi trzos
Swe sumienie dawał w borg,
Swój sejmowy przedał głos.
Jużci... jużci... jakoś tam
Były grzechy — ja to znam:
Służebnością ginął świat,
Zaściankowy podlał brat...
Ale nieraz mierny stan
Z panem zęby gryzł do dziąsł,
I niełatwo jasny pan
Zaściankową bracią trząsł:
Mimo hardéj swéj postaci,
Musiał w braci — uznać braci.

. . . .

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
Ja ci mały przykład dam.
Żył przed laty w gronie braciéj
Stary żołnierz, Bardysz Maciéj.
Świat splondrował wprost i wstecz,
Z mnogich wojen wrócił zdrów,
A na starość chrobry miecz
Już zawiesił u swych głów.

Włokę gruntu czynszem wziął,
Zaprowadził ule pszczół,
Zaprowadził stado klacz,
Wyhodował chartów smycz,
Na jarmarkach był to gracz,
Na zwierzynę był to bicz.
Płacił czynsz na święty Jerzy,
Panu czołem nie uderzy;
Lecz kto z braci mu zawierzy,
Jak na brata licz!

IV.

Konie jego — znaczny ślad
Jeszcze dawnych polskich stad:
Maść gniadawa albo kara,
Pół Araba, pół Tatara,
Co to z wiatrem idzie w lot,
Co się z człekiem umie zrość,
Co przeczuwa cugli zwrot,
Co kierować myślą dość,
Co to czuje, że jest żyw
Z owsa, siana polskich niw,
Co wśród boju, wśród pałaszy,
Wie, że broni swojéj paszy,
I już leci z całych sił,
Gdzie bojowy ujrzy pył,
Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;
A zapałem samym syt,
Nie pomyśli przez trzy doby,
Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby,—
Czuje męzki wstyd.

V.

Sześć rumaków, jakby strzał,
Stary Bardysz w stajni miał.
A że nie chciał gnuśnieć marnie,
Toć i charty z jego psiarnie,
Czy przez gęsty sadząc płot,
Czy to w poprzek polnych miedz,
Mogły z wiatrem w zawód biedz,
Mogły ptaszka dognać w lot.
Lisa zwrotów już nie ucz,
Bo to stary majster zdrad,
Zając umie w błędny klucz
Gmatwać skoków swoich ślad;
Lecz odprzęgnij sfory stal,
Każ za zdrajcą lecieć w dal,
Ruszą zwierza wierne psiska
Z najskrytszego legowiska—
Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
Był do konia jeszcze zuch,
Lubił z charty latać w pole,
Przypominać swe swawole
I sąsiadom dawać wzór
Hartowności czasów swych,
I w ostępie stać jak mur,
I odyńca brać na sztych,

Lub z rusznicy — kuli treść
W niedźwiedziowe kudły wpleść.
To też starca wielbił lud;
Powiadano ze wszech stron:
Bardyszowe konie — cud,
Dzielne charty trzyma on!
I rusznicę ma nielada,
Koniem, chartem, strzelbą włada;
Lecz nad charty, strzelby, konie,
Duch dzielniejszy w sercu płonie
U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
Daléj... daléj począł rość:
Między pany, kasztelany,
Maciéj Bardysz już był znany.
Pan miejscowy zwrócił twarz,
Myśliwemu wielce rad,
Od którego szlachcic nasz
Trzymał czynszem gruntu szmat.
Był to wielce możny człek,
A książęciem z wieka w wiek,
A tak hardy, że to wciąż
Kasztelaństwem wszystkim dmie.
Więc oświadcza wielki mąż,
Że Macieja poznać chce.
Lecz Macieja myśli insze:
— „Co mi z tego? płacę czynsze;
„Łask nie trzeba mnie!“

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
Łaskę szlachty skarbi znów.
Lecz z panami trudne żarty:
Pan kasztelan wciąż uparty,
Znów przysyła dworzan dwóch,
By do zamku starca zwać;
A choć może dworski słuch
Harde słowa dał mu znać,—
Był z Bardysza wielce rad,
Przyjął w zamku za-pan-brat,
Puhar miodu przepił doń;
A że był to łowów czas,
Wyciągając pańską dłoń,
Prosił jutro z sobą w las.
Tak uprzejma pańska łaska
Bardyszowe serce głaska,—
To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, héjże! héj!
Życie wrzało w głębi kniéj:
Spolowano dwa obchody,
Legł pod strzałem warchlak młody;
A dzik stary w susach złych
Bardyszowi zgubę niósł,
Lecz się potknął na sam sztych,
Jak nieżywy padł na wrzos,

Bardysz zręcznie skoczył w tył
I strzał celny w łeb mu wbił.
Hucznym krzykiem cały dwór
Salutował celny strzał,
Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
Że ktoś w sercu jakby grał;
I za dzika starą głowę
Pito huczne pogrzebowe,
Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: — „Teraz dość!
„Dajmy dzikom w lasach rość;
„Ot w zaroślach piękna łączka,
„Puścim charty na zajączka,
„Puścim gończe między chróst,
„Dojeżdżaczy puścić w tan!“
Rozkaz pobiegł z ust do ust.
— „Panie Bardysz! — rzecze pan:
„Okazały waścin chart,
„Zobaczymy, co on wart.
„Chcę pohasać konno sam,
„Jeśli łaska daj mi smycz,
„A na wzgórku staniesz tam
„I obroty nasze licz.
„Przed tak dzielnym, jak wy, starcem
„Popisowym ruszę harcem,
„Jak na Hordy dzicz!“

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
Wskoczył na koń — parsknął koń;
Wtém głos gończych jęknął głuchy,
Wybiegł szarak długosłuchy,
Stanął słupem, patrzy w bok,
Wypatruje kędy biedz,
Stulił uszy, sprężył skok
I wzdłuż żółtych polnych miedz
Rwie do lasu z całych sił,
Aż się za nim kłębi pył.
Więc kasztelan ruszył w czwał,
Charty przed nim lecą w sznur,
Jakby jeden wicher gnał
Długie, wązkie pasmo chmur:
Zwierza, strzelca, chartów, psiarnię
Lekką taśmą pył ogarnie
Z żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojął rzecz,
Skluczył na bok... charty w przecz, —
Dziarski rumak, czoło stada,
Już dopada, już dopada, —
W kasztelanie kipi krew.
Palnąć z konia miał już wczas,
Kiedy, pędząc mimo drzew,
Zając skluczył drugi raz,

Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
Poplątane ścieżki snuł.
Niedaremnym strachem gnan,
Coraz w dalszy sadzi kres;
Już go z oczu stracił pan,
Jeno węchem tropi pies.
Wedle ścianki po manowcu
Od mogiłek w chróst jałowcu
Już dobiegał, już miał wpaść —
Gdy kasztelan zajął tył:
— „Nie ucieczesz w chrósty waść!
„Hedżha, psiska! z całych sił!“
Zając skluczył po raz trzeci,
Nieprzytomny w pole leci,
Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,
Całą niwę tropem zgniótł.
W lewo, w prawo zając myli,
Już odleciał na pół mili,
Już go w knieję pędzi czart,
Kroków może trzy czy dwa;
Lecz Bardyszów zręczny chart
Już dogania, już go ma.
Pisnął zając w smutny głos,
I do góry oczka wzniósł,
I zduszony trupem padł,
Kiedy pan z kopyta grzmi,
Dobiegł, z konia skoczył rad,

I pogłaskał dzielne psy,
I ze skoków dał odprawę,
I otrąbił swoją sławę,
Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrót:
— „Jak z partesów! jakby z nót!
„Dzielny rumak, dzielne psiska!
„Dzielne serce u paniska!
„Jak on z koniem umie grać!
„Jak szykowny każdy ruch!
„Jak myśliwca zaraz znać!
„I na wojnie pewno zuch!
„Co mi po tém, pan czy czart?
„On przyjaźni mojéj wart!
„Po wojacku rękę dam,
„Po bratersku rzeknę doń:
„Że kasztelan, co mi tam!
„Ja myśliwca ściskam dłoń!“
I uczynił, jak powiedział,
Bo nie dzieli bogactw przedział,
Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobycz swą,
Sadzi kłusem — trąby grzmią.
Dwór winszuje — stu lat życzy,
A on, charty dzierżąc w smyczy:

— „Mości Bardysz! — krzyczy w głos—
„Skarb posiadasz a nie psa!
„Za tę zdobycz, co mi wniósł,
„Sto dukatów każdy da;
„Bo to rozkosz, mówię wam,
„Z taką psiarnią kiedy szczwam!
„Jaka zmyślność! jaka maść!
„Jak przeskoczył dzielnie rów!
„Sto dukatów! bierzesz waść?
„Żądasz więcéj?... śmiało mów!
„Tam u waści głodno, chłodno,
„Ja mu psiarnię dam wygodną,
„Będzie żyw i zdrów!“

XVI.

Bardysz wiedział, co to cześć,
Hardéj mowy nie mógł znieść,
Lecz w łowieckim dziś zapale
Nie uważał na nią wcale;
Bo nie pański złota trzos,
Lecz myśliwski cenił duch.
Więc z daleka krzyknie w głos:
— „Kasztelanie! jesteś zuch!
„Na mą przyjaźń teraz licz,
„Niech ci służy moja smycz;
„Na pamiątkę charta bierz,
„Który z tobą dzielił znój,
„Niech uszczwany każdy zwierz

„Przypomina affekt mój.
„Weź pamiątkę w méj chudobie,
„A pieniądze schowaj sobie
„Na twych dworzan rój!“

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
Targnął wąsy—gniewu znak;
Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
Wypogodził dumne czoło,
I braterski przyjął dar,
Mimo świetny pański ród.
Wtém myśliwski zagrzmiał gwar,
Pito wino, pito miód.
A gdy orszak ruszył z kniéj,
Pan rozmyślał w duszy swéj:
— „Hardy szlachcic! mądry snadź!
„Obyczaje pańskie wie:
„Stu dukatów nie chciał brać,
„Podarunek daje mnie!
„On rozumie, że w łask drodze
„Ja go hojniéj wynagrodzę:
„Pana odrzeć chce!“

XVIII.

Tak panowie w każdy czas
O rachubę winią nas!
Daj mu serce jak na dłoni,
A on za to trzosem dzwoni,

I rozumie, że za grosz
Można kupić cały świat,
Wioskę, ziemię, łany zbóż,
Dusze ludzkie z liczbą chat,
Kupić sobie roje sług,
Serca niewiast, koni cug!
Zkąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów!
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
A to przedmiot inszy znów!
Więc zostawmy refleksye:
Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminęło kilka dni;
Stary Bardysz ani śni,
Gdy doń w gości przybył z rana
Pan koniuszy kasztelana.
Był to starzec, jak i on,
Zaściankowy sobie człek,
Lecz przybyły z dalszych stron,
Służył panom cały wiek.
Tak w ukłonach zginał grzbiet,
Że służalca poznasz wnet.
Tylko męztwa dawał ślad,
Kiedy konia puścił w czwał;
Bo, mosanie, z młodych lat

On godniejszą przeszłość miał:
Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
Był w chorągwi towarzyszem,
Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
Tak był wtedy cały kraj:
Jeden dworak, człek bez woli,
Drugi rolnik, pan swéj roli.
Dworak życia nie miał nic,
Blady, słaby, wątłych sił;
Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
Chociaż czarnym chlebem żył.
Dworak młodszy kilka lat,
Choć z panami za-pan-brat,
Lecz posiwiał, snadź od trosk,
Aż na niego spojrzeć żal!
Pan koniuszy był jak wosk,
A pan Bardysz jako stal, —
Że kto spojrzy, każdy powie:
Komu takie dano zdrowie,
Pana Boga chwal!

XXI.

— „Kopę latek!“ — „Kopę zim!“
— „Jakże zdrowie? — „Krucho z niém!“
I tak daléj — gadu... gadu...
Przyszedł wreszcie czas obiadu: —

Zadymiła wdzięczna woń,
Wnieśli flaszę na ich dwóch,
Poszła czarka z dłoni w dłoń,
Misa barszczu znikła w puch,
Potém suty z kaszą zraz
I gorzałka drugi raz!
Bardysz kazał miodek wnieść, —
Wychylono — powstał gwar,
Rzekł koniuszy: -- „Dobra wieść!
„Pan kasztelan szle ci dar!
„Ej, rotmistrzu! dar nielada:
„Dzielny rumak z jego stada,
„Dzielny ze wszech miar!“

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew,
Zakipiała harda krew
I pomyślał: — „Co u kata?
„To za charta snadź zapłata!!“
Poczerwieniał, zjeżył wąs;
Lecz rozwaga przyszła w czas, —
Więc bez żadnych rzecze dąs:
— „Łaska pańska żywi nas!
„Pan Kasztelan zna swój stan,
„Chce żyć z ludźmi jako pan.
„Mój podarek licha wart,
„Lecz hojniejsza jego dłoń:
„Co inszego dzielny chart,
„Co inszego dzielny koń.

„Za pamiątkę tak zaszczytną
„Moją wdzięczność czołobitną
„Raczysz odnieść doń.“

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć
Kazał rotmistrz miodu wnieść.
Potém wyszli na krużganek:
Tam pod stajnią koń, kasztanek,
Skakał, wił się gdyby wąż,
Targał tręzlę z całych sił,
Jeżył karczek, parskał wciąż,
Kopytami żwirek bił.
Rzekł koniuszy: — „Widzisz waść,
„Co za kształty! co za maść!
„Dobrze wróżyć można z niéj!
„A w tém oku jaki blask!
„Wdzięczném sercem przyjąć chciéj
„Kasztelańskich fawor łask!“
Bardysz tylko kiwnął głową,
Z pod nawisłéj brwi surowo
Spojrzał jako żmij.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz,
Wdzięczny uśmiech znowu masz;
Koniuszemu rzekł z powagą:
— „*Gratias ago! gratias ago!*

„Pan wspaniały — rzeczcie mu,
„Żem z rumaka wielce rad.
„Co zaś do was — w Polsce tu
„Jest obyczaj z dawnych lat:
„Biorąc konia albo cug,
„Dla stajennych cudzych sług
„Trza podarek jakiś dać;
„*Tręzlowego* to się zwie.
„Tedy wdzięcznie przyjmij wać,
„Na co jeno stało mnie:
„Składam waści na ofiarę
„Pistoletów dzielnych parę —
„Spodobacie snadź.“

XXV.

Wyniósł tedy piękną broń,
Koniuszemu wcisnął w dłoń.
—„Patrzcie!—rzecze:—to broń przednia,
„To po Turkach jeszcze z Wiednia.
„Gdy mój ojciec w gradzie kul
„Wezyrowski namiot brał,
„Jan Sobieski, dzielny król,
„Pistolety jemu dał.
„Tu arabskie słowa są.
„A jak biją! kroków sto!
„Gdy nie wierzysz, to sam strzel,
„Lub ja, pozwól, próbę dam!“
Rzekł — i śmiało wziął na cel
Łeb rumaka — i w łeb sam

Palnął kulką o trzy kroki;
Rumak wydał stęk głęboki,
Trysły mózgu, krwi potoki
Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł
Kasztelańskich czoło stad.
— „Teraz kwita!—Bardysz powie: —
„Nie zawstydzą nas panowie.
„Ma kasztelan żart za żart.
„To, coś widział, odnieś doń:
„Co inszego rączy chart,
„Co inszego dzielny koń.
„Ja, mospanie, stary szpak.
„Ja się nie chcę mieniać tak.
„Jam w pamiątce charta dał,
„Wynagradzać ni się waż!
„Oto teraz celny strzał
„Porachunek zrównał nasz!“
Tak powiadał dziad wyniosły,
Aż mu wąsy w górę rosły,
Aż kipiała twarz.

XXVII.

„Od bogatszych większy dar
„Mnieby wstydził ze wszech miar.
„Jam żołnierskiéj człek natury,
„Lubię pościel z końskiéj skóry:

„Upominek mi się zda,
„Ale zysków Boże broń!
„Warta charta skóra ta,
„A za drogi byłby koń.
„Raczcie dzięki moje nieść
„Za pamiątkę i za cześć.
„Jakem z reszty spłacił dług,
„Nie zapomnij moich słów.
„A gdy zręczność poda Bóg,
„Dam pamiątkę panu znów.
„Waść, koniuszy, masz tręzlowe,
„Pistolety zabierz owe,
„I bywaj mi zdrów.“

1855. Borejkowszczyzna.

WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY.

I.

Był Wielki Czwartek—poranek marcowy—
Na czarnych polach topniał lód zakrzepły,
Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
I ciepłe myśli napędzał do głowy.
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniéj kołata.
Po siném niebie kilka chmurek płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściele;
Nad cichą wioską, po czarnéj równinie
Huczy dzwon stary—bo dziś msza w kościele.

I przed drewnianą, zamszoną dzwonnicą,
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dzisiaj lud boży zgromadził się rano,
Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą:
Swe całoroczne i błędy, i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć Chleb Życia przy Chrystusa stole.
Nim organista kościołek otworzy,

Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina,
A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzéj.
Jest o czém gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
Czas ruszyć z sochą—a tu nie ma chleba;
Woły do pracy pokarmić potrzeba,
A trawy jeszcze nieprędko wyrosną!
Sianka niewiele w ubogiéj odrynie,
Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
A choć u wszystkich w jednakiéj chudobie
Jednaka dola i myśl w jednéj stronie,
Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
Pokiwać głową po szczeréj gawędzie:
—„Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie, co to będzie!“

II.

Lecz brzękły klucze w ręku organisty,—
Przeszedł przez cmentarz, mrucząc święte psalmy.
A starcy mówią;—„Dziś dzień uroczysty!
„Choć na czas myśli znikome oddalmy,
„Zdajmy swą dolę na wyroki boże,
„A jakoś biedę przekołacem może.“
I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha;
Za organistą do wioskowéj fary
Tłoczy się ciżba gromadnie a z cicha;
A choć stąpają najciszéj jak mogą,
Odbija łoskot echo pod podłogą.

III.

Kościół ubogi,—w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach, na prawo i lewo,
Jest Matka Bozka i święty Antoni;
Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
A patron święty ma lilię w dłoni.
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
Tuż przy ambonie dwa konfessyonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiały,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
Wojciech odbiera palmę z rąk anioła,
I Śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzypły drzwi boczne, — wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski:
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych ołtarza podnóży,

Aż głuche echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pacholę, co mu do mszy służy,
Dziecięcym głosem *Miseratur* trzepie,
I *Confiteor* z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfessyonału.
Błysła promieniem jego twarz, jak święta,
Skreślił znak krzyża—cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwoną,
I począł badać aż do głębi ducha...
Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty,
Zalani łzami, odeszli od kratek.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartéj
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Marya*.
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrojcu,

Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi *Chwała Ojcu*,
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
A pleban ciągle za kratkami siedzi,
Lud to się przyszłą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potém drugi po nim
Przed Matką Bozką i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmieléj,
Drugi swe żyto może przedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada, —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole
Złamał niedzielę—i pracował jeszcze, —
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,

Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słówko porady, a słówko pociechy,
Szczere zaklęcie na Chrystusa rany,—
A już wytryska łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon—godzien rozgrzeszenia!

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona
Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
Młoda snadź dusza, pokorą wiedziona,
Święte kościoła spełnia przykazanie.
W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
Jeszcze nie świta żadna myśl namiętna;
Na jéj obliczu nie dopatrzysz winy,
Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
Czy może życia gorycze i bole
Tutaj przywiodły jéj duch udręczony?
I tego nie znać: bo na jasném czole
Nie ma zadraśnień z cierniowéj korony,
Co to do głowy wpija się i wjada
I boli w mózgu, jak rana głęboka,
Na czole z karbów jak z liter układa
Historyę życia, czytelną dla oka.
Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
Złoci się na niém niewinna swoboda;
I piękną była pokutnica młoda,
Gdy się, jak wstydząc, do kratek zbliżała:
Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Ksiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
Ona się żegna i klęka u kratki,
Białą oponę zarzuca na głowę
I ręce składa — cofnijcie się, świadki!
Niechaj nikt na nią nie pogląda z dala,
Nikt nie natęża ciekawego ucha:
Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha,
Już całą spowiedź dziewiczą pokala.
Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
Na drogę życia weźmie umocnienie;
Ona niedługo miejsce wam zabierze,
Bo taka spowiedź — krótka, jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Zegar kościelny wybił pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą—
A ona, płachtą płócienną okryta,
Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczém;
A stary pleban z ojcowskiém obliczem
Jeszcze coś szepce i o coś ją pyta.
Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta,
A pokutnica, drżąca i wybladła,
Do stop świętego trybunału padła,
A na jéj oczach błyszczy łza kroplista.
Kapłan się modlił dłużéj, niż zwyczajnie;

Wyraz pochmurny pokrył jego lice:
Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie —
I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
Och! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
Jeżeli godna czyscowéj katuszy,
To już w téj chwili miała czyściec w duszy,
Gdy po raz pierwszy spojrzała na ludzi!
Gdy ludzkich źrenic ciekawych tak wiele
Tysiącem żądeł w jéj serce się wpiły,
Chciała płacz wstrzymać — lecz nie stało siły,
Bolesne łkanie jękło po kościele.
Wreszcie się zrywa i oczy zasłania,
Między filary najciemniejsze kroczy,
Kędy na ścianie wisiał na uboczy
Obraz Maryi, Matki przebłagania.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
Przychodzi jeden, i drugi, i trzeci,
Wyznając winy, łzy pokutne leją
Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
Kolejno skruchą oczyszcza się rzesza,
Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.
Coraz mniéj ludzi u konfessyonału,
A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
Do świętych kratek zbliżył się pomału.
Ukląkł pokornie, przeżegnał się z wolna,
Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
A dusza prosta, do kłamstwa niezdolna,

Poczęła swoje grzechowe zeznania.
Niewielkie muszą być grzechy w człowieku,
Co w cichéj wiosce i z ludźmi prostemi
Przebył wiek czynu—już we wspomnień wieku
Spokoju bliźnich nie zmąci na ziemi:
Bo krew, co krąży powolniéj a czyściéj,
Dojrzałe myśli do spokoju zowie,
I szał miłości albo nienawiści
Nie zagra w sercu, nie zakipi w głowie.
Próżno się z chóru organista zżyma,
Że pora służby odprawować boże:
Starzec niedługo plebana zatrzyma,
Bo taka spowiedź długą być nie może;
Msza święta wyjdzie za kwadrans najdaléj —
Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Wybija kwadrans, bije pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą.
Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
I sam się krząta, i chłopców napędza;
Już organista *Introit* przegrywa,
Aby wywołać od spowiedzi księdza;
Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
Pokutne psalmy zmówiła gromada, —
A pleban jeszcze starego spowiada,
Widać wzruszenie na obudwóch twarzy.
A gdy nakoniec po spowiedzi długiéj

Starzec padł na twarz, ksiądz mówił pacierze,
To na ich oczach znaczno było szczerze,
Że się spłakali i jeden i drugi.
A jednak znaczno, że łzami cierpienia
Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:
Bo ksiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia,
A starzec głośno, jak dziecię, zapłakał.
I długo leżał przed konfessyonałem,
Chociaż nań ludzie patrzą, jak na dziwo,
I długo płakał jęczeniem zbolałém,
W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.
A pleban powstał — i po krótkiéj chwili
Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;
Zaśpiewał *Gloria!* — w dzwony uderzyli,
Jak w Wielki Czwartek rzymski Kościół każe.
A ciżba ludu oblega balaski
I serdecznemi modli się wyrazy,
By prędzéj przyjąć utwierdzenie Łaski,
I Ciało, i Krew Baranka bez zmazy;
Łączy modlitwę z ofiarą ołtarza
I mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Ksiądz ujął palmę i czyta we mszale,
Co o téj męce święty Łukasz pisze;
A organista, fałszując klawisze,
Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
Naród się modli — komu głosu stało,
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie a śmiało

Odpowiadają: *Laus Tibi, Christe!*
Stare klekotki w ich swawolnéj dłoni
Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swéj osi,
Gdy dziewięć razy na *Sanctus* się dzwoni,
Gdy się hostya lub kielich podnosi.
Ale najgłośniéj grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrząsł drewniany dom boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc Chleb Ducha nad usty głodnemi,
Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
Słudzy kościelni tejże saméj chwili
Białą oponą balaski przykryli.
Lud rzędem klęka ze skruchą na twarzy,
Ręce na piersiach jak do trumny składa;
Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada.
Ksiądz, przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
Z ołtarznych stopni idzie ku gromadzie,
I powtarzając tekst ewangeliczny,
Hostyę świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
A odchodzący od kratek balaski,
Weseli wszyscy, i młodzi, i starzy,
Znać w każdych oczach namaszczenie Łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo?... Mój Boże! mój Boże!
Czemu tak słaba ta dusza człowieka?
Na progu chaty, na cmentarzu może,
Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
A póki dzionek zaświta jutrzejszy,

Ileż chmur ciężkich zawiśnie nad głową!
Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy—
My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!
Lecz byle dobréj nie zabrakło chęci,
Łza i Chleb Życia są zawżdy dla rzeszy;
Gorzéj tym, których kapłan nie rozgrzeszy,
Co od bożego stołu odepchnięci,
Którzy się tulą z płaczem za filary,
Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.

XV.

W stronie kościoła — wiejski topór cieśli
Już wybudował tarciczną ciemnicę,
Już ją ubrali w kobierce i świéce,
Już tam Najświętszy Sakramet zanieśli:
Rytuał rzymski jak zalecił wszędy,
Wielko-czwartkowe spełniono obrzędy.
Naród hojnemi zalewa się łzami,
Modli się szczerze i w piersi kołata,
Że przed lat niegdyś dwoma tysiącami
Chrystus w ciemnicy był więźniem Piłata.
Ksiądz, co się trudził od świtania słońca,
Zrzuciwszy ornat, chce wytchnąć po pracy;
Już organista śpieszy się do końca,
Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
Już naród boży, co gwarzył w przedsieni,
Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
Nawet żebracy, pieśniami strudzeni,
Już się na szczudłach do szpitala wleką.
A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną

Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze,
Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną
Gorące czoła tuląc ku podłodze,
Jakby wyciągał chłód ziemi surowéj
Winę z ich serca lub boleść z ich głowy.
Starzec wstał pierwszy, i co starczy siła,
Wsparty na kiju szedł, modląc się Bogu;
Dziewczyna jeszcze dłużéj się modliła,
Powstała, wyszła, przyklękła na progu,
I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy,
Ku wiejskim polom kieruje bieg żwawszy.

XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły,
Drewniane krzyże zbiegły się gromadą;
Za mogiłami stoi dąb pochyły,
Daléj drożyna, co do lasu jadą,
A przy drożynie, wedle leśnéj ściany,
Sterczy grobowiec z piasku usypany.
Znać z przeszłorocznych zczerniałych badyli,
Że tu rósł oset i pokrzywa dzika;
U nóg zmarłego drzewko się nie chyli,
Nie zbudowano nad głową krzyżyka.
Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
Nie lubi kwilić na tutejszym grobie;
Przeleci czasem — mogiłę znieważy,
Rozsypie piasek i odlata sobie.
Nie pytaj w wiosce, czy prawdy, czy baśni:
Co to za dzika zacisza grobowa?
Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa,

Ale pytania żaden nie objaśni.
Tu nawet z wioski nie zabiega trzoda,
Ranny skowronek nie wywodzi treli.
Biedną mogiłę zdaje się przeklęli
I Bóg, i ludzie, i sama przyroda.
Za lat pięćdziesiąt, jak zwykle na świecie,
Jakowyś urok mogiłę osłoni,
Podanie jakieś do niéj się przyplecie,
I będą dziwy opowiadać o niéj.
Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży,
By o nim składać piosenki lub pieśni;
A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
Był taki samy, jak i wszyscy grzeszni.
Nie Szwed, nie Tatar — staréj skazki wzorem —
Ani był rycerz doświadczony w sile,
Nawet po śmierci nie chodził upiorem,
To i cóż gadać o jego mogile?
Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
Wziąwszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
Jeśli wie dzieje tutejszego sioła,
O téj mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednéj wdowy na zagrodzie,
Która już także w Bogu odpoczywa;
Składał piosenki bywało we żniwa,
Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
O dziwnych dumkach, co snuł w swojéj głowie,

Gada bywało — a nikt nie rozumie.
Na rok przed śmiercią zamilknął, jak ściana,
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potém do ludzi zbliżył się na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Pijał sam jeden, bez końca, bez miary;
Snuł się po polach niedeptaną drogą,
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
I śpiewał pieśni, usiadłszy przy sośnie,
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półrocze, czy coś więcéj pono,
Pijąc i piejąc o swojéj niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
Cisnął rękoma — wołał, że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,
Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiéj, gdy błąka się w lesie,
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu, ni gospody niéma,
Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami,
Przysięgnie miłość — i pewnie dotrzyma.
— „Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
„Puśćcie mię! — wołał w szalonym obłędzie —
„Tam złożę piosnkę — otoż obaczycie,
„Że jeszcze takiéj nie było... nie będzie!“
I znowu, bredząc, widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,

Przeklinał pieśnie, układając pieśnie.
W końcu w obłędach i sam tak się mami,
Że i przeklinał, i gadał pieśniami.
Niektóre z piesień chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
Insze, tak mądre, że czart nie spamięta,
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod któremi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
A czasem w lesie rękoma wpół chwyta
Brzózkę, jedlinę, albo głogu ciernie,
I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:
—„Czy będziesz kochać—ale kochać wiernie?“
Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
Nic nie pił, nie jadł—i pobledniał srodze,
I tu na piasku przy ustronnéj drodze,
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
Nieprędko biednych poszukali szczętów.
A gdy znaleźli, gdzie leży syn wdowi,
Tutaj mogiłę wyryli trupowi,
Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.
I myślą sobie: — „Ziemia swojéj niwy
„Choć z umarłego niech wyciągnie troski.“
Ale szaleniec, w życiu nieszczęśliwy,
Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.

Nie więcéj, w tydzień, trzy trójki pocztowe
Z urzędnikami do wsi naszéj lecą;

A kiedy każdy zatrwożony nieco
Zdejmował czapkę, uchylając głowy, —
Kazali przysiądz każdemu z współbraci,
Że ów nieszczęsny zapaleniec młody
Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
Kto nie przysięgnie, sowito zapłaci.
Jedni płacili z duszy po talarze,
Drudzy przysięgli — Bóg za to ich karze
Czy na dobytku, na dziatwie, na sobie,
Inszemu ogniem poszła roczna praca.
Nie dziw, że dzisiaj, wspomniawszy o grobie,
Każdy z wieśniaków rozmowę odwraca;
W każdym ku niemu wstręt znajdziesz jednaki,
Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziewczę pobiegło, kędy oczy wiodą,
Aż do rozwianéj wiatrami mogiły.
Tam już u kopca był starzec pochyły,
Jakby za wspólną zeszli się ugodą.
Znać, że się zeszli dla wspólnéj przyczyny
Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana,
Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
Nie raczył ciężkiéj odpuścić im winy.
Lecz czyliż wina, co cięży ich głowy,
Z polną mogiłą ma związek jakowy?
Coś straszliwego wykroczyli pono
Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;
Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?
Kiedy ją zmażą? jakiemi zasługi?

O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:
Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
Gdzie niegdzie ciągnął po dolinach smugi,
Gdzie niegdzie strumyk z lodów się wyciska,
Plączą się k'niemu i jeden, i drugi,
A opłókawszy poorane niwy,
Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
A wzgórki suche, — na kopcu mogilnym
Żółty żwir piasków świeci się z daleka.
Na tle błękitu bije rysem silnym
Kształt klęczącego przy grobie człowieka.
W modlitwie starca gwałtowności niéma:
Klęczy schylony i wsparty na dłoni —
A mówiąc psalmy, na książkę, co trzyma,
Kiedy niekiedy gorzką łzę uroni;
A kiedy ręką łzy ocierał z powiek,
Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła,
Dziewczę ujrzało, że to znany człowiek,
Wesoły grajek z sąsiedniego sioła.
Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził,
Albo ku niemu knował złe zamiary:
On go grać uczył, do gospody wodził,
Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;
Znany jak człowiek dobrego sumienia,
Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata.
A czemuż dzisiaj nie wziął rozgrzeszenia
I przyszedł płakać nad grobem kamrata?

Na widok starca zmieszana dziewczyna
Chciała się cofnąć do leśnéj uboczy:
Lecz starzec spojrzał, i coś przypomina,
I wlepił chmurną źrenicę w jéj oczy...
Zaśmiał się dziko: — „Ha! to jakieś czary!
„I ty przychodzisz płakać na tym grobie!
„Dwoje morderców u grobu ofiary!
„Ha!... znam ja ciebie — słyszałem o tobie!
„Czego tu szuka kłamana obłuda?
„Po co tu przyszłaś, zalotnico płocha?
„Zakłócić spokój — to ci się nie uda!
„Przebłagać cienia — to za późno trocha!
„Dziś biedny Szymon śpi martwo w swéj trumnie,
„A dusza poszła w czyscowe ogniska,
„Zkąd na nas chyba przeklęctwami ciska,
„Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.
„Nas dwoje tylko ukochał na ziemi, —
„A my co za to? w zamniemaniu podłém
„Jad mu podali rękoma własnemi!
„Ty rozpacz—ja śmierć na niego przywiodłem.
„Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty,
„Zbyt obciążamy jego kości w grobie!
„Dajże tym piersiom choć raz pokój święty,
„Płocha dziewczyno! a idźże ztąd sobie!“
Tak groźnie mruknął—i znów książkę bierze,
Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,
I zaczynając przerwane pacierze,
Pokutne psalmy znowu odczytywa.
Ale na głowę dziewczęcą bez siły
Za nadto ciosów dnia jednego spadło:
W jéj oczach ćmi się, jéj lice pobladło,
Chwieje się, klęka na piasek mogiły.

Co czyni — sama nie pamięta zgoła,
Chwyta garść żwiru i ciśnie do czoła,
I tłumiąc jęki, których pierś nie zmieści,
Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
Poruszył starca ten widok boleści:
—„Wypłacz się, dziecię, to ci lepiéj będzie!“
I sam, podawszy tę radę w niedoli,
Zapłakał cicho, lecz rzewnemi łzami.
Łza zaraz ulży, kiedy serce boli,
Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.
Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,
W ściśnionem sercu gdy krwi bije fala;
Ale nie zawsze oczy płakać mogą,
Nie zawsze kamień z serca się odwala.
W dniach udręczenia szczęśliwsi, im szczersi,
Wsi i natury wychowańcy prości;
Nieraz bohater, mąż hartownéj piersi,
Słabéj niewieście jéj łez pozazdrości.

XX.

Dziewczę płakało — a gdyby jéj łezki
Przesiąkły żwirem aż w grobowe łoże,
Spadły na piersi z pod grobowéj deski,
Biedny umarły wnet wskrzesnąłby może:
Tyle w tych kroplach, co z pod serca biegą,
Siły żywotnéj i żalu szczerego.
Gdy płacz szeroki, jak posłannik nieba,
Ulżył boleści pocieszeniem nowém,
Dziewczę uczuło, że sercu potrzeba,
Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;

I już nie bacząc, czy starzec się chmurzy,
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy:

XXI.

— „I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi —
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakały,
Ojcze Tarasie! wy niesprawiedliwi!
Jak Bóg na niebie, jak dzień mamy biały,
Klnę się na męki, co mi serce gniotą,
Jeślim zgrzeszyła — to chyba pustotą...
Musiał ci mówić: jak, gdzie, w jakiéj chwili,
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli?
On był przychodzień, w naszéj wiosce obcy,
Ze starą matką gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Tryumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego, że odludek boży.
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,
Jego głos tęskny, jego twarz sierocą.
Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
Że mógł spojrzeniem aż głąb serca dostać.
Kiedy się zbiorą sąsiadki, sąsiady,
Jakąś pustotę albo żart uczynim,—
On tylko spojrzał, a każdy z gromady
Płochego żartu zawstydził się przy nim.
Choć żadném słówkiem, choć żadną przestrogą
Nie upokarzał rówienników grona —
Bóg raczy wiedzieć, co te oczy mogą...
Ja sama nieraz byłam zawstydzona,

Kiedy bywało nie strzegę się ściśle,
Kiedy coś powiem, czego nie pomyślę.
Nim go poznałam, i ja byłam płocha,
Lubiłam żarty wioskowéj młodzieży;
Ale na niego popatrzawszy trocha,
Poczułam jakoś, co mi się należy.
I gdy bywało on samotny w tłumie,
Ja w jego oczy poglądałam rada,
I zawsze jakoś serce wyrozumie,
O czém on myśli lub o czém zagada.
A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
Umiał odgadnąć, co ja myśleć muszę...
Jak się to działo? powiedzieć nie mogę;
Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze...
Czyśmy się prędko poznali, kochali?
Ojcze Tarasie! tego coś nie pomnę...
Lecz było zemną tém gorzéj, im daléj:
Gdy go nie widzę—już dni nieprzytomne,
Już sny bezładne—nawet żyć niemiło...
A tam nad rzeczką, pod wierzbą pochyłą,
Jest stary kamień—tam, gdy wieczór złoty,
On lubił siadać, wracając z roboty,
Lubił spoglądać na łąki zielone,
Na ciemne lasy, na błękitne nieba.
Jakoś pod wieczór zawsze w tamtą stronę
I mnie bywało wychodzić potrzeba:
To naszych owiec zbłąka się gromadka,
To do sąsiadów posyła mię matka,
Albo mój dziadek wśród pustéj gawędki
Przypomni sobie, siedząc u wieczerzy,
Że nie opatrzył w zatoce więcierzy,
Albo na trawie zapomniał swéj wędki.

Ojcze Tarasie! wszak pamiętasz dziada:
Był bardzo srogi!—rada czy nierada
Muszę tam śpieszyć—a kiedy się zjawię,
To siedzi Szymon na kamiennéj ławie,
Da *dobry wieczór* i o czémś zagada,
To muszę słuchać, rada czy nierada...
Czy go kochałam? nie wiem ani trochy;
Bo to kochanie świat różnie uważa:
Parobczak chciałby wyjść na gospodarza,
Dziewczynie przykre łajanie macochy,
Więc mówią sobie:—„Już tego za wiele!
„Kochać się będziem, weźmiem ślub w kościele,
„I półwłócz gruntu weźmiemy we dworze;
„Na weselisku poskaczem, wypijem,
„Przecięż na starość nie pójdziemy z kijem,
„Bog nas na ludzi wyprowadzi może.“
Dla mnie z Szymonem nie takim obrazem
Stawała przyszłość we szczęście bogata:
Byle ogródek, rozwalona chata,
Lecz będziem razem—zawsze z sobą razem.
Szymon powiadał:—„Marto moja, Marto!
„O inszém życiu i mówić niewarto.
„Będziem ubodzy—ja ci piosnkę sklecę
„O Panu Bogu, o wiośnie, o rzece,
„O czém ty zechcesz—mam piosnek nawałem,
„Ja w pieśni nową utoruję drogę;
„Od pewnéj chwili... gdy ciebie poznałem,
„O wszystkiém piosnki wyśpiewywać mogę.
„Lecz, Marto moja! marzenia na stronie—
„Nim się nam życia wypełnią rozkosze,
„Nim się ja ojcu twojemu pokłonię,
„Nim u twéj matki o rękę poproszę,

„Nim przed ołtarze poprowadzę ciebie,—
„Powiedz mi szczerze, jak Pan Bóg na niebie:
„Czy ty mię lubisz?—bo ja szczęście ziemi,
„Chwilki nie myśląc, w twoje ręce złożę;
„Ale ty, Marto, broń Boże! broń Boże!
„Twe płoche myśli puścisz za drugiemi!
„To wtenczas biada całéj naszéj doli:
„Ostatnia nitka mego szczęścia pękła!“
Szymon zapłakał, jam przed nim uklękła:
—„Niech Bóg—mówiłam—niech Bóg nie pozwoli,
„By serca nasze w jakiéjkolwiek dobie
„Miały się zmienić, ostygnąć ku sobie!“
Szymon szczęśliwy chciał coś odrzec na to:
Lecz było późno—zerwałam się z ławy...
Czy to ze szczęścia, czy może z obawy,
Serce mi drżało, gdy wbiegłam do chaty.
Aż wpół oślepłe źrenice u dziada
Postrzegły bladość—zaprzestał gawędki:
— „Co tobie, Marto? czegoś taka blada?
„Napij się wody! Bieg musiał być prędki!“

XXII.

„Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymonem.
Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie,
Po tysiąc razy w sercu rozmarzoném
Pytałam siebie, czy miłość nie chłodnie?
Lecz serce zawsze mówiło radośnie,
Że silniéj bije, że uczuciem rośnie.
A on czy kochał?—dobrzem to wiedziała,
Inaczéj wierząc grzeszyłabym srodze;

Wciąż jedną myślą jego głowa pała,
Wciąż w jego duszy nowy skarb znachodzę.
Ale my biedni—wśród mozolnéj pracy
Nie sposób zawsze bywać przy kochanku,
Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca,
Nie sposób serce pieścić bez ustanku.
Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny;
Więc biedny Szymon, nie czekając wiele,
Przystał na flisa do dwornéj wiciny.
Insi szli, pieśni śpiewając ochocze,
A on był smutny, jak jodła na grobie...
I ja nieszczęsna nie wierzyłam sobie,
Jak też potrafię przeżyć to półrocze...
Straszny był wieczór, gdyśmy się rozstali!
Jego wspomnienie aż dotąd mię męczy—
Gdyśmy słuchając szumu rzecznéj fali,
Wsparli się, milcząc, na mostu poręczy,
I jakby jedną myślą ożywieni,
Błądzili wzrokiem po niebios przestrzeni...
Ojcze Tarasie! choć żyłeś lat wiele,
Takiego nieba nie widziałeś może:
Ciemne chmurzyska nad lasami ściele,
Tłoczy wierzchołki czarnych jodeł w borze,
Pokrywa mgłami i rzeczkę i błoto,
I serce jakąś naciska tęsknotą;
Z każdéj mgły mara wysuwa się blada,
Złowrogi przestrach jakby z deszczem pada.
A tutaj boleść znęca się nad duszą,
Że się potrzeba rozłączyć na dłużéj;
A takie niebo niedobrze coś wróży,
A tam na Niemnie głębiny być muszą,

I pełno wiosek, pełno miast przy Niemnie,
A tam dziewczęta piękniejsze ode mnie...
Mówiłam pacierz do aniołów stróży,
Wzywałam rzewnie ich opieki świętéj,
Aby go strzegli od fali, od burzy,
A jego serce od jakiéj ponęty...
Szymon mi mówił: — „Bądź zdrowa! bądź zdrowa!
„Wrócę zdrów, wesół, przyśpieszę wesele.
„Przeklęty będzie, kto przysiąg nie chowa!
„Półrocze czasu—och, jakże to wiele!
„Sercu kobiety wielu się spodoba...
„Och! to półrocze, jakaż długa proba!“
Uklękłam przed nim i złożyłam ręce:
— „Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną,
„Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną
„Komu innemu, niż tobie, poświęcę!
„Związek wieczysty, święty i niewinny,
„Za nadto silnie serca nam skojarzył,
„Aby ktoś inny jeszcze nam się marzył,
„Aby nas zdołał zajmować ktoś inny.
„Tu nawet żadnéj nie będzie zasługi,
„Bo mi do duszy nie przypadł nikt drugi,
„Nikt nie przypadnie—mogę ręczyć śmiało,
„Bo gdy raz serce ciebie pokochało,
„To już nie znajdzie w całym świata tłumie,
„Choćby się chciało przeniewierzyć zdradnie,
„Nikogo w świecie, co mię tak odgadnie,
„Co wszystkie moje dumki wyrozumie.
„Tyś mi za nadto po małéj iskierce
„Rozpalił głowę i rozpieścił serce.“
Takem mówiła... Uwierzył—uścisnął...
Zapłakał tylko—i przyszło rozstanie...

Księżyc coś dziko przyglądał się na nie
I krwawém światłem nad nami zabłysnął;
Raził mi oczy jego blask iskrzaty,
Kiedy spłakana wracałam do chaty.

XXIII.

„Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy,
Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.
Ale poranek... to skończenie świata!
Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,
A myśl najpierwsza w głowie zakołata:
Już jego niéma!
Co począć z sobą?... z tym dniem—co natrętny
Już bije w oczy promieńmi, jak nożem?
Z jutrem?... z niedzielą?... a toż dzień pamiętny,
Tośmy się w domu spotykali bożym,
To na cmentarzu, to w chacie sąsiada...
Albo wieczorem—och! gdy wieczór pada,
Czy iść nad rzekę? siąść na kamień znany
I tam skamienieć?—Nie pójdę w tę stronę!
Bo jeszcze przyjdzie szał niespodziewany,
Zeskoczę z mostu i w rzece utonę...
Czy iść na pole?... O! nie! tam przy gruszy
Wiliśmy niegdyś wianki z polnych ziółek!...
Może do ludzkiéj przytulić się duszy?
Straszno! nie lubię moich przyjaciółek!
Bo przyjaciółka wie, czém mnie zatrzyma,
O czém ja mówię, o czém marzyć rada;
Najpierwsze słowo, co do mnie zagada:
Już jego niéma!!...

Dowodzą ludzie, że jest takie ziele,
Co można łyżkę lub wiadro nawarzyć,
Wypić i przespać dni, tygodni wiele —
Och! jak to błogo! byle spać i marzyć,
A w tém marzeniu miewać sny prorocze!
O! takbym spała przez całe półrocze!
Lecz takie ziółko rośnie za morzami —
Nam trzeba czuwać, żyć i śmiać się marnie...
Ojcze Tarasie! jakież to męczarnie,
Pierwszy poranek gdy zostaniem sami!
Serce ci pęka, z bolu nie wytrzyma,
Jeszcze się nieraz zapomnisz w téj chwili,
I myślisz sobie: on troski umili...
Lecz się ocykasz, że jego już niéma!

XXIV.

„Tak dzień upłynął na strasznéj torturze—
Przyszła noc znowu—i znowu świtanie...
Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
Za nadto boli—ja ich nie powtórzę...
Przed jedną matką, w któréj pełna wiara,
Serce cierpiące całkiem się odsłania;
Lecz moja matka—ona nazbyt stara,
Gdzież jéj zrozumieć boleści kochania?
Przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...
Chciało się płakać, lecz chciało się wspólki:
Wezwałam k'sobie wierne przyjaciółki,
Te naśmieszyły, że aż boki bolą.
Nazajutrz ciężka zajęła mię praca,
Smutek złagodniał—i już nie powraca.
Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie,
Bom jedną myślą zawsze uniesiona;

Czuję, że kocham, więc Szymona przyśnię,
Ale już mglisto śniłam twarz Szymona;
Potém w snach moich i twarz, i postawa
Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
A jednak szczerze Szymona kochałam.
Tak, nim w połowie ubiegło półrocze,
Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
Już przyjaciółek zabawy ochocze
Coraz mię częściéj nęciły do siebie.
Gorzkiém przeczuciem, jak gdyby chorobą,
Ciągle dręczona, czułam, jak to boli,
Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
Uciec od myśli, nie być sama z sobą.
Kiedy łzy z oczu lały się goręcéj,
Ja biegłam śmiać się do rówiennic rzeszy;
Ten memu sercu spodobał się więcéj,
Kto najweselszy, najprędzéj rozśmieszy...
Ojcze Tarasie! tak jak mnie widzicie,
Ja w duszy mojéj tak niegdyś bogata,
Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
Śmiałam się nawet, płocho uniesiona,
Z naszéj miłości, z siebie i Szymona.
„Tak przeszły znowu dwa czy trzy tygodnie—
On zawsze w myślach, choć nie tak go cenię.
Czasem mi z cicha powiada sumienie,
Takiemi śmiechy że śmiać się niegodnie;
Że Szymon, we mnie taką widząc zmianę,
Gorzko zaboleć w głębi duszy może;
Dziwne wyrzuty aż dotąd nieznane
Gryzły mię z rana, gdy oczy otworzę,

Gdy jakaś władza w głębi piersi skryta
O całodzienny rachunek zapyta...
Och! niepodobna być z sobą sam na sam!
Mówiłam, ręce łamiąc rozpaczliwie:
Idę do ludzi—pracuję we żniwie,
Albo na łące śmieję się i hasam.
Zwano mię pustą — a nikt i przez chwilę
Nie chciał odgadnąć, co ten śmiech porusza!
Miałam przyjaciół, przyjaciółek tyle,
Przecięż nie zgadła ani żywa dusza:
Ani mój dziadek, co stawiąc więcierze,
Często się chwalił, że zna świat nielada;
Ni moja matka, co modląc się szczerze,
Zawsze bywało o sumieniu gada;
Ni rówiennice — przecięż są młodemi,
Młodego serca tajniki znać muszą...
O! gdzie tam! gdzie tam! dobrze śmiać się z niemi,
Lecz trudno duszy rozmówić się z duszą...
Jedenby Szymon zgadł w najprędszym czasie,
Ale go nie masz na nieszczęście moje.
A mówiąc szczerze — och, ojcze Tarasie!
Już jego przyjścia czułam że się boję,
Że będzie cierpiał nad moją odmianą, —
Chciałam go widzieć, nie będąc widzianą.
„Zagłuszyć wyrzut, co dręczył kryjomu,
Nigdzie nie lepiéj jak w rówiennic kole;
Więc byle chwilka, wymykam się z domu,
Z towarzyszkami śmieję się, swawolę.
A kiedy czasem, wracając z roboty,
Któryś parobczak zjawi się do grona,
To jeszcze więcéj śmiechu i pustoty,
To jeszcze bardziéj byłam ożywiona.

Z taką się myślą oswajałam co dnia:
By durzyć chłopców... tak sobie... bez celu...
Czy to, broń Boże, taka wielka zbrodnia
Kochać jednego a bawić się z wielu?
Wszak to miłości przeszkadzać nie może,
A mego serca żaden nie przebodzie;
Gdzie tam ich kochać? at, stworzenia boże!
Dobrze się pośmiać, potańczyć w gospodzie.
Wszak kiedy Szymon powróci na końcu,
Już wieczny rozbrat ze światem uczynim;
Biedne chłopczyska — oni zgasną przy nim,
Jak małe gwiazdki przy pogodném słońcu.
A czyż to lepiéj, gdy się głowa pali,
Od smutnych dumek kiedy serce więdnie?...
Tak sobie myśląc, wciąż daléj a daléj
Życie pustoty wiodłam nieoględnie.

XXV.

„Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Chłopiec wesoły, piśmienny, bogaty,
Często a gęsto miewał we zwyczaju
Do mego dziadka zachodzić do chaty.
Czasem się zdarzy, kiedy niema dziada,
Muszę go przyjąć, rada czy nierada.
O niczém mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesoło,
Że myślę sobie: ot tego podrażnię,
Na tém coś wygra całe nasze sioło!
Bogaty, wesół — on w każdą niedzielę
Zamówi skrzypce i miodu zakupi.
Spogląda na mnie — trochę go ośmielę,
Niechże się kocha, kiedy taki głupi!

Jam siebie pewna: nie pokocham przecię
Oprócz Szymona nikogo na świecie.
I tak się stało... Bywało co święta
Aż drży gospoda od tańca i skrzypiec;
Wdzięczne mi były wioskowe dziewczęta,
Lało się zdrojem i piwo, i lipiec;
A ja, spokojna na méj drodze cnoty,
Śmiejąc się w duchu, przyjmuję zaloty.

XXVI.

„Jednéj niedzieli szło gwarniéj niż zawsze.
Poczęło zmierzchać i nastało ciemno:
Skrzypce głośniejsze, tańce były żwawsze,
A młody strzelec wciąż tańcował ze mną;
I w jego ręku trzymając me ręce,
Wiodłam ochotę i tańce złowieszcze;
W tańcu swawolę, wymykam się, kręcę,
A tak chychocę, że jak nigdy jeszcze...
Wtém, jak mi późniéj ludzie powiadali,
Wszedł do gospody podróżny z tłomokiem,
Dokoła powiódł jakiémś dziwném okiem,
I w ciemnym kątku siadł sobie w oddali.
Tak patrzał na nas godzinę, czy więcéj;
Już go poznali niektórzy sąsiedzi,
A ja, swawoląc coraz to goręcéj,
Anim zważała, kto tam w kątku siedzi.
Wtém dał się słyszeć łoskot na podłodze,
Jakiś jęk głuchy przerwał skrzypiec tony;
Przypadli ludzie przerażeni srodze...
Podano ognia — to Szymon zemdlony!

Czyż trzeba mówić, żem zbladła, krzyknęła?
Że w serce moje uderzył grom boży?...
Całą szkaradę méj płochości dzieła
W jednym momencie uczułam najsrożéj...
Ludzie podbiegli, po imieniu zową,
Twarz mu skropili i podali wody.
Szymon się ocknął, popatrzał grobowo,
Jeszcze się zachwiał i wyszedł z gospody.
Wybiegłam za nim. — „Szymonie! Szymonie!
„Zlituj się! przebacz! powitaj mię z drogi!“
Ale on spojrzał jakby duch złowrogi,
I poszedł daléj — tu, ku lasu stronie.
Ja go dopędzam, uklękłam na drodze;
Lecz mię odepchnął rękoma drżącemi:
— „Zabiłaś, Marto! zabiłaś mię srodze!
„Zabiłaś wiarę we wszystko na ziemi!
„Przeklęte trzykroć to plemię człowiecze!
„Ten świat nie dla mnie... Bywajcie już zdrowi!“
Znów zastąpiłam drogę Szymonowi,
Lecz znów odepchnął i słowa nie rzecze.
Poszedł do lasu—mnie zamrok uderzył,
Padłam i w ziemię uderzyłam głową;
A gdy chłód nocny nieco mię odświeżył,
Przyszłam do chaty, bredząc gorączkowo.

XXVII.

„Przez dwa tygodnie leżałam w malignie,
Ze strasznéj śmierci pasując się siłą...
A gdy mię Pan Bóg z choroby podźwignie,
Już w naszéj wiosce Szymona nie było.

Mówili ludzie, że ledwie oddycha,
Że się zabłąkał w najciemniejsze knieje,
Że jakieś piosnki wyśpiewywa z cicha
I dzikim śmiechem szydersko się śmieje;
Że nigdy słowa nie mówi do człeka,
Że tak się błąka całe dni i noce,
Że dreszcz ogarnia, słuchając z daleka,
Kiedy z nim leśne echo zachychoce...
A tutaj w wiosce, w zagrodniczéj chacie,
Dogorywała jego matka w nędzy.
Chciałam ją cieszyć po syna utracie,
Lecz mię przelękła—uciekłam co prędzéj...
Przyszłam nazajutrz—i znowu przeklina...
Tylko już w saméj ostatniéj chorobie
Nie przeszkadzała czuwać mi przy sobie
I nie nazwała zabójczynią syna.
Spędzałam przy niéj długie chwile czasu,
Czuwałam nad jéj ostatnią godziną...
On się raz przywlókł pod chatę matczyną...
Ujrzał mię w oknie — i wrócił do lasu.
Matka umarła — a jego nie było;
A gdy ją gmina pogrzebła wioskowa,
Przyszedł, zapłakał nad matki mogiłą,
Lecz do nikogo nie powiedział słowa...
Potém się zjawił — ale w jakim stanie!
Blady, odarty, upadły do tyla,
Że gdzie przed świtem, nim jutrznia powstanie,
Już on w gospodzie kielichy wychyla,
Dziwne piosenki bełkoce bezładnie,
I znowu pije, póki z nóg nie spadnie.
Zadrzemie chwilkę, wstanie i znów woła:
—„Dajcie mi czarkę! precz z życiem przeklętém!“

Chciałam doń mówić — nie poznał mię zgoła...
A może poznał, bo spojrzał ze wstrętem,
Zgrzytnął zębami, odwrócił się żwawie,
Wychylił czarkę i zasnął na ławie...
Tak stargał życie — i po krótkim czasie
Nieszczęśliwego nie było na świecie!...
Ojcze rodzony! ach, ojcze Tarasie!
Jak na spowiedzi teraz wszystko wiecie...
Dzisiaj w kościele—ot tak, słowo w słowo,
Odkryłam rany mojego sumienia.
Lecz że zabójstwo cięży nad mą głową,
Pleban mi dzisiaj nie dał rozgrzeszenia,
I kazał tutaj modlić się w pokorze,
Aż się przebłaga miłosierdzie boże!"

I tak dziewczyna, pasując się w męce,
Długo płakała, twarz ukrywszy w dłonie;
A stary Taras, załamawszy ręce,
Jęknął serdecznie i tak mówił do niéj:

XXVIII.

— „Późny żal przyszedł do twojego serca,
Za późno wracasz na poprawy drogę...
Ja ci okropną pociechę dać mogę,
Że jeszcze drugi jest jego morderca!
Tyś rozpoczęła nierozważnym szałem,
A ja zabójstwa jego dokonałem.
Jaż przecię starzec—gdzież moja rozwaga?
Ja, com doświadczył tyle w życiu mojém,—
Ogień piekielny, co się w sercu wzmaga,
Jam mu podniecił gorącym napojem.
Słuchaj!

„On długo błąkając się w lesie,
Wpół nieprzytomny, prawie wpół umarły,
Jakoś ku mojéj przywędrował strzesie,
Do drzwi zapukał—drzwi mu się otwarły.
Poznał mię prędko—zapłakał boleśnie,
I całą siłą rzucił się na szyję:
—„Ojcze!—zawołał—znasz, jak serce bije,
„Bo tyś mię uczył, jak się składa pieśnie!
„Kłamstwo, mój ojcze, że jest cnota w świecie,
„Że za ród ludzki żyć i umrzeć warto...
„Ty znałeś Martę—och! to święte dziecię!
„Ojcze, weź książkę! pomódl się nad Martą!
„Już Marty niema—już śmierć w jéj źrenicy—
„Ona zginęła! stracone nadzieje!
„Choć jeszcze żyje, choć jeszcze się śmieje,
„To ziemny robak z śmiechem zalotnicy!“
Tak wpiwszy we mnie swe źrenice krwawe,
By zebrać oddech, całe piersi sili,
I wszystko w jednéj wypowiedział chwili,
Zaśmiał się gorzko i upadł na ławę.
Łzy mi stanęły, żal ścisnął się w łonie...
Chciałem go cieszyć najprędzéj, najprościéj,
Rzekłem wesoło:—„Źle czynisz, Szymonie,
„Że z jednéj sądzisz o całéj ludzkości!
„Ona zdradziła—ty cierpisz! ja wierzę;
„Lecz śmiej się z tego—jedyny ratunek:
„Potrzeba w inszéj pokochać się szczerze,
„Ale tymczasem—trunek na frasunek!
„Mam tu miód stary—wypij, to pokrzepi!“
—„O nie, mój ojcze!—tak Szymon odpowie—
„Jam niegdyś pijał, nadwerężył zdrowie,
„Piłem w cierpieniu—nie było mi lepiéj.

„Niechaj ten pije, który rąbie drzewa,
„Pracuje z pługiem, albo trzody pasie;
„Lecz my próżniacy—ach, ojcze Tarasie!
„Nas dostatecznie piosenka rozgrzewa,
„Boleść rozpala, a myśl ogniem piecze,
„Już i tak serce rozpęknąć się może!“
A jam nalegał:—„Człowiecze, człowiecze!
„Zrozumiéj życie, szanuj dary boże.
„Że dziś czy jutro ma cierpieć z nas który,
„O tém już dawno przewidziano z góry.
„Trunek, co duszę wpół martwą ożywi,
„Co w stare kości wlewa siły młode,
„Nie dla tych dany, którzy są szczęśliwi,
„Lecz dla cierpiących—po łzach na osłodę!“
Tak nalegałem, bom kochał Szymona,
Sądząc, że w smutnym uleczę obłędzie,
Że gdy wstręt pierwszy do czarki pokona,
To już weselszy i szczęśliwszy będzie.
Więc go zakląłem: jeśli jest kolegą,
Kocha mnie, ludzkość i Boga samego,
Niech pokosztuje.

„Skosztował z kielicha,
Wypił aż do dna—nalał drugi, trzeci.
Chciałem go wstrzymać—już rękę odpycha,
Już dzikim ogniem jego oko świeci:
—„Pić mi podajcie! — tak zakrzyknął wściekle—
„Ogień piekielny niech pali się w piekle!
„Naléj mi miodu, gorzałki czy smoły!...
„Zdrowie zdrajczyni!... pij ze mną Tarasie!“
Pił i nalewał już martwy na poły,
I krzyknął:—„Pijmy! teraz już po czasie!

„Spełniona dola... Przeklęty, przeklęty,
„Kto pierwszą kroplę w moje usta wsączył!...
„Krew już do piersi nawala się wzdętéj...
„Nalałem czarę—do dna będę kończył:
„Dopytam może, gdzie jest szczęścia meta...
„Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!“
Tak pierwszy puhar spełniwszy złowrogi,
Pobrnął do wioski lasami i jarem,
I tam do reszty zgubił się puharem,
I tu nieszczęsny spoczął wedle drogi...
To my, dziewczyno—myśmy go zabili,
I brama piekieł wspólnie nam otwarta...
Przyjaciel Taras i kochanka Marta
Do ostatecznéj przywiedli go chwili,
Bo podbudzając niebacznie, z daleka,
Rozpłomienili namiętności człeka...
Ty z jego serca wypleniłaś wiarę
W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
A ja ognistą podałem mu czarę,
Aby do reszty przestał być człowiekiem.
Kto z nas winniejszy—Bóg kiedyś rozważy:
Tyś go na duszy, jam zabił na ciele...
Nam się zdawało, że takich zbrodniarzy
Kapłan od razu rozgrzeszy w kościele.
Lecz nas odepchnął, wskazał za pokutę
Własne sumienie i modlitwę łzawą;
Aż w dzień Zaduszny mieć będziemy prawo
Znów nasze myśli gorzkie i zatrute
Otworzyć przed nim... Tu, u grobowiska,
Krzepmy modlitwą serce, co usycha.
Dosyć rozpaczy! niechaj modła cicha
Ulecza boleść, co serce naciska.

Męczennik serca, co leży w tym grobie,
Może już przebył czyscowe otchłanie,
I nam odpuścił winy przeciw sobie,
I nas przed Bogiem uniewinnia za nie.
Módlmy się tylko!“
Wsparł głowę na ręku
I czytał psalmy pokutne ze łkaniem;
Dziewczyna głosem bolesnego jęku
Słowo za słowem powtarzała za nim.

Wieczorne słońce z za góry, z za chmury,
Rozlało uśmiech po ziemskim obszarze,
Rzucając promień złotawéj purpury
Na las, na wioskę, na pokutne twarze;
A w mgłach wilgotnych od wybrzeża rzeki
Na *Anioł Pański* jęknął dzwon daleki...

EPILOG.

Och! gdyby życie było poematem,
Jakżebym pięknie skończył moją powieść!
Że Szymon wskrzesnął, aby szczerze dowieść,
Że się pojednał z ludzkością i światem;
A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
Już swojéj Marcie dałby rękę czułą;
Pleban te ręce powiązałby stułą,
Taras ze skrzypką przyszedł na wesele...
Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczéj,
Skreśliłbym obraz w całéj pendzla sile,

Że Marta, długo płacząc na mogile,
Jednego ranka umarła z rozpaczy...
Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
Muszę być wierny i w miejscu, i w czasie.
Więc za półrocze przyszedł dzień Zaduszny,
Ksiądz widział skruchę w Marcie i Tarasie,
Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
Więc otrzymawszy miłosierdzie Nieba,
Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba,
I zaniechali mogiły Szymona.
Wiatr rozwiał piaski—i zielsko porosło,
Po zgniłych kościach oplątа się żmija...
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija;
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.
Po dniach pokuty i ciężkiéj spowiedzi,
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak—już nie wiem kto taki,
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi,
Więc poszła za mąż — i co idzie za tém,
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
Wszystko jak trzeba... O Boże mój, Boże!
Czemu to życie nie jest poematem?!

23 marca 1856. Borejkowszczyzna.

GARŚĆ PSZENNA.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on człeka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa,
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznana
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana
I lubiony w całéj włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojéj wioski;
Ale starość to nie radość,
Przyszedł w końcu wiek dziadowski.
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,

W plecach urósł garb szeroki,
Mądra broda pobielała.
Więc przed swymi tak się biedzi:
—„Czas odpocząć mi nareszcie!
„Rada w radę — i sąsiedzi,
„Już innego wójta weźcie!
„Moja głowa trzech nie zliczy,
„Bo zwyczajnie stara, siwa.“
A gromada jak zakrzyczy:
— „Dolaż nasza nieszczęśliwa!
„Cóż to waści, panie bracie!
„Przykro ojczyć w swéj chudobie?
„Czy nam zguby pożądacie?
„Z taką mową idźcie sobie!
„A dopóki ręka bozka
„Trzyma waści w równéj mierze,
„Póty cała nasza wioska
„Wójta sobie nie wybierze.“

W prośby, w groźby on i oni;
Rzeczy wzięły rzewną postać, —
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim, —
Bo się potém swar obudzi,
Walka pocznie się złowroga,
I zgorszenie dobrych ludzi,
I obraza Pana Boga.
—„Na to zgoda!—zawołali,—

„Szczepan mówi święte słowa!
„Ale na co szukać daléj?
„Jest tu dziatwa Szczepanowa.
„Ma trzech synów—dzielne chłopcy,
„Każdy wart być na urzędzie,
„Im wioskowy ład nieobcy,
„Niech z nich jeden wójtem będzie.
„Ale który??“—Ot i spory,
Już się teraz powaśnili.
Jeden mówi, że Hrehory,
Drugi mówi, że Wasili,
Insi znowu z włości grona
Piszą karby na Szymona.
Ojciec widzi, że mozoła,
Że do gwarnéj przyjdzie zwady;
Siwe włosy zgarnął z czoła
I tak mówi do gromady:

— „Jest tu lepszych gospodarzy,
„I w wyborze ciężka biéda, —
„Lecz jeżeli wam się marzy,
„Że się który syn mój przyda,
„Wasza łaska w tém widocznie.
„Lecz do wójta droga długa!
„Nim gromadzie służyć pocznie,
„Niech pokaże, co za sługa.
„Ot widzicie! właśnie pora
„Poznać, jakie w którym czyny:
„Pan na wiosnę śle Hrehora
„Do Królewca na wiciny;
„Wasil rusza w pańskiéj sprawie
„Aż w Krakowskie, panie bracie!

„Szymon został przy mnie w chacie,
„W Ukrainę ślę Szymona,
„Niechaj soli nam przystawi,
„Bo w miasteczku nazbyt droga;
„Wiem, że każdy z nich się sprawi,
„W tém już łaska Pana Boga.
„Ale który z cudzéj strony
„Większą korzyść nam przyniesie,
„Będzie wójtem postawiony,
„Będzie ojczył w naszéj strzesie.
„Za rok może o téj porze
„Bóg mi życia nie odbierze,
„Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
„Nie omylim się w wyborze!“
I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa.
Nie wiesz, dziatwo Szymonowa,
Że-ć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok téjże pory
Już z Królewca statki płyną,
I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną.
I zebrała się gromada,
Dano miodu, dano piwa;
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki byt u Niemców miły,
Jaki przepych niesłychany,

A najbardziéj mu się wbiły
Kapelusze i kaftany.
— „Co tu mówić o siermiędze?
„Krój dziwaczny, niesłychany,
„Zaraz po niéj znaczno nędzę;
„Skrojmyż świty na kaftany!
„A słomiane kapelusze,
„Pańszczyźniany ubiór chłopa!
„Już u Niemców — przyznać muszę,
„Zaraz znaczna — Europa!“
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
—„Ten nie będzie wójtem po mnie!“

III.

Wraca Wasil z pod Krakowa,
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniéj z dala słucha.
—„ Co to! — mówi — mowa jaka!
„*Proszę pana*, jakie pieśnie!
„Każdy nóci krakowiaka,
„Gdy my piejem tak boleśnie.
„Gdzież tu piosnka brzmi swobodniéj?
„Każde słowo, każda nóta
„Tak goryczy łzą zatruta,
„Że aż echo wzdycha od niéj!
„Wiecie, bracia, co poradzę?
„Rzućmy nasze piosnki stare.

„W krakowiaka tańczmy miarę,
„A ja rej wam poprowadzę.“
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
—„Ten nie będzie wójtem po mnie!“

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy
Opowiada dziwne dziwy;
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny.
—„Dobrze—mówi—w tamtéj stronie
„Milę dojrzy choćby ślepy,
„Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
„Niedojrzane okiem błonie!
„A jak spojrzy w kraj daleki,
„Aż zatęskni się wędrowiec
„Do swych sosen, do swéj rzeki,
„Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
„Że chociażby w Ukrainie
„Nasypano góry złota,
„Popędziłaby tęsknota
„Do swéj wioski — ku rodzinie.
„Jedna tylko rzecz nielada,
„Czego sobie ztamtąd życzę,
„To pszenica! — z niebem gada!
„A kłosiska gdyby bicze!
„Więc tamecznych plonów cuda
„Uzbierałem mieszek spory;

„Ej, sprobujmy! nuż się uda
„Ukraińskie mieć nam zbiory!
„A każdemu z was, sąsiedzi,
„Dam po garści na początku...“
Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął zamiast odpowiedzi;
W tém westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa,
Myśl ojcowska — znać ją z twarzy:
Syn méj wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
—„Z głupich ust głupia nowina!
„Kto niemieckiém chce odzieniem
„Pokryć ciało Słowianina;
„Kto ku obcym skłonił duszę,
„O pilścianéj czapce marzy,
„Kto słomiane kapelusze
„Znalazł sobie nie do twarzy, —
„W obce stroje niech się stroi,
„Niechaj zdrów zakrywa oczy:
„Latem czoło skwar uznoi,
„A w jesieni deszcz przemoczy!
„Głupi! jeszcze więcéj głupi,
„Kto rozumie, że szczęśliwy,
„Że swojskiego ducha skupi
„W jakiéjś piosnce z cudzéj niwy,
„Kto pogardza grunt ojcowski,
„Kto ku cudzym rzeczom skory!

„Nie przyniosą nic dla wioski
„Ni Wasili, ni Hrehory!
„Lecz kto w obcéj będąc ziemi,
„Miał ku swoim chęć niemarną;
„Kto pszeniczne zebrał ziarno,
„By je krzewić między swemi;
„Kto o świecie mówi skromnie,
„Kto zatęsknił po swéj stronie, —
„Ten zostanie wójtem po mnie:
„Będziesz wójtem ty, Szymonie!"
A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
Będziesz wójtem ty, Szymonie!

1856. Warszawa.

CIEŚLA.

GAWĘDA LUDOWA.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę.
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu skwar piecze;
Wytchnij nieco, człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli;
Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Szturm przypuszcza do jadła.

* * *

Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobył lulkę, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiécha,
Poweselał na twarzy

I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:

— „Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,
Zrobi topór, lemiesze,
Stuknie, puknie w kowadło
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry wiosce pożytek.
Cieśla z niczém powraca
Od siekiery i pługa,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

* *
*

„Młynarz puścił zastawki,
W kosze zsypuje zboże,—
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może!
A jego trzódka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy;
Od dobrego człowieka
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczém powraca
Od siekiery i struga,

Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

* * *

„Skrzypek piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi, —
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czyńcie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica niesucha;
I co milsze rozkosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica coś warta;
Lecz cieśli licha płaca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

* * *

„Ot i dzieci, i młodzi,
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdéj chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;

Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą, —
Ksiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

„Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów...
„Oj danaż moja, dana!“
Ruszyć w swadźbę już gotów.
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wózek chłopcowi?
Jak okują kolosa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie:
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojéj ciesielki?
Toż pytanie nielada!
A gdy celu dolata,
Cieśli, starego dziada,
Nie zaprosi na swata;
Pieniędzmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

„Kiedy lato przeminie,
Dni dożynek nadbiegą,
Stołu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże, z heblem i piłą
Śpiesz się, cieślo, do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła;
Lecz gdy jadło przynieśli,
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniéj drużynie
Zapomnieli o cieśli...
A on ich mozół skraca,
Wprawia sosznik do pługa...
Oj, lichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!“

* * *

„Młodzian przeżył wiek długi,
Zstarzał i umarł wreszcie.
Śpieszcie do cieśli, śpieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę mu zrobił
Wielce sztucznéj roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;
Dziś — nagrodzą Niebiosa! —
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

„Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota,
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie, —
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwala,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca;
Do mnie anioł stróż mruga,
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

„Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiéj roboty!
Bom wyuczył nielada
Kilku z wioskowéj młodzi,
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada.
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;
Poczciwa była praca,
Dobra będzie zasługa!“

1856. Warszawa.

RYCERZ NA CZATACH

CZYLI PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁŻAWA

Z PODANIA HERALDYCZNEGO.

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek,
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina,
Rycerz Belina.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię z krzyżem miecz stalowy
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękkie serce,
Musiał rad nierad oddać się żołnierce,
Kędy się zuczył, zręczniéj niż my piszem,
Machać bardyszem.

Dodawszy k'temu żelazną kolczugę,
Pancerz kowany i kopię długą,
I hełm z wizyrem do okrycia powiek, —
Straszny był człowiek!

Swego rumaka, co wolałby paszę,
Strojno, rycersko zakowywał w blasze;
Czaprak, nagłównik, napierśnik i siodła
Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitéj doli,
Lepiéj się okryć bezpieczności gwoli:
Bo ani strzała, ni miecza zamachy
Nie ugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna,
To serca blachą zakować niemożna;
A choćbyś zakuł, to i w takiéj zbroi
Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa,
Dobrze zważywszy, niewielce straszliwa:
Gdy insi niosą na szwank swoje zdrowie,
Ukryj się w rowie;

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
Wymknij się na przód, a łupu dopadłszy,
Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie,
Mieszek i chwała urosną sowicie,
Zwłaszcza gdy rycerz, wróciwszy z oddali,
Huczno się chwali.

Tak doświadczeniem własném nauczony,
Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
Z chrobremi męże wielkich czynów chwała
I nań spływała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
Chociaż się strachał, gdy trąba uderzy,
Lecz, krzepiąc serce, a mówiąc pacierze,
Wawrzyny bierze.

II.

Pewnego razu, gdy z hufcy polskiemi
Bojował Roman, kniaź Halickiéj ziemi,
Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada
Nocleg przypada.

Zwolniono konie, puszczono na paszę,
Odjęto hełmy, odpięto pałasze,
I wedle ognisk drużyna szczęśliwa
Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe,
Dokoła gęste postawione straże,
A daléj czaty w krąg obozowiska
Stanęły z blizka.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyna,
Przodową czatę sprawował Belina;
Takie hetmańskie było rozkazanie
(Odpuść mu, Panie!).

Samemu... w polu... w pośród nocnéj głuszy...
Toć i najśmielszy upadnie na duszy:
Wróg w każdéj chwili, nie dopuszczaj Boże,
Uderzyć może.

A tutaj księżyc, jak na złość, na zdradę,
Ciska z za chmury swoje światło blade;
Przy jego blasku kamień, krzak lub trawa
Człekiem się zdawa.

A tu las blizki gałęzie rozpostrze,
Tu sterczą jodły, jakby włóczeń ostrze,
Wiatr je kołycha, chwieją się konary
Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
Wielce podobien do jazdy tętnienia;
Zgadnij kto mądry: czy to ruskie syny,
Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, co zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową,
W jesienny wieczór rozważa i bada,
Jak liść opada;

Słupi się, staje i strzela oczyma,
Wprawdzie nie blednie (bo rumieńca niéma),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka:

Tak mąż Belina wśród nocnych straszydeł
Zazdrości orłom ich potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, księżyca i lasu
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:
—„Na co ta wojna z książęty Halicza?
„Jakowa korzyść i w jakowym względzie
Polsce przybędzie?

„A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;
„Lecz taki hetman, to pożal się Boże!
„Po co na czaty, kędy pewno zginę,
„Wysłał Belinę?

„Zważywszy zresztą Opatrzności plany,
„Zmrok ciemnéj nocy na to został dany,
„By szlachcic, sławny parantelą znaczną,
„Wyspał się smaczno.

„Jam przecię szlachcic i spałbym ochoczo...
„A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą?
„Zabiją... zginie dostojność jedyna,
„Mój herb Belina!“

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei;
Posłannik niebios—sen oczy mu klei,
I chrobry rycerz na swéj chrobréj szkapie
Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmądrzéj, najprościéj,
Że sen jest tylko przedsionkiem wieczności,
I że Rusini wnet na śmierć złowrogą
Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,
I oto marzy: że las się porusza,
Że nieprzyjaciół tysiąców tysiące
Skaczą po łące;

Że sam kniaź Roman już pali z kopyta
I chrobrą ręką za gardło go chwyta...
—„Ratuj kto poczciw z sarmackich rycerzy!
„Kto w Boga wierzy!“

Tak ze snu krzyknął i w nogi od lasa,
Porywa trąbkę wiszącą u pasa,
I z całych piersi swój sygnał złowrogi
Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnéj nocy góry i doliny
Odpowiedziały na sygnał Beliny;
W obozie popłoch wywołało hasło,
Sto trąb zawrzasło.

—„Na koń, rycerstwo!“—chrobry hetman woła,
Trwożliwy bezład zakipiał do koła,
Ów szuka zbroje, ów konia na dworze
Znaleźć nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w téj chwili
Na potrwożone wojsko uderzyli,
Rycerstwo snadno w takowym bezładzie
Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,
Poznaje gwary swoich towarzyszy;
Gdzież nieprzyjaciel, co zda się szedł drogą?
Nie masz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
Patrzy w ciemności otchłanie bezdenne:
Zda się coś huczy, zda się coś porusza—
To polna grusza!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
Już się gotuje na bojowe dzieło;
Gdzie i z kim zasię? niełatwe problema,
Gdy wrogów niema.

Harcują w polu i czaty i straże,
Ale do koła nic się nie ukaże;
Belina wespół z drugimi harcerze
Zwija się szczerze.

Radośnie krzyczy, że nie masz nikogo,
Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
Że to nie Rusin, ale go napadło
Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa!
Bo król był srogi, gdzie idzie o prawa:
Za marny popłoch nieuważne straże
Śmiercią się karze.

Więc przeczytano wojenne statuty,
Płacze Belina w kajdany okuty,
Już kosa śmierci zawisła surowo
Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca.
Zeszła się tedy sądownicza wieca,
Na któréj hetman i przyboczna rada
Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
By dawszy sygnał w niestosownéj chwili,
Sprowadził wojsko na swoją obronę
W przeciwną stronę?

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
Kiedy bolesnych zarzutów wysłucha,
Przejęty strachem pobledniał widocznie
I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
Wszystko, jak było, całą prawdę mówi:
Jak liche krzaczki wyobrażał z trwogi
Za hufiec mnogi;

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
Snem niewinności małą chwilkę zdrzémnie;
Jako przyśniwszy, że Rusin weń mierzył,
W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnéj postaci
Słuchał go, słuchał — i powagę traci,
A usłyszawszy, jako śnił Belina,
Śmiać się poczyna.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
Każdy serdecznie za boki się bierze,
Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą,
Wszyscy chychocą.

Po krotochwilnym śmiechu tylu osób,
Wyroku śmierci podpisać nie sposób;
Więc rada w radę, wydał król surowy
Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
A z hełmu rękę zbrojną i uciętą,
By się śmiesznemi nie wstydziło czyny
Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieniając miano,
Łżawym Belinie zwać się rozkazano;
To znaczy: kłamcą—że swemi sygnały
Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy dziś *Łżawym* się zowie,
Zostali z herbem starym Belinowie,
I ztąd się wiodą w kolei wiadoméj
Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozpowiadał długo,
Że herb swój nabył wojenną zasługą;
Lecz nie oszukał kłamliwemi słowy
Karty dziejowéj.

Stała się znaną niedobra przygoda,
I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
By poszła powieść z dziadów aż na wnuki
Dla ich nauki.

III.

My, potomkowie protoplastów owych,
Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:
Zamiast, jak starzy, wywijać bardyszem,
My książki piszem.

Dziś mądra ludzkość, kiedy śpi po trudzie,
Rozstawia czaty, a piśmienni ludzie
Winni dać hasło: gdzie? u jakiéj drogi
Postępu wrogi?

Biadaż ci, biada, piśmienny skryptorze!
Jeśli ze strachu kędyś w nocnéj porze
Dasz mylne hasło, wzbudzisz mylne czyny,
Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
Będziesz nam bajał, co ci sen wymarzy,
Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
Nasz spokój duszy!

Bo mszcząc się ludzkość za obłędu winę,
Nazwie cię *Łżawym*, jak męża Belinę,
Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
Świat się naśmieje.

1856. Borejkowszczyzna.

STARE WROTA.

POEMAT.

„Dowieść na mię nie mogą, abym co komu „uprosił: bo się za tak u Króla Jegomości Pa„na mego wdzięcznego i udatnego nie mam, anim „jest, ani być chcę. Jeden jednak na się grzech „powiem: woźnicy Króla Jmści, który mię kil„kanaście lat wozi i ze mną u dworu zstarzał, „a nigdy mię nie przewrócił, uprosiłem wielką „wakancyę w żupach, groszy 20 na tydzień, „aby w starości głodem nie umarł. Jeślim tém „zgrzeszył, proszę odpuszczenia.“

Ks. Piotr Skarga. *Na artykuł o Jezuitach odpowiedź, rozdział I.*

Część Pierwsza.

I.

W roku zbawienia tysiącznym pięćsetnym
Dziewięćdziesiątym i dziewiątym pono,
Zygmunt, którego Trzecim narzeczono,
Panował w Polsce. Czy był królem świetnym?
O czém zamyślał? co czyni? jak żyje?
Czyim dał ucho poszeptom zdradzieckim?

O tém szeroko piszą historye;
Jeśli chcesz wiedzieć, przeczytaj w Piaseckim.
My się nie wdajem w historyczne sprawy,
Bo strach rozbudzić krytyków z Warszawy.
W skromniejszéj mierze trzymając się płota,
Tylko Zygmunta wspomniawszy nawiasem,
Chcę wam opisać staroświeckie wrota,
Przy starym dworku pod litewskim lasem.
Och! dawno chaty zwaliły się ściany,
I las wycięto, zorano na grunta,
I jeszcze większe nastały odmiany
Od owych czasów Trzeciego Zygmunta.

II.

Onego czasu zakon Jezusowy
Był panem serca i królewskiéj głowy.
Próżno Zamojski zżyma się na sejmie,
Pacta conventa że monarcha targa, —
Król Jezuitom serca nie odejmie,
Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.
Święty Piotr Skarga! wśród synów Loyoli
Wyrósł, zestarzał, — i wierzył w ich cnotę;
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerozłote,
Żył i pracował zakonowi gwoli.
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię,
I mężką wolę, i rozumu siły
Złożył Piotr Skarga na starszyzny ręce.
Już posiwiały, już k'ziemi pochyły,
Przechował w duszy wierzenie dziecięce.

Z wesołą twarzą, w pokornéj postaci
Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy.
W świętych źrenicach sam nie mając skazy,
Nie mógł jéj dojrzeć na sercu swych braci.

Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana
Na Jezuitów wykrzykuje *veto*,
Czy trzeba wstydzić błędy Aryana,
Albo się ścierać z uczonym Helwetą,
Czy to rycerstwo na koń się sadowi,
Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,
Czy rokoszanin zagraża królowi, —
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
On broni świętych tajemnic ołtarzy,
Zasłania kościoł od błędnéj szarańczy,
W bitnych pancerzach odwagę rozżarzy,
W togach senatu szczepi duch poddańczy.
Dwoi się Skarga, i kędyż go niema,
Gdzie woła kościoł lub ziemia rodzima?

Mąż wielki sercem, potężny w wyrazy,
Nie dziw, że został filarem kościoła,
Że pańskie serce u Zygmunta Wazy
Takiemu człeku odjąć się nie zdoła.
Gdy go królewskie zawiodą nadzieje,
Kiedy mu serce przepełniają żale,
Czegoż się dziwić, że duszę wyleje
Przed Piotrem Skargą przy konfessyonale?
Że gdy, jak ojciec od swawolnych dziatek,
Doznał zniewagi szlachty czy magnata,
Już Zygmunt tęskni do spowiednich kratek
Skarżyć się Skardze na ból, co przygniata?

Że kiedy dworskie pochlebstwo owionie,
Gdy mu dworują koronni panowie,
Tęskliwém okiem patrzy ku ambonie,
Bo tam z ust Skargi o prawdzie się dowie?

A Skarga kochał Zygmunta Trzeciego,
Bo w jego sercu postrzegał grunt żyzny,
Bo w łzach pokutnych, co mu z oczu biegą,
Widział deszcz hojny dla plonów ojczyzny.
Może ze strachem, z boleścią ukrytą
Popierał głowę króla słabowitą;
Może zwodniczym blaskiem nieomamion,
Znał, jak mu cięży pomazańców toga,
I może nieraz modlił się do Boga
O większą siłę dla Zygmunta ramion, —
A znając dobrze, zkąd się krzepkość bierze,
Na drogach Pańskich umacniał go w wierze.
I grunt był żyzny, i siewca nielada,
A czemuż ziarna nie wyrosły boże?
Ten chyba na to odpowiedzieć może,
Co losy plemion i wieków układa.

III.

Ledwie bywało dziewiąta godzina
Wydzwoni ranek na zamkowéj wieży,
Król z brewiarza jutrznię rozpoczyna,
(Bo się pilnował kapłańskich pacierzy),
A na pokojach u tronowéj sali
Już się panowie i dworscy zebrali,
I szepcąc cicho prze królewskie zdrowie,
Czekali, rychło dzwonek się odzowie.

Potém dworzanin, który pełnił straże,
Otwiera pańskie komnaty i woła:
— „Królestwo Ichmość zaraz się ukaże,
„Tędy przechodzić będzie do kościoła.“
I wchodził Zygmunt i obok królowa, —
Chylą się czoła w cześć Królewskiéj Mości;
Lecz król milczenie uroczyste chowa,
Jeno skinieniem pełném uprzejmości
Powita dworzan i przez salę kroczy,
K'ziemi spuściwszy swe promienne oczy.
Wtedy i słowa wyszepnąć niemożna;
Bo król rachunek przed spowiedzią czyni.
Wyszedł w krużganek — a ciżba pobożna
Już do zamkowéj tłoczy się świątyni.
Wszyscy w milczeniu, a wszyscy po parze,
Senat za królem, a dworscy po przedzie,
Idą w krużganku kryte korytarze,
Co z zamku prosto do kościoła wiedzie.
Pod baldachimem z bogatéj purpury
Uklęknął Zygmunt lub krzyżem się ściele;
A tam kapelan, albo biskup który,
Czyta mszę świętą, — a w całym kościele
Szmer taki cichy, jak liści osiny,
Kiedy się trzęsą przy świetle księżyca;
Posłyszysz nawet, kiedy parsknie świeca,
Lub czyje serce z cierpienia lub winy
Jęknie westchnieniem.

Kiedy msza się czyta,
Czarny cień jakiś przesnuł się pomału:
Siwy jak gołąb stary Jezuita,
Piotr Skarga, zasiadł do konfessyonału.

1. pierwsza żona Anna, druga Katarzyna

A kiedy kapłan kreśli znamię krzyża
I Ewangelii odczyta ostatek,
Król lub królowa powoli się zbliża,
A Skarga ucho nachyla do kratek.
Króla z kapłanem spowiedź w cztery oczy
Długa i rzewna — widać, jak łzy leje!...
Och! tę rozmowę, którą z Bogiem toczy,
Gdyby raz jeden podsłuchały dzieje,
Może ich karty brzmiałyby inaczéj;
Lecz insze ludzkie, — insze sądy boże!
Kapłan dla skruchy grzesznemu przebaczy,
Ale historya przebaczyć nie może.
Znowu msza święta. Wyspowiadan szczerze,
Zygmunt Sakrament Przenajświętszy bierze
Z rąk księdza Skargi — a tak pokrzepiony
Na całodzienne dźwiganie korony,
Do panów radnych przybliża się śmieléj,
Na swe dworzany pogląda weseléj.
Opuszcza kościoł, i święconą wodą
Krzyż na swém czole i na piersiach kładzie;
I znów krużgankiem panowie go wiodą,
Gdzie ma przodkować państwa wielkoradzie,
Przyjmować posły ościennych mocarzy,
Lub słuchać sejmu, który szumnie gwarzy.

Tak było codzień — a w każdą niedzielę
Król we świątyni bawił za południe.
Tam się lud mnogi na kolana ściele, —
A ojciec Skarga odzywa się cudnie:
O świętéj wierze, o bratniéj miłości,
Słowami prawdy i kamień przebodzie,
Panów prowadzi ku braterskiéj zgodzie,

Sędziów ku pracy i sprawiedliwości,
W żołnierstwie ducha pobożnego szczepi,
I nie przestaje powtarzać słów Pana,
Aż pojmą głusi, aż obaczą ślepi,
Aż rzewny naród padnie na kolana.
Wtedy apostoł z promienistą twarzą,
Wesół na sercu, schodzi z kazalnicy.
Panowie tłumnie k'niemu się kojarzą,
Biją mu czołem dworscy urzędnicy;
Rycerstwo, jakby na widok hetmana,
Stawa do szyku, aby uczcić księdza;
Lud go pozdrawia — a bieda i nędza
Ciśnie się przy nim, ściska za kolana.
A siwy starzec, zawstydzon jak panna,
Na wszystkie strony skromny pokłon dzieli;
Śpieszy do swojéj za klauzurą celi,
Kędy go czeka praca nieustanna,
Kędy go czeka swobodne zacisze,
Kędy się modli i swe księgi pisze.

IV.

Przez lat trzynaście pełniąc służby boże,
Skarga pracował piórem, sercem, głową;
Ranek miał w zamku, cały dzień w klasztorze,
Chyba że znowu do zamku pozową.
Król, który pragnął, aby starość święta
Na długie lata chowała się krzepko,
Codzień bywało najwierniéj pamięta,
Aby go dworską odsyłać kolebką.

Ale apostoł, pełen ducha mocy,
Brzydził się blaskiem wytwornéj karocy,
I tak powiadał: — „Do czego te dziwy?
„Królu i Panie Wielce Miłościwy!
„Ścieżka do zamku z klasztoru mi znana,
„Ani daleką, ni błędną mam drogę;
„Staremu rzeźwiéj przechodzić się z rana,
„Więc chodzić pieszo i pragnę, i mogę.
„Zbawiciel świata, większy pan niż Skarga,
„A przecięż wierną otoczony rzeszą,
„Po piaskach judzkich święte stopy szarga,
„Z miasta do miasta przechodząc się pieszo.“
Ale król na to: — „O mój księże miły!
„W trzydziestu leciech Chrystus nie był stary;
„Ale w te lata, z waścinemi siły,
„Nie porywaj się z Chrystusem do miary!“
Chciał Skarga mówić coś o świętym Pietrze,
Swoim patronie — ale król nie słucha.
A że nastało zimniejsze powietrze,
Nastała w mieście śnieżna zawierucha,
Więc wyszukano na królewskiéj stajnie
Skarbniczek mały, wygodny, niekryty,
Co o godzinie szóstéj jednostajnie
Szedł pod mieszkanie księdza Jezuity,
Wiózł go co ranek pod świątynię dworną,
A o południu pod fórtę klasztorną.

V.

Od lat trzynastu już odtąd co rano
Ów niepoczesny skarbniczek widziano,

Zielonéj barwy, z koły wysokiemi,
Trząsł się po bruku czy po równéj ziemi.
A stary konik, bułany, niewielki,
Cichéj natury, jak właśnie dla księdza,
Szedł sobie stępo zaprzężon w dyszelki,—
Stary woźnica lejcem go popędza.
Woźnica strojny ze złotem błękitno,
Miał pas wzorzysty i kołpaczek rysi;
Policzki jego jeszcze zdrowiem kwitną,
A wąs srebrzysty aż do pasa wisi.
Rodem był Litwin, nazwiskiem Szeliga,
Sługiwał dawniéj na wojskowym żołdzie,
A gdy piątego krzyżyka dościga,
Był dojeżdżaczem przy panu Gasztołdzie.
Potém go bieda—na świecie zwyczajnie—
Wypchnęła z Litwy rodzinnego sioła;
Został woźnicą przy królewskiéj stajnie
I księdza Skargę woził do kościoła.
Ksiądz Skarga, wózek, i postać woźnicy,
I zasłużony koń bułanéj maści,
Zwykli do siebie przez latek trzynaści,
I ludzie do nich zwykli na ulicy.
Gdy rankiem przemkną bywało przez miasto,
Stragarze wiedzą, że szósta godzina;
Kiedy wracają, to znaczy dwunastą;
Stary skarbniczek wskazówka jedyna.
Wtedy się cisną i wielcy i mali
Popatrzeć w oczy świętego człowieka:
Ów czołem bije, ów Chrystusa chwali,
A owa dziatwę prowadzi z daleka,
Bo ma otuchę, że apostoł boży
Błogosławieństwo na jéj głowę włoży.

VI.

Stary Szeliga był chlubny nielada,
Takiego człeka że mu wieźć wypada,—
I zazdroszczono jemu tych zaszczytów;
Ale on, z dworskich żartując poswarek,
Jeździł codziennie, wiernie jak zegarek,
Do Jezuitów i od Jezuitów.
Tak do swéj służby ułożył się zdatnie,
Że woził Skargę jak żaden z czeladzi:
Na jedném miejscu bułanego zatnie,
Na jedném miejscu o kamień zawadzi;
Gdy wraca prożen w południowéj chwili,
Z jednego miejsca przygląda się miastu,
W jednéj gospodzie szklanicę wychyli, —
To był obyczaj już od lat trzynastu.
A gdy wychodzi i ociera wargi
Z szumiącéj piany piwnéj albo miodnéj,
Znaczy, że w zamku niema księdza Skargi,
I że Szeliga cały dzień swobodny.

VII.

A iż czas ludzi najlepiéj odsłania,
I łacno poznać gdzie poczciwe lice,
Tedy wzajemny węzeł miłowania
Kojarzył Skargę i jego woźnicę.
Szeliga biedak — tym kluczem najprościéj
Serce się Skargi otwarło Szelidze;
Sterał swe lata w wojennéj fatydze —
Toć drugie prawo do jego miłości.

Jak na woźnicę miał talent nielada:
Konia nie chłoszcze, z przeklęctwem nie fuknie,
Trzy razy tylko o kamień gdzieś stuknie,
W porę zamilczy, w porę coś zagada.
Dla świętych dumań mając cześć i względy,
Nigdy się pierwszy ozwać nie odważył;
Lecz zmiarkowawszy, że ksiądzby pogwarzył,
Ochoczém sercem stanie do gawędy.
Wiedział co mówić i do jakich osób,
Więc Skarga ucho dawał mu ochocze.
O czém gadali i w jaki to sposób?
Oto wam próbkę rozmowy przytoczę.

VIII.

— „Mróz, miły bracie! czy waści nie chłodno?“
— „Ręce pokrzepły, miłościwy księże!
„Choć mam opończę ciepłą i wygodną,
„Chłód i przez szubę do kości dosięże.
„Krew już nie grzeje, to i cóż za dziwy?
„Starość nie radość, księże miłościwy!
„Śmierć w oczy patrzy!“
— „Niepotrzebna trwoga:
„Bliżéj do grobu, to bliżéj do Boga!“—
Odpowie Skarga: — zresztą miły bracie,
„Tam w niebie ciepléj.“
— „Cieplej, księże miły,
„Niżby naprzykład ot w téj staréj chacie,
„Co nad jéj okny wiszą lodu bryły,
„Szybki pobite od wczorajszéj burzy,
„A, jak uważam, z pieca się nie kurzy.“

Pokiwał głową i na chatę blizką
Skierował swoje woźnicze biczysko.
—„A któż tu mieszka?" — spytał Skarga
[rzewnie.
—„Wdowa płatnerza... Pomnę ich przed laty:
„Tu miał domowstwo, tu stały warsztaty,
„Dogadzał żonie, jak gdyby królewnie,
„Bo było z czego: w Batorowskie czasy
„Pancerze, hełmy były bardzo w modzie;
„Miał ich w sklepiku ogromne zapasy
„Ku prześwietnego rycerstwa wygodzie.
„A był to z dziadów, z pradziadów zbrojownik,
„U nich rzemiosło szło z ojca na syna;
„Bywało pancerz, czy koński nagłownik,
„Z żelaznéj blachy jak z wosku wygina!
„Późniéj postarzał, oślepnął i ginie:
„Robota rzadsza, a tu człowiek chory,
„Król miłościwy, panujący ninie,
„Już do pancerza nie to, co Batory!
„Zresztą dziś szlachta bogaciéj się stroi:
„Wzdycha do lekkich weneckich pancerzy.
„Już jéj domowéj nie pokazuj zbroi,
„Radaby błyszczeć, jakby święty Jerzy!
„A tu... jak Niemcy do miasta nalazą,
„Jak poczną stawiać nowomodne kramy,
„Sprowadzać szwedzkie z za morza żelazo,—
„Gdzież my prostacy z nimi się zrównamy?
„Holał nieborak od doby do doby,
„I jego mieszek chorzał na suchoty,
„A tu z kramkami wędrujące Szkoty
„Dawaj go leczyć od ocznéj choroby!
„I wyleczyli... po trosze... po trosze,
„Zabrali oczy, i życie, i grosze...

„Została żona — poczciwa starucha,
„I troje dziatwy -- pacholęta jeszcze...
„Patrz Wasza Miłość: ot i w ręce chucha!
„Nędza nie puści kogo porwie w kleszcze!
„A tego roku drogi chleb i mięso,
„I wiązki drzewa za szeląg nie dostać:
„Nie dziw, że wdowy skurczyła się postać,
„Nie dziw, że dzieci od głodu się trzęsą.
„Ojciec kuł ludziom pancerze za młodu,
„Chronił ich piersi od bojowéj kuli,
„A dzisiaj dziatwy ginącéj od chłodu
„Nikt nie ochroni—nikt nie da koszuli!“
Tak stary bajał jednego poranka...
Och! bo i jego był los taki samy!
Machnął biczyskiem i zaciął bułanka,
Stuknął o kamień i wjechał do bramy.
A ojciec Skarga, co zawsze przy sobie
Miał rzymski stylus i tabliczki z wosku,
Co nieszczęśliwym w utrapienia dobie
Z rychłą pomocą śpieszył po ojcowsku, —
Zapisał imię nieszczęśliwéj wdowy,
Pożegnał starca i ruszył swą drogą:
I już nazajutrz pacholik zamkowy
Zaniósł jéj wsparcie — Bógże wie od kogo!
A kiedy pełniąc stare obyczaje,
Krzepił Szeliga w gospodzie swe zdrowie,
Bóg wie dla czego coś mu się wydaje,
Że i miód słodszy, i weseléj w głowie.

IX.

Tak często gęsto, niby nieumyślnie,
Jakieś słóweczko do rozmowy wciśnie;

Wiedział z kim gada i wiedział jak gadać.
Skarga, co ludzi przywyknął spowiadać,
Bywało zręcznie za słówka go chwyta,
Daje woźnicy wygadać się dłużéj,
A z jego bajań zawsze się wynurzy
Jakaś niedola, gdzieś nędza ukryta.
Skarga dochodził po nitce pajęczéj,
Gdzie jaki dłużnik, co go lichwiarz dręczy,
Kogo nękają bezbożni pieniacze,
Lub jakie bole komu serce ranią;
Gdzie biedne dziewczę rozpaczliwie płacze,
Stojąc nad grzechu straszliwą otchłanią;
Gdzie brat ku bratu oddycha niezgodą,
Gdzie z sąsiadami poswarki zawiodą.
A żadna powieść nie była napróżna:
Bo owdzie grosza, tam serca jałmużna
Rzucona zręczną dłonią apostoła,
Rozjaśnia serca, rozpogadza czoła.
Szeliga wszystko wygwarzył otwarcie;
Lecz była hardość w sercu tego dziada:
Kiedy dla innych kołatał o wsparcie,
Nigdy o własnéj nędzy nie zagada!
Bystra źrenica księdza kaznodzieje
Rychło się wpiła w skrytą pierś Litwina, —
Niby nieznacznie pytać go poczyna,
O dom rodzinny, o dawne koleje:
Jak to z Gasztołdem biło się niedźwiedzie?
Co go ze służby pancernéj wywiodło?
Czemu szlacheckie zaniechawszy godło,
Został stajennym? i jak mu się wiedzie?
Czy na swą Litwę wrócić kiedy życzy?
Czy jakich krewnych i przyjaciół niéma?

Z czego żyć będzie, kiedy lejc woźniczy
Już się w zgrzybiałych ręku nie utrzyma?
Gdyby go pytał głosem jałmużnika,
W politowania smutnego sposobie,
Pewnieby Litwin zaciął się sam w sobie,
Bo on dla żalów piersi nie odmyka,
Cierpi gdy nędzę wyspowiadać musi,
Chlebem jałmużny pewnie się zakrztusi;
Ale badany z nienacka a zdatnie,
Niby gawędząc o deszczu i suszy,
Stary Szeliga wpadł w księdzowskie matnie,
Wysączył przed nim każdą kroplę duszy.
I kapłan przeznał Litwina odludka
Od pacholęcia, od pieluch bez mała;
Powieść to była i prosta i krótka,
A jednak Skardze łezkę wywołała.

X.

Ojciec Szeligi był szlachcic ubogi,
Mieszkał pod Wilnem na Litwie głębokiéj;
Miał włokę gruntu i lasu trzy włoki,
Orał, polował i rąbał się z wrogi.
A jak wiadomo, w Jagiellońskie lata
Mniéj było szlachty na żołdzie magnata;
Czy sejm, czy sejmik, czy rycerskie koło,
Szlachta chowała zbożne obyczaje,
I częściéj panom stawi harde czoło,
Niźli im swoje sumienie przedaje.
Bywało wtedy u szlachty i braciéj
Ubożéj w domach, lecz w sercach bogaciéj.
Swoboda była nie słowem lecz faktem,
Bo jéj umiano strzedz nie po pijanu.

Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,
To jeno groszem opłacał się panu;
Wypłacał czynsze po niedrogiéj cenie
Na święty Marcin lub na święty Jerzy;
Lecz miał swobodne ramię i sumienie,
Bo to oboje do kraju należy.
Rzadko kto służył w nadwornéj chorągwi
U kasztelana albo wojewody;
Doma sycono i piwa, i miody,
Nie zaglądając do magnackiéj stągwi.
Ojciec Szeligi ręką pracowitą
Karczował lasy i zasiewał żyto;
Miał swoje stada i po lasach barcie,
Miał pobożności i cnót w sercu wiele;
Pościł w sobotę, chmielił się w niedzielę
I świętą prawdę ciął ludziom otwarcie.
Łacińskich nauk nie zaszczepiał w synie,
Bo tylko *Credo*[1] umiał po łacinie;
Lecz za to grzmotnąć niedźwiedzia z półhaka,
Lub kosić trawę na zielonéj błoni,
Karczować pole lub dosiadać koni
Dzielnie wyuczył swego jedynaka.
A kiedy wojna nadeszła z Wołoszą,
To na nią syna wyprawił sowito,
Kazał stać murem za Rzeczpospolitą,
Miecz mu do boku przypasał z rozkoszą, —
I dusza ojca była wielce rada,
Że stary pancerz k'piersiom mu przypada.
Złożon do boju nasz młody Szeliga
Z radością oręż rodzicielski dźwiga.

Z pod Obertyna, gdzie zwijał się żwawo,
Powrócił zdrowy i okryty sławą;

1. Wyznanie wiary

Ale krom sławy nic więcéj nie dopnie,
Bo łupów nie brał, na zyski nie patrzy;
Hetman rozdawał zaszczyty i stopnie,
Ale tam rękę przeciągał bogatszy,
A za bogatszym, jak obyczaj każe,
Byli rotmistrze i regimentarze.
O tamtych czynach dobrą pamięć chowa
I król, i hetman, i karta dziejowa.
A jego pracom któż uczynił zadość?
Własne sumienie i ojcowska radość.
Dosyć mu było: zwycięzca Wołoszy
Znów orze ziemię i niedźwiedzie płoszy;
A gdy pan Gasztołd wyprawił obławę,
Tak zręcznie dzika na oszczep przebodzie,
Że przypadł k'sercu panu wojewodzie
I już porzucił gospodarską sprawę.
Sądząc, że czegoś dosłuży się może,
Został myśliwym w gieranońskim dworze.
Ojciec był nierad téj jego dworszczyźnie:
—„Lepiéjbyś poszedł Wołochom w niewolę!
„Na jasnych dworach chcesz dopędzać dolę,
„A tu się dola wioskowa wyśliźnie.
„Czy ci niemiła domowa zagroda?
„Czy mało chleba? czy może zła woda?
„Czy tu złe knieje? czy tu złe nadzieje?
„Nad twoją strzechą słomianą i starą
„Patrz, jak się niebo dobrotliwie śmieje?
„Mierzyć ci hojną obiecuje miarą!
„A tam na dworach, dokąd chętka wzywa,
„Zyski niepewne, strata niewątpliwa:
„Bo strata czasu na służebnym chlebie,
„Dla Boga, kraju, dla samego siebie.

„Tam twoja wola nietwoją się stanie;
„Tam zaprzedałeś twój sen i czuwanie;
„Tam każde słowo musisz mieć na wodzy.
„Wiesz, jak bogatym hołdują ubodzy?
„Służąc w ich barwie, nie dopuszczaj Boże,
„Nawet myśl twoja zaprzedać się może!
„Boś ty najemnik, i Bóg wie za kogo
„Nieść twoją głowę rozkazać ci mogą!
„Nie jedź, mój synu! lub jeśli ci mile,
„Idź w dworską służbę — ja nie błogosławię,
„Bo wiem, że do nas powrócisz za chwilę,
„Może powołan ku godniejszéj sprawie!“

Nie błogosławił — a młody Szeliga
Jechał do dworu i już barwę dźwiga,
Hasa po kniejach, jak dojeżdżacz lichy...
Poszedł swą drogą, bo w Niebiesiech pono
Nad głową szlachty, za grzechy jéj pychy,
Już służebnictwa klątwę wyrzeczono!

Ojciec umierał i przyzywał syna;
Syn nie mógł przybyć po błogosławieństwo,
Bo była zręczność popisu jedyna,
Obława sławna! Całe Wielkie Księztwo,
Wszystko co żyje, na wyścigi bieży
Polować z królem do puszcz Białowieży.
Sądził Szeliga w zamniemaniu płonném,
Że król, gdy zręczność łowiecką obaczy,
Weźmie go k'sobie i mianować raczy
Łowczym nadwornym, a potém koronnym;
A wtedy żywot rozpocznie szczęśliwszy
I pana ojca przekona, co umie...

Lecz król młodzieńca ani widział w tłumie,
A ojciec umarł, nie błogosławiwszy.

Odtąd dworszczyzny burzliwym odmętem
Płynął Szeliga, przykuty do łodzi.
Już ani pytaj, jak mu się powodzi,
Bo krzyż ojcowski swym promieniem świętym
Już się nad głową jego nie migota,
Dróg nie oświeca błędnego żywota...
Przez nieuwagę popsował raz sieci,
Że wilk ścigany z ostępu wyskoczy:
Pan się rozgniewał, i groźno zaleci
Aby mu więcéj nie stawał na oczy.

Wypchnięty z dworu, nie postał już doma,
Bo się płochości sam przed sobą sroma.
Obliczył grosze — kwota ich zbyt mała;
Ubiegłe lata obrzucił oczyma —
Większa połowa marnie się sterała;
Obliczył zdrowie — to jeszcze się trzyma.
Więc daléj na świat poszedł zbierać plony
Po inszych dworach Litwy i Korony.

W dworach Kierzgajłów, Kiszków, Chlebowiczy,
Terał swe zdrowie, wodząc pańskie psiarnie.
Chciał doznać w życiu rodzinnych słodyczy,
Pojął małżonkę — wnet nędza ogarnie.
A kiedy insi zbierali wawrzyny
Z królem Batorym na inflanckiéj wojnie,
On na niedźwiedzia ostrzył rohatyny,
Lub w pańskich waśniach walczył niedostojnie.
Gniotła go nędza, więc byle zapłacą,
Nadstawiał ramię, Bóg wie gdzie i za co!

Wziął ranę w czoło — nie gdzieś przy fortecy,
Lecz służąc świadkiem u sądowych kratek;
Niedźwiedź na łowach szarpnął go przez plecy
I wyrwał zdrowia krzepkiego ostatek.
A więc w Krakowie we szpitalu leży,
Żona bez chleba — on sam bez odzieży;
A syn, którego Niebo mu przysłało,
Rosnął bez nauk, jak istota podła,
Nie mógł ojcowską pocieszyć się chwałą,
Coby go kiedyś między ludzi wwiodła.
Cierpiał Szeliga — lecz się nie użala,
Bo nad swą strzechę wolał zamki cudze, —
Po tyloletniéj po dworach usłudze
Czuł, że sam winien, idąc do szpitala.

Szczęściem, Bobola, wielki podkomorzy,
Człek miłosierny, polubieniec króla,
Zwiedzając domy, gdzie jęczeli chorzy,
Nad jego losem rzewnie się rozczula.
Niepiśmiennemu, jak strzelec zwyczajnie,
Co nie miał zdrowia, co już był niemłody,
Jakież się mogły nastręczać zawody?
Wzięto Szeligę do królewskiéj stajnie.
Zapłakał z razu, mając barwę nosić;
Lecz gwoli żony i dziecka potrzebie
Zaparł się herbu i samego siebie, —
I tak niedoli doświadczył już dosyć.
Nowy chleb jego — zwyczajnie woźniczy,
Choć to u króla, lecz zawsze sromota,
Wśród upokorzeń, wśród ciągłych goryczy,
Boleść na sercu, chociaż barwa złota.
Ale ta świetność i hańba rzemiosła

Przez lat trzynaście do serca już wrosła.
Tylko gdy Skarga k'wyznaniu zachęca
I trącił serca bolejącą strunę,
Szeliga ryknął płaczem potępieńca:
— „Czyż ja tu kości do grobu osunę?
„Jaż, niegdyś szlachcic!.. czyż mi Bóg przeznacza
„Włożyć do trumny mój bicz poganiacza?
„Och! gdyby nieco grosza ku potrzebie,
„Znówby woźnica wskrzesnął na szlachcica,
„Szedłbym na Litwę o żebranym chlebie,
„Tambym przebłagał mogiłę rodzica,
„Wykupił dworek, com stracił z méj winy,
„I zakopany w ustroniu dalekiém,
„Kształciłbym syna pomiędzy Litwiny,
„I tambym umarł niezależnym człekiem.
„Dajcie mi, księże, lekarstwo na ranę!
„Zedrzyjcie ze mnie złocistą sukmanę!
„Gdy znosić nędzę—niech tam znoszę nędzę!
„Niechaj odżyję przed zawarciem powiek!
„Z pługiem rolniczym i w szaréj siermiędze,
„Karczując grunta, przypomnę, żem człowiek!"

XI.

Takiemi słowy dzieje swojéj zguby
Gwarzy Szeliga, jadąc z Częstochowy,
Kędy składano uroczyste śluby
Za powrot króla szczęśliwy i zdrowy.
Bo powróciwszy ze szwedzkiéj stolicy,
Przetrwawszy morskie i wojenne burze,
Zygmunt uczynił ślub Bogarodzicy

Uczcić jéj święty tron na Jasnéj Górze.
Skarga, towarzysz nierozdzielny króla,
Jeździł go przywieść przed Pańskie ołtarze,
I rzewną mową słuchaczów rozczula,
Oddając wota, jak ślub święty każe.

Wzruszon woźnicy powieścią rzewliwą,
W głębi swéj duszy rozmyślał człek boży:
Trzeba z pomocą pokwapić się żywo;
Ale podarek starca upokorzy.
Tu niestosownie jałmużna się poda,
Kędy za pracę należy nagroda.
W Polsce są grosze na takie potrzeby,
Dla sił steranych jest opieka prawa;
A po starostwach zasłużone chleby
Król szczodrobliwie swéj szlachcie rozdawa.
Wprawdzie, na przekór zasłużeńszéj braci,
Biorą starostwa młodzieńcy—magnaci,
Ale z nich słusznie należy coś starszym:
Szeliga walczył w swoje młode lata,
Potém wiek terał przy dworze monarszym,
Niechże spokojnie życia dokołata.
Przecięż starostwa niemożna dlań prosić...
Lecz niechaj z głodu nie giną biedacy,
A kilka groszy dożywotniéj płacy
Będzie mu dosyć—i aż nadto dosyć.
Zapomożony, a wdzięczen królowi,
Niech rzuci służbę, gdzie nędza uciska,
Niechaj na Litwie dom przodków odnowi,
Niech utraconą dostojność odzyska.
Tu sprawiedliwość z miłosierdziem w parze—
Trzeba dopomódz, bo sumienie każe.

Tak pomyślawszy, w upatrzonéj chwili
Skarga odważnie stawił się przed tronem,
I serce króla tak rzewnie rozkwili,
Że pożądanym ucieszył się plonem.
Król zdzierżał słowo, bo nazajutrz rano
Już mieli mandat bocheńscy żupnicy,
Aby Szelidze, dworskiemu woźnicy,
Dwadzieścia groszy w tydzień wypłacano.
Ów dar Szeliga przyjął najszczęśliwszy,
I nic dziwnego, bo kwota nielada,
Bo na dzisiejszą wartość policzywszy,
Toć trzysta złotych do roku wypada!

A choć się Skarga nie przyznał otwarcie,
Że on wyprosił pożądane wsparcie,
Jednak Szeliga wpadł na domysł skory,
Komu był winien swe dworskie fawory.
Nie szedł dziękować, bo do swego czynu,
Wiedział, że Skarga nie przyzna się za nic;
Ale swą wdzięczność bez końca, bez granic
Przekazał żonie i zaszczepił w synu.
I wszyscy troje następnéj niedzieli,
Wiedząc, zkąd przyszła niebieska opieka,
Szli do spowiedzi i krzyżem leżeli,
Modląc się z płaczem za dobrego człeka.
A gdy Szelidze łzy pobożne biegą,
Jednym był tylko skrupułem dotknięty,
Że to grzech może modlić się za niego,
Bo ojciec Skarga już za życia święty.

XII.

A z barwy dworskiéj gdy się raz wyłuszczy,
Gdy ze służalca przekształcił się w człeka,

Poszedł Szeliga, gdzie Litwa daleka,
Gdzie dworek ojców pustoszał na puszczy.
Niełatwe tutaj czekały nań sprawy,
Lecz go wzmacniały szlachetne pochopy;
Grunta rodzinne wykupił z zastawy,
Sam zwalił w lesie bierwion cztery kopy,
Zwiózł je do domu, a coraz to żwawszy,
Sam ociosywał kłody ku budowie,
A dobrych ludzi na pomoc przyzwawszy,
Począł odnawiać ojczyste pustkowie.
Jak kiedy bocian z wędrówki powraca,
Ledwie powitał olszynę rodzimą,
Zaraz go czeka i nielekka praca,
Naprawić gniazdo uszkodzone zimą:
Tak i Szeliga, dworów wychowanek,
Razem z bocianem krzątać się nie leni;
A nim ztąd bocian odleciał w jesieni,
Dworek Szeligi już stanął, jak wianek.
Pod ciemnym lasem, z wysokiego wzgórka
Domek podnosił swe łamane szczyty,
Ciosany z jodły a słomą poszyty,
Otoczon gęstym parkanem podwórka.
Z polnych kamieni, naprzeciw mieszkania,
Zmurował lamus z dwóch piąter, jak wieżę;
Chorągiew z herbem jego dachu strzeże,
A kilka brzozek cudnie go osłania.
Zdobiły chatę: ogródek wzorzysty,
Przyzba, i ganek, i kominy z cegły,
A stara jabłoń i klon gałęzisty
Sowitym cieniem pół dworku zaległy.
Wjazd stanowiły staroświeckie wrota,
O dwojgu słupach z fórtką i przełazem,

Z dachem ze słomy, okute żelazem,—
Zajechać do nich aż brała ochota.
Bo dziwna sztuka u litewskich cieśli,
Że nasza brama zawżdy gościa złowi;
Kogo bogowie pod wrota przynieśli,
Już jak magnesem ciągną ku dworkowi.
Wiejskiego cieśli zaklęta siekiera
Takim je wdzięcznym uśmiechem ubiera,
Myśl gospodarza tak wyżłabia zdradnie,
Że brama, krzepko na rygle zabita,
Ledwie podjeżdżasz—sama się rozpadnie,
Radosnym skrzypem przybyłego wita.
Zkąd takie cuda? czy to z duszy szczeréj,
Co rada gościom przychylić niebiosa?
Lub czarodziejstwo ciesielskiéj siekiery
Jakieś nad bramą zaklęcie wyciosa?
Trudno odgadnąć—to tylko wiadomo,
Że w jednéj Litwie stawią takie wrota,
Z czubiastym daszkiem, uplecionym słomą,
Na którym świeci uśmiech i szczerota,
Co w dzień i w nocy, wśród lata i zimy,
Zdają się mówić: „Serdecznie prosimy!“

XIII.

Szeliga, wrócon do swojego świata,
Uprzejmém sercem z sąsiady się brata;
Jako myśliwy i rolnik z rzemiosła,
Oszczepu z sochą pilnował naprzemian,
Spraszał do siebie miłościwych ziemian,
A gęsta trawa nigdy nie wyrosła

Pod jego wroty. Jak ziemianin prawy,
Miłe z sąsiady prowadził zabawy.
W wonnym ogródku, pod ciemnemi klony
Zasiadał z gośćmi na dębowéj kłodzie,
I miód pienisty, w sklepie ochłodzony,
Lał w sporą czarę; szły żarty przy miodzie,
A czasem rzewne i poważne słowa,
Albo piosenka jakaś obozowa,
Śmieszna, choć czasem niezbyt świątobliwa,
Jak stary nałóg z ust mu się wyrywa.
Takich piosenek nauczył się sporo
Przez swe żołnierskie i dworskie tułactwa;
Lecz myśli święte zawżdy górę biorą:
Był sodalisem Jezuitów bractwa,
Zwykle w niedzielę lub w dniu jakim świętym
Nosił baldachim po nad Sakramentem,
Sługiwał do mszy, wiódł księdza pod rękę,
Niósł na *Asperges* kropielnicę z wodą,
A Matce Bożéj śpiewając piosenkę,
Ora pro nobis! grzmiał piersią tak młodą,
Że trudno zgadnąć, czy to człek ten samy,
Co w barwie dworskiéj z chmurnemi oczyma,
Powożąc Skargę, u zamkowéj bramy
Ledwie bywało lejc w ręku utrzyma.
Bo to powietrze rodowitéj kniei
Wzmocniło piersi, jak zbawczą oliwą,
A myśl otuchy i lepszéj nadziei
Otarła z czoła zmarszczkę kłopotliwą.
Wąs długi, siwy, co na piersi spada,
Wzniósł się do góry junacko a młodo;
Błękitne oczy iskrzą się pogodą,
Czerstwe policzki kraśnieją u dziada.

Każdego roku jeździł do Warszawy
Odebrać grosze, co miał z łaski króla;
A błogosławiąc kęs chleba łaskawy,
Ubogich wspiera, sieroty przytula.
Swojego rodu zapewniając dolę,
Wykształcał syna w jezuickiéj szkole;
A resztę chleba, co urodzi niwa,
Z dobrymi ludźmi wesoło spożywa.
A kiedy czasem zawieja, czy słota,
I nikt nie przyjdzie osłodzić mu życie,
On tęskném okiem spoglądał na wrota,
Jakby ich błagał o gości przybycie.

XIV.

Tak żyjąc z ludźmi, albo czyniąc modły,
Starzec lat kilka doma gospodarzył,
Kiedy mu gościa Niebiosa przywiodły,
O którym nawet i we śnie nie marzył.
Był to ksiądz Skarga, dla zakonnéj sprawy
Jadący tędy do Wilna z Warszawy.
Przypomniał sobie woźnicę Litwina,
Rozpytał o nim u ludzi w podróży,
I — co dobremu sercu nie nowina,—
Przyszedł obaczyć, jak mu szczęście płuży.
Wesołém hasłem w szlacheckiéj chudobie
Skrzypnęły wrota, kiedy je otworzy.
Szeliga szczęśliw, nie wierzył sam sobie,
Że jego chatę nawiedza mąż boży.

XV.

Wyrocznia króla a Polski ozdoba,
Filar potężnéj Jezuitów rzeszy,

Skarga serdecznie z Szeligą się cieszy,
W szlacheckim dworku snadź wielce podoba.
Świętyż był wieczór i pełen radości,
Z dawnym woźnicą co przepędził społem!
A gdy wieczerzać siadł za jego stołem,
Niech mu kasztelan krakowski zazdrości!
Bo się senator żaden nie poszczyci,
Że kiedy Skargę przyjmował w gościnie,
By święte usta umoczył w węgrzynie,
Choć go prosili męże znakomici.
A tu bez prośby, bez żadnéj odmowy,
Przy plastrze miodu i przy misie mleka,
Nie upokorzył biednego człowieka,
Wypił z nim miodu puharek cynowy.
A po wieczerzy, kiedy się krzątano
Zasłać mu łoże jak najmiękcéj zda się,
Pod siwą głowę on sam posłał dla się
Ostre i twarde z błot litewskich siano.
Wszystkich domowych pobłogosławiwszy,
Klęknął gdzie zimna ceglana podłoga,
W gorących modłach błogosławił Boga,
Że dzisiaj zesłał dzień mu najszczęśliwszy.
Za ciernie życia, co musim przenosić,
Za ból codzienny, co nam serce targa,
Jednéj nagrody byłoby już dosyć:
Przyśnić sen taki, jak miał ojciec Skarga.
Bo okiem duszy musiał widzieć żywo
Bóztwo promienne, a ludzkość szczęśliwą,
A najszczęśliwszy—to stary Szeliga;
A on sam klęczy pod Niebiosów progiem,
Prawicą w piersi bije się przed Bogiem,
Lewicą ludzi z padołu podźwiga...

Takie sny święte, wolne od zakały,
Nad głową Skargi ulatać musiały.

XVI.

Nazajutrz, ledwie do świtu się bierze,
Już ojciec Skarga z brewiarzem w dłoni
Klęczy pod cieniem klonu i jabłoni
I cichym głosem odmawia pacierze.
Godzi się wierzyć, że niebo poruszy
Ten jego pacierz pokorny a święty,
Bo człowiek boży, mąż potężnéj duszy,
Nietylko własném zbawieniem zajęty.
Tam burza miota Chrystusa kościołem,
Tam jego zakon szkalują potwarce,
Król z senatorskiém i rycerskiém kołem
W ciągłéj niezgodzie, w ustawnéj poswarce.
Jest nad czém płakać, jest modlić się o co!
Skarga pojmuje, czego Polsce trzeba:
Modli się rzewnie, aby Pan Bóg z nieba
Ku kościołowi pośpieszył z pomocą,
Ażeby króla uzbroił wytrwaniem,
Stan senatorski dobréj rady tchnieniem,
Rycerską szlachtę zgodném przywiązaniem,
Pobożném sercem i bitném ramieniem;
I Panu Bogu w opiekę oddaje
Ubogich kmieci, którym tu najgorzéj;
Wszystkie koronne i litewskie kraje
Serdecznie stawi przed Majestat boży.
Płyną godziny, a Skarga nie baczy,
W modłach zapomniał swéj ziemskiéj istoty.

Już się przez klonu gałęziste sploty
Słoneczna siatka na trawie majaczy;
Już do obory, chroniąc się gorąca,
Z rosistéj paszy powracają trzody;
Już i Szeliga, strzelec siwobrody,
W leśnym przesmyku ubiwszy zająca,
Wsparty na strzelbę u płotu z daleka,
Na koniec modłów niecierpliwie czeka.

XVII.

Skończone modły. Ksiądz Skarga wychodzi,
Pozdrowił starca przed chatniemi drzwiami.
Szeliga, widząc, że jego dobrodziéj
Już niezajęty modłą ni myślami,
Przystąpił k'niemu, ścisnął za kolana,
Sędziwą głowę nachylił ku ziemi,
I namaszczoną prawicę kapłana
Ze czcią całował usty życzliwemi.
Cały pokraśniał, jakby się zdawało,
Że jakiéj prośby hamuje porywy;
Nareszcie oczy podniosłszy nieśmiało,
Rzecze do niego:

—„Ojcze miłościwy!
„Wiem, komum winien dziękować po Bogu
„Za dobry byt mój, za dzisiejsze życie:
„Wyście biedaka dźwignęli z barłogu,
„Dzisiaj mię w dobrym dostatku baczycie.
„Król miłościwy z waszéj snadź namowy,
„Dośmiertnéj płacy przysłał mi nadanie:

„Więc odkupiłem dworek pradziadowy,
„Mam chleb i zdrowie, las i polowanie;
„Mam przywrócone szlacheckie nazwisko,
„Dobrych sąsiadów i kościoł tak blizko!
„Czegoż chcieć więcéj? Tu od pierwszéj chwili
„Odżyły domu mego fundamenta;
„Wyście mnie pewno pobłogosławili,
„A wasza ręka—już ja wiem, że święta!
„Przez was my tutaj szczęśliwi a zdrowi,
„Więc nie odmówcie jeszcze jednéj cześci:
„Pobłogosławcież mojemu rodowi!
„Mój syn niedawno skończył lat dwadzieści,
„Już odbył szkołę księży Jezuitów,
„Zkąd mu się nieco łaciny przyniosło;
„Doma nie dojdzie wysokich zaszczytów,
„Niech idzie sprawiać rycerskie rzemiosło.
„Już dziś szablicą ręki nie skaleczy,
„A strzela celno, a oszczepem władnie;
„Niechaj tych darów używa przykładnie,
„By kiedyś służyć Pospolitéj-Rzeczy.
„Tutaj na Litwie oświecone książę,
„Krzysztof Radziwiłł, wileński wojwoda,
„Zbiera chorągiew,—bieży szlachta młoda,
„Niech i mój chłopak z drugimi się wiąże.
„Już mu kupiłem karacenę nową,
„Kopię lekką a składną do ręki,
„Rumak szlachecki z domowéj stajenki,
„Lecz pewnéj cnoty—wszystko już gotowo.
„Jutro młodzieniec miał wyjechać w drogę,
„Gdy szczęsne losy was przyprowadziły;
„Więc przeżegnajcie, dajcie mu przestrogę,
„Przyjmijcie spowiedź, dobroczyńco miły!

„A jeśli żądań nie będzie za wiele,
„To jeszcze prośba... dzisiejszego rana
„Pobłogosławcie miecz jego w kościele,
„Połóżcie ręce na czoło młodziana;
„A już ja wierzę w głębi mego ducha,
„Że ztąd mu przyjdzie fortunna otucha.“

XVIII.

Skarga wysłuchał, podumał i rzecze:
—„Człowiek uradza, Bóg wyrok stanowi!
„Zkądże wam przyszło, pobożny człowiecze,
„Oddawać syna księciu Krzysztofowi?
„Wszak to dyssydent! na birżańskim dworze
„Z wiary praojców stroją sobie żarty:
„Młodzian wszystkiego nasłuchać się może,
„I będzie z łona kościoła wydarty.
„Nie wódź tam syna!“
—„Już o tém myślałem,—
Rzecze Szeliga:—lecz młodzieńcze łono,
„Choć silnie kipi rycerskim zapałem,
„Ale i wiarę dobrze mu wpojono.
„Przysiągł na Boga, na Najświętszą Matkę,
„Na swych rodziców, na zbawienie duszy,
„Że się w nowotną nie uwikła siatkę,
„Że wiary ojców nigdy nie naruszy.
„Znam jego serce— i śmiało wam ręczę,
„Że on, co przyrzekł, to dotrzyma szczerze!“
Skarga pomyślał:— „Już wierzę wam, wierzę,
„Nietyle w głowę, co w serce młodzieńcze.
„Lecz mój Szeligo! wszak wiedzieć musicie,

„Że wojewoda wileński, Radziwiłł,
„Dawno do króla jakąś niechęć żywił,
„Może i teraz zamyśla co skrycie.
„A pewno, starcze, widziałbyś to nierad,
„By twój potomek (uchowaj go Chryste!)
„Wystąpił zbrojno, jako konfederat,
„Zabijać braci, drzeć prawa ojczyste,
„A gdy się ciżba swawolna rozhula,
„Za grosz magnacki targnąć się na króla!“
Aż drgnął Szeliga; podumał, zapłakał,
I z cicha jęknął:— „To cóż, że my prości?
„Za cóż, mój ojcze, rzucasz taki zakał
„Na dom doznanéj krajowi wierności?
„Jeżeli chłopca podły grosz spokusi,
„Jeśli sumienie odstąpi wyrodka,
„To o tém przecię zapamiętać musi,
„Że go ojcowskie przekleństwo tu spotka,
„Że chleb, na którym rozwinął swe siły,
„Trochę nauki, co ma ku ozdobie,
„I zdrowie ojca, co stał u mogiły,
„To wszystko winien królowi i tobie—
„Tobie, mój ojcze!.. Ach! czyżem ja po to
„Uczył go imię błogosławić Skargi,
„By mój potomek, okryty sromotą,
„W imię magnata miał z królem zatargi!
„Ty kochasz króla—a my, szlachta stara,
„My się przewrotną nie skazim przemianą.
„Ojcze mój, ojcze! twój król, twoja wiara
„Na wieki wieków naszemi zostaną!“
Skarga rozrzewnion prawicę mu poda
I z dobrotliwym uśmiechem zawoła:

—„Kusisz mię, starcze! O, zgoda już, zgoda!
„Poczciwi ludzie, jedźmy do kościoła!“

XIX.

Jak słowo mówić, gotowa kolaska;
Cug się cisawych rumaków wyściga;
Krakowskie czasy przypomniał Szeliga,
Siedzi na koźle i z biczyska trzaska.
Starego Skargę, ze czcią jak należy,
Młody Szeliga wsadza do kolaski:
Raz pierwszy błyska w rycerskiéj odzieży,
Ma zbroję, pancerz, przyłbicę, przepaski;
Tylko rycerzem zwać się nie ma prawa,
Bo mu przy boku miecza nie dostawa.
Wsiadł na rumaka, co parskał na stronie,
Ze strzałką na łbie, z jedną białą nogą;
Starzec zacmoknął, zaświsnął na konie,
I wóz wyruszył wywijaną drogą;
A za kolaską, gdzie siedzieli starce,
Leciał młodzieniec, wyprawiając harce.
Stary woźnica, jak za dawnéj chwili,
Coś sobie dumał, popuściwszy wodze,
Stuknął trzy razy o kamień na drodze,
I pod kościelną dzwonnicę przybyli.

Pleban już wiedział, jacy goście lecą,
I kazał kościoł oświetlić wspaniale.
Skarga wszedł, klęknął, pomodlił się nieco,
A potém zasiadł w konfessyonale.
Młody Szeliga zabrzęknął wesoło
Strojem żelaznym, z którym tak mu pięknie,

Przyłbiczny wizyr uchylił na czoło
I przed kratkami pokuty uklęknie,
I drobne grzechy młodzieńczego ducha
Spowiednikowi wyszeptał do ucha.

XX.

Grzechów niewiele w młodocianéj duszy,
A spowiedź święta trwa nie jedną chwilę;
Bo tyle przestróg, bo rad było tyle,
Nim w drogę życia szczęśliwie wyruszy!
Starzec i kapłan, dobrze dróg tych świadom,
W młodym wędrowcu dobre chęci budzi,
Aby się pilno przypatrywał śladom
Chrobrych, i mądrych, i cnotliwych ludzi.
A znając Skargę, możem ręczyć śmiele,
Że w téj spowiedzi była treść obfita:
O wierze ojców, o Pańskim kościele,
Król był na placu i Rzeczpospolita.
Czy pięknie mówił? tego nikt nie zgadnie,
Bo rzecz spowiedzi—tajemnica boża...
Spłakany młodzian płoni się, to bladnie,
Gdy od pokuty odchodził podnoża.

XXI.

Kościelny dzwonnik cztery świeczki pali,
Skarga wziął ornat—i wyszła msza święta;
A Szeligowie, jak gdyby chłopięta,
Starzec i młodzian w komże się ubrali,
W ofierze Pańskiéj świadomi posługi,
Jeden do mszału, a do dzwonka drugi.

Stary Szeliga, wnet po *Agnus Dei*,
Uderzył w dzwonek i świeczkę rozżarza,
Zmówił psalm wiary, miłości, nadziei,
Młody Szeliga klęknął u ołtarza;
A ojciec Skarga, jak Opatrzność święta,
Czule przeżegnał głowę penitenta,
A gdy lud wszystek uklęknął przykładnie,
W usta młodziana Chleb Żywota kładnie.

XXII.

Wkrótce ofiara skończyła się krwawa,
A kapłan, święte zrzuciwszy ornaty,
W komży i stule przed ołtarzem stawa,
Skinieniem woła młodzieńca przed kraty.
Młody Szeliga u balasek klęka;
Skarga poświęcił jego miecz stalowy,
A gdy podawał, zadrżała mu ręka,
I tak rzewnemi przemówił doń słowy:
—„Synu! w żołnierstwie najpierwsza otucha,
„Pancerzem wiary gdy umocnisz ducha!
„Siła złych rzeczy jest w sercu człowieczém,
„Z temi walcz naprzód—niech zawżdy ci będzie
„Tarczą modlitwa, sprawiedliwość mieczem,
„To chrześciańskie bojowe narzędzie.
„Na ten rynsztunek silnych bark potrzeba
„I silnéj ręki, i woli nielada;
„Lecz do téj zbroje znijdzie łaska Nieba:
„Najwyższy Hetman—Chrystus ci ją wkłada.
„Wtenczas ci tylko będzie siła dana,
„Co nieprzyjaciół zgromi i popłoszy,

„Jeżeli w sobie zwyciężysz szatana,
„Ducha złéj pomsty, łakomstwa, rozkoszy!
„Nie zbierze łupów, kopie pokruszy
„Ten, kogo szatan obedrze na duszy!
„Nie stań się jako uliczni żołnierze,
„Co jeno straszą bezbronnych żelazem;
„Lecz pod chorągwią i króla rozkazem,
„Idź wojny pańskie odprawować szczerze.
„Zostaw w pokoju, rycerski człowiecze,
„Cichego ziomka, co siedzi w swéj chacie;
„Bóg będzie z wami, gdy gniewy i miecze
„Na nieprzyjaciół koronnych schowacie.
„Sprawuj się doma, jako owca cicha,
„W bitwie jak lwica, co męztwem oddycha!
„Trudny twój zawód! Nim z wrogiem się zetrze,
„Już cię tysiące niewygód otoczy:
„W głodzie, wśród deszczu i na zimnym wietrze,
„We krwi i ranach, ty miéj duch ochoczy.
„A nie śmiéj w duszy ostudzać zapału,
„Nie śmiéj folgować nic twojemu ciału;
„Bo ciało twoje — to jeno mur żywy,
„Którym się grodzą macierzyste niwy.
„Pomnąc, że w tobie twych ojców otucha,
„I miast, i wiosek, i świątyń Jehowy,
„Idź w Imię Ojca, i Syna, i Ducha,
„Spraw się rycersko i powracaj zdrowy!“

XXIII.

Rzewnie spłakani do domu wrócili,
Kędy już skromna czekała biesiada.

Skarga, dziś z postem, parę rybek zjada,
Szklanicę wody źródlanéj wychyli,
I już nasycon składa Bogu dzięki.
Powstał, a wszyscy k'niemu przyskoczyli,
Wszyscy się cisną do kapłańskiéj ręki.
Kapłan każdemu dał uścisk życzliwy,
I błogosławi wszystkich gość dostojny.
Stary Szeliga znowu niespokojny,
Chce o coś prosić.
— „Ojcze miłościwy!
„Nim wasze konie miarkę owsa zjedzą,
„Raczcie poświęcić mój domek ubogi,
„Moją obórkę, moje sienne stogi,
„Moją pasiekę, co leży pod miedzą!“
—„Niech wam Bóg szczęści! — ksiądz Skarga odpo-
Zwracając k'niemu swe spojrzenie czułe:— [wie,
„Powiedzcie jeno memu pachołkowi,
„Niech tu przyniesie i komżę, i stułę.
„Jeśli mię Pan Bóg wybrał za narzędzie,
„Gdy grzesznych modłów wysłucha choć w części,
„Wierzaj mi, starcze, że ci dobrze będzie,
„Że ci się tutaj we wszystkiém poszczęści.
„Za to, żeś dźwignął ojcowskie zwaliska,
„Kapłan cię żegna, przyjaciel uściska.“

XXIV.

Podano komżę, stułę i kropidło,
Skarga się ubrał i modlitwę czyta,
Pokropił domu zamieszkane skrzydło:
—„Niech spokój Pański nad wami zaświta,
„Niech wasze głowy anioł stróż osłania,

„Niech błogosławi i sny, i czuwania!“
Wszedł do komory, gdzie się chowa jadło,
Pokropił wodą i dodał co prędzéj:
— „Bogdaj wam nigdy łaknąć nie wypadło;
„Bogdaj tu było przytulisko nędzy!
„Ty znasz co nędza, Szeligo mój drogi.
„Dzisiaj dostatek widzę, dzięki Bogu;
„Dajże mi słowo, że żaden ubogi
„Nie wyjdzie głodny od twojego progu!“
Szeliga rękę przycisnął do piersi,
Świętą przysięgą jego oko gore.
Wszyscy rzewniejsi i ku bliźnim szczersi
Wyszli ze Skargą poświęcić oborę.
Skarga się żegna i modlitwę czyta,
Pokropił ściany i znowu zawoła:
— „Niech wam Bóg sporzy nabiału do syta:
„Niech tu zaraza nie zawita zgoła.
„Żyjcie szczęśliwi pod bozką opieką,
„A bądźcie czyści i biali, jak mleko.“
Więc poszli daléj, by poświęcić ule.
Kapłan się żegna i modlitwę czyta;
Potém, spojrzawszy na Szeligę czule,
Rzecze: — „Niech korzyść mnoży się obfita,
„Niech się wam zbożne zamiary powiodą,
„Niech sporną pracą uwieńczą się ręce.
„Żyjcie, jak pszczoły, miłością a zgodą,
„Zapłońcie światłem, jak świece jarzęce.
„Niech w duszy waszéj tak cnota się chowa,
„Jak w plastrze miodu patoka miodowa!“
Tak poświęciwszy pola, łąki, płoty,
Wraca do dworku stary Jezuita,
I tu stanąwszy przed nowemi wroty,

Skropił je wodą i modlitwę czyta;
A jego oko promieniem się żarzy,
Iskra zapału migoce na twarzy:
„Wrota!—zawołał—ku szlacheckiéj chacie
„Wy, co radośnie wrota odmykacie,
„Niechaj stróż anioł pilnuje was codzień
„Od złego gościa lub złego sąsiada!
„Niechaj się tędy nie przemyka zdrada;
„Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień.
„Jeśli ktokolwiek z jaką myślą zdradną
„Zechce tu wkroczyć, łaską czy przemocą,
„Niechaj te wrota na głowę mu spadną,
„Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą."

XXV.

To były tylko słowa życzliwości,
Które mąż zacny wypowiedział święcie;
Ale słuchacze wioskowi a prości
Jakieś w nich dziwne widzieli zaklęcie.
Skarga odjechał znów w koronne strony,
Błogosławiący i błogosławiony.
Stary Szeliga rozmyśla w ukryciu
Lub gwarzy o nim z chlubą co niedzieli.
Jego sąsiedzi, co pierwszy raz w życiu
Głośnego Skargę naocznie widzieli,
Długo i szczerze zjawiskiem zajęci,
Rozpowiadali — szlachcic szlachcicowi —
Jego życzliwe dla Szeligi chęci,
Jak on wygląda, co czyni, co mówi,
Jako mu syna błogosławił w drogę,
Święcił domowstwo, dobytek bogaty,

Jakiemi słowy udzielał przestrogę
I jako zaklął wrota jego chaty.
Wszyscy pobożni nieśmiało, z oddali,
Na tajemnicze wrota spoglądali;
Każda litewska bogobojna dusza,
Jeśli do jakich czuje się bezprawi,
Jeśli sumienie jakiś grzech zaprósza,
Już się do dworku Szeligi nie zjawi.

XXVI.

We starym dworku mniéj już było gwarno;
Za to, kto przyszedł — przyjaciel i prawy,
Nikt nabożeństwa, spoczynku, zabawy
Nie zatruł w chacie jakąś zdradą czarną.
Mleka do sytu, a pszczółki się roją,
Łąki do pasa, i krzewi się zboże, —
O! dzięki Skardze, że bytnością swoją
Błogosławieństwo sprowadził tu boże!
Któż jasną radość na Szeligi czole,
Któż jego szczęście wypowiedzieć w stanie,
Gdy często gęsto birżańskie pacholę
Wdzięczne od syna wiezie mu pisanie?
A w każdym liście kipi dusza młoda
Żądzą do bojów, do czynów, do sławy;
W każdym donosi, że książę wojwoda
Zawsze ku niemu dobry i łaskawy;
Że chociaż dumny, oblicza nie cofa,
Lecz swoim drużbą poufale zowie,
(Bo jak z przed wieka jego pradziadowie,
Młody Szeliga miał imię Krzysztofa).

Aniele stróżu! niechże twoje oczy
Na długo starca pilnują i strzegą,
Niech twoich skrzydeł święty cień otoczy
I serce jego, i domowstwo jego!
I łaska Niebios nie była odmienna:
Jednako wszystkie płynęły mu chwile,
Aż przyszła jutrznia zachodu promienna,
Zgrzybiałość, drzemka—i krzyż na mogile;
I jest otucha, że dla jego duszy
Poczciwéj pracy złote gwiazdy świecą...
A jego dworek pochylił się nieco,
Uschły gałęzie na cienistéj gruszy,
Klon począł żółknąć, bo wszystkiemu pora,
Czas wiekuisty na wszystko się targa;
A tylko wrota, które zaklął Skarga,
Stoją tak krzepko, jak ciosane wczora.
Słomiany daszek choć kwitnie zielono,
Choć fórtka nieco ku ziemi osiada,
Lecz wrota krzepkie, sto lat jeszcze pono
Wprowadzać będą dobrego sąsiada.
Niech sobie starcy wśród długiéj gawędy
Ubolewają, że ludzkość zepsuta:
Przecięż poczciwe nie walą się wrota,
Nikt ze złą myślą nie przechodził tędy,
Nikt nie szwankował, ani swój, ni cudzy...
Czyż w cnotę ludzką trzeba wierzyć święcie?
Albo nie wierzyć w księdzowskie zaklęcie,
Że ojciec Skarga tak bajał, jak drudzy?
Co o têm trzymać — czy to, albo owo?
Przyszłość pokaże—dziś daremna praca.
Patrzmy na dalszą stronicę dziejową,
I gdzie się młody Szeliga obraca.

STARE WROTA.

Część druga.

I.

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie!
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!...
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzyć się mgławy,
I nie poczytuj nas za świętokradce,
Nie miéj za winnych synowskiéj obrazy,
Jeśli się z dala przypatrując matce,
Na jéj obliczu odkryjemy skazy.
My dobrze serce naszéj matki znamy:
Ona tam w niebie jedną żądzę żywi,
By jéj synowie byli od niéj saméj
Bardziéj cnotliwi i bardziéj szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co nabroiła, kiedy była młoda.
Niewiele grzechów liczy na swéj głowie, —
Grzech jéj najcięższy miał imię — Swoboda.

Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśl człowiecza, i niebieski ptaszek,
Co nie dla marnych stworzona igraszek,
Co wie, zkąd idzie i dokąd jéj droga,
Pilnując kręgu, jak słońce na niebie,
Ciepło i światło sieje w koło siebie,
I zna to dobrze, że gdyby w zakresie
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.
Córką zniszczenia jest inna swoboda,
Czynem i słowem w karby nieujęta,
Do któréj hasło najpierwszy ten poda,
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
Co aby snadniéj zhołdować lud boży,
Sam się poniży, sam się upokorzy.
Na nim się wesprzesz, jakby na opoce,
A on się śmieje w głębi swego ducha,
On weźmie pierwsze swawoli owoce,
A karę błędu — ten, kto go usłucha.
Tak niegdyś w Polsce miłościwe pany
Mówiły szlachcie: — „Co te nasze prawa?
„Ten król, choć przez nas swobodnie obrany,
„Na naszą wolność nieżyczliw się zdawa.
„Nasze statuta, choć własne pisanie,
„Niedobrze płużą braterskiéj swobodzie:
„Wszakeśmy szlachta—a szlachcic, mospanie,
„Choć na zagrodzie, rówien wojewodzie.
„Hej! kogo losy krajowe obchodzą,
„Do mnie niech śpieszy, co żywiéj a sporzéj!
„Stanę na czele, a pod moją wodzą,
„Król się poniży, prawo upokorzy!

„Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,
„A baczcie we mnie szlachcica i brata:
„Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,
„Przyjmę was chętnie, czém chata bogata!“
A ślepa szlachta, krzycząc w niebogłosy
Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,
Pod sztandarami wojewody stawa
I z jego gwiazdą połącza swe losy,
Z jego zachceniem łączy swoje modły,
Z jego orężem swe szable ochocze, —
Już się za kruszec zaprzedaje podły,
Za stągiew miodu, za gruntu półwłocze.
A do pańskiego rydwanu przykuta,
Już zapomniawszy co wolność prawdziwa,
Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,
Obiera króla i pisze statuta.
Senne rojenia! niedorzeczne chęci!
Pomiędzy kilku władza się rozdziela;
Potężnych domów mnodzy są klienci,
Lecz trudno w kraju o obywatela.

II.

Krzysztof Szeliga na birżańskim dworze
Urastał w łaskach książęcia Krzysztofa.
Postać miał dziarską, a spojrzenie hoże,
Dłoń, co się nigdy przed szablą nie cofa,
Umysł przytomny, a poczciwe serce, —
Czemuż tych darów na lepsze nie użył?
Gdyby krajowi poświęcił w żołnierce,
Jakby się pięknie wsławił i zasłużył!

Jeszcze za życia Zygmunta Trzeciego,
Zamek birżański gdy oblegli Szwedzi,
Młody Szeliga wraz z drugim kolegą,
Zebrawszy ciżbę zamkowéj gawiedzi,
Sprawił wycieczkę i śmiałym obrotem
Niemałą klęskę napastnikom zadał;
A kiedy Birże poddały się potém,
On w różnych miejscach na Szwedów napadał.
Obok książęcia na bitwach niósł zdrowie,
I z chrobrém sercem do rozprawy staje;
Nadstawiał piersi, aby się wrogowie
W głębsze litewskie nie przedarli kraje.
Był to niedługi zawód wojowniczy,
Co w lat dwadzieścia znowu się ożywił:
Bo gdy po przodkach Birże odziedziczy
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
Szeliga, zawsze Radziwiłłom wierny,
Podzielał księcia wyprawy bojowe,
Pod Beresteczkiem wiódł hufiec pancerny
I Kozaczyznę poraził na głowę.
Już czoło jego siwizną się prószy
Ozdobne w laury ojczystéj zasługi;
Lecz z owych laurów żartował w swéj duszy,
Bo on krajowi nie służył, jak drugi,
Jeno zdobywał łaskę u magnata,
Co chciał krajowi dowodzić przemocą;
Poszedłby, zda się, i na koniec świata,
Biłby się zawżdy, nie pytając o co;
I przy tureckim stanąłby sztandarze,
Jeżeli książę koniuszy rozkaże.

Na świetnym dworze księcia Bogusława
Nie było mowy o Rzeczpospolitéj:
Szlachta—narzędzie pańskiéj myśli skrytéj,
Gdzie jeno skinie, wszędy hurmem stawa,
Ani pytając tego, co na przedzie,
Czy dobrze wiedzie i dokąd zawiedzie?
Na zjazdach szlachty, Szeliga niebacznie,
Kierowan ręką, z któréj pragnął złota,
Rokosze w wojsku poszeptywać zacznie,
I na powagę królewską się miota,
I z owym mieczem, co poświęcił Skarga,
Na pomazańca Pańskiego się targa.
Skarga już nie żył, i ojciec już nie żył,
Otworem stały do swawoli drogi,
Nikt go nie ujął słowami przestrogi,
Nikt pogardliwém okiem go nie zmierzył.
A łaska pańska ku niemu się wdzięczy,
A przepych dworski tak nęci z daleka,
Że, oplątany jak w siatce pajęczéj,
Z rozkoszą własnéj woli się wyrzeka.
I nie pojmował, jak szlachta wśród wioski
Może brać sochę lub siekierę w ręce,
Mieć inną barwę krom Radziwiłłowskiéj,
Mieć inne myśli, niż myśli książęce.

III.

Tak go zajęły te względy łaskawe,
Ża ani spojrzał na rodzinne ściany;
Ojcowski dworek wypuścił w dzierżawę,
A czynsze z niego—przegrywał z dworzany.

Domek, co niegdyś ojcowska siekiera
Wyciosywała ze skrzętnym mozołem,
Dziś drewnianemi szczudły się podpiera,
Jak stary żebrak, jak dziad pod kościołem.
Słomiana strzecha pokryła się cała
Mchy zielonemi i plamy czarnemi;
W oknach gdzie niegdzie szyba pozostała,
Ganek i przyzba osiadły ku ziemi.
Gruszę cienistą wycięto z przed chaty,
W ogródku chwasty wyrosły krzewiście,
A klon uwiędły, zeschły, rosochaty,
Ledwie niemnogie i żółte miał liście.
Pszczółki rzuciły opróchniałe barcie,
Gęste pokrzywy wyrosły u płota.
Stare, poczciwe i zaklęte wrota
Zdają się prosić o lepsze podparcie.
A między ludźmi jeszcze jest podanie,
Jak ojciec Skarga poświęcał je nowo,
I swe zaklęcie jak położył na nie,
Aby runęły nad zdradziecką głową.
Lecz dzięki Bogu wrota nie runęły,
Choć niepodparty słup ledwie się trzyma:
Na Staréj Litwie, w dziedzinie Jagiełły,
Są grzeszni ludzie, ale zdrajców niéma.

IV.

Wieczność nad światem krąży nieprzerwanie,
Zmienia się oracz, chociaż jedna niwa;
A na cmentarzach, na kościelnéj ścianie,
Coraz to nowy nagrobek przybywa, —

I jeśli zważysz—w téjże saméj chwili
W nowéj kolebce nowy gość zakwili.
Przyszłość z przeszłości wyradza się staréj
Tak pomalutku, tak niepostrzeżenie,
Jak drobnéj brzozy lub dębu nasienie
Wyrasta listkiem, wystrzela w konary,
I jak najstarsi ludzie nie przypomną,
Latorośl marna, uboga, maleńka,
Już dzisiaj wiechą wieńczy się ogromną,
Jéj pień starzeje, olbrzymieje, pęka,
Sieje dokoła krzewiste nasiona,
A żółte próchno wysypuje z łona.

W każdym niebieskiéj jutrzenki rozświcie
Kończy się życie i poczyna życie:
Kwiat stugodzinny, i człowiek stuletni,
I historyczna tysiąców lat era,
Czy słońce świeci posępniéj, czy świetniéj,
Za każdą chwilą rodzi się—umiera.
Nie dojrzy żaden dar jasnowidzenia,
Jako świat boży oblicze przemienia,
Jak rozwinięty w swych prawach swobodnie,
W jednéj godzinie starzeje i młodnie.

V.

Niepostrzeżonym, nieznacznym obrotem
Przeszło nad Polską pół wieku z okładem.
Zmarł Zygmunt Trzeci, a w dziesięć lat potém
Władysław poszedł za ojcowskim śladem;
Korona Polska, jak wieńce cierniowe,
Przygniotła Jana Kazimierza głowę.

Jak w losach człeka, tak w losach narodu,
Pan Bóg dopuszcza chwile ciężkiéj doli,
Czy to za grzechy brojone za młodu,
Czy w dowód łaski, czy nauce gwoli.
Ojciec niebieski w gniewie, czy w rozwadze,
Różdżkę swéj chłosty podnosi na dzieci,
Całe narody da klęskom pod władzę,
A chmura nieszczęść jak z wiatrem naleci.
Uderza w gromach piorun po piorunie,
Wszystko druzgoce, obala i pali;
Gdy jeden obłok zdaje się przesunie,
Patrzcie! horyzont już czernieje daléj,
A w nowych kłębach czarnego chmurzyska
Nowy grom huczy, nowy piorun błyska,
I nowy wicher zadyma z pod chmury—
Łamać, obalać, co zostało jeszcze...
Ojcze ludzkości! Strażniku natury!
Kiedyż te znaki ustaną złowieszcze?
Kiedyż się skończy burza, klęsk niesyta?
Kiedyż się skończy to serc naszych drżenie?
Kiedyż poranek radosny zaświta,
I błysną jutrzni różowéj promienie?
Och! czas już światu poweseleć od niéj!
Czas sercom ludzkim uderzyć swobodniéj!

VI.

W doli narodów, nim burza Jehowy
O ściany kraju uderzy w zapędzie,
Bóg najprzód miesza stary ład domowy,
Żywioły bytu porozprzęga wszędzie,

Ześle bezsilną niemoc na sternika,
Oczy czeladzi ślepotą zaciemni;
Ginie porządek, święta zgoda znika,
Stają się wszyscy wrogowie wzajemni.
A gdy się waśnią, gdy wstecz idzie praca,
Gdy fundamenta podkopali sami,
Uderza piorun i ściany wywraca,
I już społeczność jęczy pod gruzami.
I swe bolesne opatrując rany,
Każdy na drugich gdy swe winy zwala,
Grom, który został na pomstę przysłany,
Z niebacznéj ciżby śmieje się z oddala;
Wicher, co bije w nieszczęśliwe zgliszcze,
Z urągowiskiem po ruderach świszcze.

VII.

Tak w owe czasy, nim w Polskę strzeliły
Cztery pioruny ze czterech stron świata,
Pan porozdwajał, pogmatwał jéj siły,
Z gościńca przodków odbieżał Sarmata.
Bezrząd na wszystkiém swoją pieczęć kładzie,
Nosi jéj cechę już Rzeczpospolita,
A niegdyś baczny na wszystko Lechita
Stał się porządnym—jedynie w bezładzie.
Panowie radni oblegają króla
I za starostwa sprzedają swe wota;
Szlachta na sejmie po gospodach hula,
Pijaném słowem na wszystko się miota,
Rzuca na króla i na senat zakał,
Każdą myśl jego zabija w jutrzence.

Och! często, często boleśnie zapłakał,
Często załamał Jan Kazimierz ręce,
I tęskne myśli posyłał za morze,
Gdzie tron ojcowski posiadł mu kto inny,
Gdzie lud monarchom posłuszny, powinny,
Gdzie król poddanych uszczęśliwiać może.
A tutaj... tutaj gdzież jest tronu władza?
Naród do szczęścia sam sobie przeszkadza.
Tu groźna północ od Szwedów i Rusi
Dwiema chmurami z daleka się sroży;
Tutaj Chmielnicki, prawdziwy bicz boży,
Kraj naddnieprowy oderwać się kusi,
Krwią lacką spluskał ukraińskie stepy,
A nie ma środków postawić mu czoła.
Sejm tylko jeden uczynić to zdoła,
Ale sejm polski, gwarliwy a ślepy,
Gdzie dola kraju, gdzie obrona dziatek,
On się targuje z królem o podatek.
Jęczą na nędzę i szlachta, i pany,
Jednak tym jękom trudno dawać wiary,
Bo dzisiaj w ziemi, kopając kurhany,
Mnogie znajdujem grosze i talary,
Na których stemplem ówczesnych myncarzy
Odbite rysy Kazimierza twarzy.
Snadź w owe czasy chciwość, czy obawa,
Kryły przed sejmem, że grosza jest dosyć,
I trudno było o szeląg uprosić
W imieniu kraju lub w imieniu prawa.
Senator chowa swe grosze do skrzyni,
Mnich się bogaci, panoszy bez granic,
Szlachcic o zbytki dwór królewski wini,
A na pobory nie zgadza się za nic.

Każdy od nędzy rzekomo się garbi,
W liczbie podatku niedoboru kreski;
Zakłopotany koronny podskarbi,
Zakłopotany podskarbi litewski.
Wojsko bez żołdu sztandary opuszcza,
Poborca grosze roztrwania bezładnie, —
A na sejmikach wykrzykiwa tłuszcza:
Że król niebaczny, że podskarbi kradnie,
Że wszystek zasób wyciągnięto z chatek,
Że przyjdzie z głodu umrzeć na ostatek.
A patrz po kraju, kędy grosz się trwoni
Za jedną szczyptę zamorskiego ziela!
Co sług! co potraw! co psów, a co koni!
Jak tryska wino! jak huczy kapela!
Patrz, ile kanak z dyamentu warty
W stroju mężczyzny, białogłowy, dziecka!
Jakie sobole, tygrysy, lamparty!
Rzeczpospolita zbytkuje szlachecka.
Za dwie wieczerze nadwornéj szarańczy
Można uzbroić chorągiew hussarzy;
Lecz szlachta szumi, o swobodach gwarzy,
Na grobie kraju śmieje się i tańczy;
Ani chce wiedzieć, że tu wnet naskoczy
Groźny Chmielnicki, Szwed albo Rakoczy.
Gdy się na głowę zwala Siedmiogrodzie,
Kozak i Rusin gdy do walki zowie,
Na wałach fortec jaśni starostowie
Sieją warzywa, jak gdyby w ogrodzie,
Mur z bastyonem rozbijając stary,
Budują z niego śpichrze i browary.
Rzadko gdzie w domu szlachcica-rycerza
Był koń, zbroica lub miecz w pogotowiu;

Żołnierz koronny, zbyt folgując zdrowiu,
Wlókł z sobą łóżka i pościele z pierza.
Na wież obronnych niedawne zwaliska
Wspina się koza i ogryza chwasty;
Na straży żołnierz dziesiąty, dwunasty,
Bo reszta hula, albo lud uciska.

Czegoż nie działał ów motłoch, łakomy
Na cudze grosze, majętność i domy!
Na niewinnego potwarze wymiata,
Mówiąc: Ten zdrajca, ten z wrogiem się brata,
Ten ranił sługę, co był pod mą władzą,
Ten ukradł konia, co do mnie należy!
Więc do hetmana niewinnych prowadzą,
A ich domowstwa oddają łupieży;
Mordują, ranią, gdy rabować nie dasz,
Biorą co wola i niosą na przedaż.
Zamiast starszyznę mieć w zacnéj powadze,
Szemrał na króla, rotmistrze, hetmany,
Składał swe zjazdy żołdak zbuntowany
I groźny oręż podnosił na władzę.
Rzadko kto mawiał: „Dopomóż mi, Boże!
„Sławo! ja głowę dla ciebie położę!“
Częściéj słyszałeś z ust rycerskiéj braci:
„Służę i czartu, jeśli mi zapłaci!“

VIII.

Boleść rwie serce, gdy musimy w pieśni
Wspomnieć te czasy, kreślić te obrazy.
Patrząc na Polskę płakali współcześni:
„Piękna ziemico! zgubionaś sto razy!

„Świetna wśród bitew, nieszczęśliwa doma,
„Nie drżysz przed Szwedem ani Zaporożem,
„Lecz sama własnym zabijasz się nożem,
„Grób sobie kopiesz własnemi rękoma!
„Nie winuj obcych, że z chciwym zapałem
„Biegną ku tobie, czując twe niezdrowie:
„Tylko narzędziem Pańskiém są krukowie,
„Co lecą martwém nasycić się ciałem.
„Nie oni zgonu twojego przyczyną:
„Kraje przez siebie, nie przez obcych giną."

IX.

Poczęły trwożne szerzyć się pogłoski
O nieprzyjaznym dla Polski sąsiedzie;
Że podkanclerzy, zdradny Radziejowski,
Na zgubę braci szwedzkie hufce wiedzie.
Tuż za pogłoską szedł i skutek śpieszno:
Runęły w Polskę zastępy Wandali,
A gród poznański, i Kalisz, i Leszno
W ręce zwycięzców wodzowie oddali.
Wojewodowie i kasztelanowie,
Co w wolnym kraju i wyznać sromota,
W pokorném piśmie i w pokornéj mowie
Królowi Szwedów składali swe wota.
Janusz Radziwiłł wnet przeszedł do Szweda,
Wiodąc za sobą szlachtę z Litwy całéj,
I poszła daléj zwycięzka czereda,
Wkrótce ją mury warszawskie ujrzały.
Uszedł król polski ze swojéj stolicy,
Coraz po kraju tułając się daléj;
Pierzchli koronni niegdyś pochlebnicy,

Co jeno łaski u tronu szukali.
Opuszczał króla silny i bogaty,
Szedł i Szwedowi swą przychylność kłamał.
Biedny mieszkaniec zaściankowéj chaty
Spojrzał do koła—i ręce załamał;
A obcy pychy poszeptom zdradzieckim,
Przysiągł nie zdradzić króla i swéj ziemi,
Naostrzył brzeszczot rękami chrobremi
I szedł do swoich łączyć się z Czarnieckim.

Stefan Czarniecki, mąż kuty z żelaza,
Z niewielką garstką nie zdradził swéj wiary:
W nim kraj rodzony, w nim Kazimierz Waza
Widzieli męża, co jak granit stary,
Zaległszy morza wściekłego wybrzeże,
Sam jeden lądu od powodzi strzeże.
A w tym niezłomnym wiekowym granicie,
Przy którym fala ściele się bezwładnie,
Jakież skry ognia! zaraz w nich ujrzycie,
Za lada starciem jak piorun wypadnie.

Ruś gości w Wilnie, Chmielnicki we Lwowie,
Szwed zajął Poznań, Warszawę i Kraków;
Już wszystkie grody stołeczne Polaków
W rękach zdobywców, jak nędzne pustkowie.
Trzy wielkie wichry w całéj swojéj sile
Kiedy na jedną budowę gruchnęły,
Zda się dziedzina Piasta i Jagiełły
Będzie na troje rozdarta za chwilę.
Nie masz wyboru dla prawego męża,
Jeno polegnąć pod domowém zgliszczem;
Lecz mądrzy mówią: — „Może coś uzyszczem,
„Pójdźmy się kłaniać temu, co zwycięża.“

X.

Książę Radziwiłł, litewski koniuszy,
Dawno szwedzkiemu kłania się królowi;
Jego klienci, na wszystko gotowi,
Na stronę szwedzką przeszli z całéj duszy.
Tylko gdzie niegdzie trzyma się na wodzy
Kupa mieszczanów lub szlachta ubodzy.
Pomimo pochlebstw, pomimo popłochu,
Gdzieś garstka z garstką jeszcze się sprzymierza,
Ostatni szeląg, ostatnią garść prochu
Niesie za sprawę Jana Kazimierza,
Ostatnie takty bolejącéj piersi
Składa w modlitwę za Rzeczpospolitą.
Lecz tacy ludzie, biedniejsi im szczersi,
Jakże się muszą opłacać sowito!
I szwedzki żołdak, i służba książęca
Ściga stronników sarmackiego króla,
Pod ich strzechami najbezkarniéj hula,
Nad ich rodziną pastwi się i znęca;
A byle cienie, byle powód marny,
Niesie miecz rzezi i ogień pożarny.

XI.

Ale po burzy znowu się rozwidni,—
Poczęła świtać jutrznia lepszéj doli.
Szlachta od Szwedów cofa się powoli,
Przejrzeli ślepi — a zdrajcy ohydni,
Gdy nowe knować poczęli zasadzki,
Stanął w Tyszowcach akt konfederacki.
A w Częstochowie jedno serce mnicha,
Które wspierała Przenajświętsza Panna,

Tysiące szwedzkich zastępów odpycha,
Daje się słyszeć wesołe: Hozanna!
Z echem i z wiatrem rozwiał się dźwięk pieśni
Po całym kraju, jak dobra otucha;
Powiat z powiatem kojarzy się cieśniéj,
Szwedzkich rozkazów już mało kto słucha.
Sandomierz, Lublin już w ręku Polaków,
Już głoszą powrót Jana Kazimierza,
Nazad zdobyte Warszawa i Kraków,
Czarniecki wszędy jak piorun uderza.
A ludzie dobrzy, łatwowierni, prości,
Co szli do Szweda w prostocie swéj duszy,
Już się zrzekają ohydnych sojuszy,
Naród powraca do swéj powinności.
Już tylko tacy przy wrogu zostali,
Co chcieli nękać swą ziemicę biedną:
Kilku magnatów i klienci mali,
Co z magnatami chcieli być za jedno.

XII.

Krzysztof Szeliga za nadto swą dolę
Skojarzył z losem księcia Bogusława;
Wspólne ich bojów, ich przewinień pole,
Dzielić im tylko wspólny los zostawa.
Już dziś nie poznać owego młodziana,
Któremu Skarga święcił miecz na boje;
Twarz jego dzisiaj zmarszczkami zorana,
Znać, że sumienia cierpi niepokoje.
Głos powinności ku matce swéj ziemi,
Którego wszystka szlachta usłuchała,

Czyż w jego piersiach nieprawość oniemi?
Czyż w jego myślach nigdy nie zapała?
O! znaczno walkę we szlachetnéj duszy!
Ciężka tam w głębi odbywa się proba.
On nieraz myśli: — „Niech książę koniuszy
„Trzyma ze Szwedem, czy z kim się podoba;
„Moja powinność tam, gdzie mojéj braci,
„W szeregach króla, w obronie téj niwy,
„Gdzie złożył głowę mój ojciec sędziwy,
„Gdzie mię z narodem krew powinowaci.“
Przeciw tym myślom myśl zdradna a płocha
Stawiła czoło potężnie i srodze:
— „Czyż rzucić księcia, który tak mię kocha,
„Kiedy tu silną chorągwią dowodzę?
„Ja tutaj mnogie skarby mam pod strażą,
„Z łupów wojennych uzbierałem krocie;
„Wrócić do swoich—to oddać je każą,
„Oddać kmiotkowi, wdowie lub sierocie.
„Rzucić dostojność, którą tutaj pieszczę,
„Pozbyć się grosza—toć cała ruina;
„Zostać żołdakiem, potém słuchać jeszcze,
„Gdy człek skrzywdzony łupiezcę przeklina...
„Nie, już za późno... już pozostać wolę:
„Po mojéj drodze zaszedłem daleko;
„Wypieszczonemu na książęcym stole,
„Wracać do wioski—pić wodę i mleko...
„Przy łasce księcia, przy wojennym łupie,
„Nie taką wioskę ja wkrótce zakupię.“
Tak, by zagłuszyć sumienia zgryzoty,
Szeliga w swego namiotu ustroni
Przeglądał pilno swój strój szczerozłoty,
Srebrzysty oręż, suty rząd na konie;

A obliczając swe przyszłe rozkosze,
Przyszłe znaczenie — dodawał kryjomu:
— „Zmienią się czasy, i króla przeproszę,
„I jak bohater powrócę do domu.“
Bluźniercze myśli! bezrozumne cele!
Bo się w dziejową świątynię nie wdziera:
Nie dosyć męztwa albo ran na ciele,
Bo świętość sprawy czyni bohatera;
Imię mężnego na nic się nie przyda,
Gdy czyje czoło piętnuje ohyda.

XIII.

Pod wioską Prostki, na pruskiéj granicy,
Szwed, już z dziedziny sarmackiéj wygnany,
Leżał obozem — a dwa polskie pany,
Dwaj macierzystéj ziemi najezdnicy:
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
I podkanclerzy polski, Radziejowski,
Nowe Szwedowi podawali wnioski,
By wrócił w Polskę i kraj uszczęśliwił,
Że tamta ziemia ku niemu stęskniona
Znowu poddańcze wyciągnie ramiona.
Elektor pruski, obecny naradzie,
Co swoje hufce ze Szwedem połączył,
Co radby z Polską na zawsze już skończył,
Przyrzeka pomoc i warunki kładzie.
Radzono długo... noc była już ciemna,
Były tam plany, i spory, i swary;
Wreszcie nastała ugoda wzajemna,
Przybito dłonie, podano puhary, —

I cichy toast okrążył trzy razy:
„Niech żyje zguba Kazimierza Wazy!“

Szeliga z wartą księcia Bogusława
Stał przy namiocie tuż za samém płótnem,
Słyszał jak gwarna toczyła się wrzawa,
Słyszał toasty z ich proroctwem smutném;
Ale mu serce nie zadrgało zgrozą,
Zaśmiał się—szepnął: — „Giń, Rzeczpospolita!
„Gdy starą Polskę na marach powiozą,
„Toć nowy w świecie porządek zaświta.
„Szwedzkim stronnikom już zręczność się poda
„Wypłynąć na wierzch, bo ich teraz pora...
„Już nie starosta, jak marzyłem wczora,
„Lecz będę hetman, kanclerz, wojewoda;
„Wezmę urzędy, których nie dościga
„Nawet Radziwiłł, nietylko Szeliga.
„A dusza ojca, stary duch woźniczy,
„Co patrzy na mnie ze zgrozą rozpaczy,
„Kiedy me wszystkie honory policzy,
„Jakże mi chętnie odstępstwo przebaczy!
„I w drugim świecie nagany mi nie da,
„Że szlachcic polski był stronnikiem Szweda.“

Ledwie to wyrzekł, aż oto z łoskotem
Trąbka zagrała przed samym namiotem,
I śpieszny goniec zapytał u straży:
Czy tu król szwedzki? czy ucha udziela?
I czy z listami tu się wejść odważy?
A listy pilne od wojska Forgela.
(Ów zasię Forgel był szwedzki generał,
Który szedł kilku tysiącom na czele,

Był dwakroć jeńcem, ale teraz śmiele
Znów się do Polski za Wisłę przebierał).
Wpuszczono gońca, a na wielkiej radzie
Siła zapytań razem go osypie.
Niedobre wieści: bo przy wiosce Lipie
Czarniecki dopadł Wandalów w nieładzie;
Krwawemi strugi zalało się pole,
Trupem poległo Szwedów dwa tysiące;
Nim się poranne ukazało słońce,
Generał w polską dostał się niewolę.
Król szwedzki zgrzytnął i zatupał nogą,
Elektor pruski coś zamruknął z cicha,
Pan Radziejowski pogląda złowrogo,
Książę koniuszy blednieje i wzdycha.
Goniec złéj wieści wymknął się z namiotu
I kędyś zniknął w obozowém kole.
Szeliga otarł wielką strugę potu,
Co mu gorąco płynęła po czole,
I dziecko Litwy niespokojne szczerze,
Że jego naród swe tryumfy bierze.

XIV.

Cicho w namiocie—i król, i książęta
Zwiesili głowy pod myśli nawałem.
Wtém cisza nocy znowu potrząśnięta,
Ale złowrogim na trwogę sygnałem.
Król wybiegł... słucha... to nóta nieswojska!
—„Na koń, żołnierze! do zbroi! do broni!"
Lecz w téjże chwili nad uchem zadzwoni
Bogarodzica -- hymn polskiego wojska.

Zaledwie szwedzka rusza się gromada,
Troisty hufiec na karki jéj wpada.
Książę koniuszy wyskoczył z namiotu,
Dopadł rumaka—lecz go hufiec ściga,
Jeno zakrzyknął; — „Hej, mości Szeliga!
„Ze swą chorągwią zastaw się u płotu;
„A jeśli napad podstąpi zdradziecki,
„Pilnuj się waszmość na miejsca wyborze,
„By miłościwy król jegomość szwedzki
„W ręce się polskie nie dostał broń Boże!“
Król szwedzki uszedł; lecz jego zamiary
Przeniknął hufiec pancerny litewski,
I wielki hetman, Wincenty Gosiewski,
Przyskoczył, mając najemne Tatary, —
I w téjże chwili zręcznie oskrzydlili
Pancerne hufce księcia koniuszego.
Napróżno półki brandeburskie biegą,
Napróżno szwedzkie rycerstwo się sili, —
Już dzielne polskie i tatarskie zuchy
Rozbiły hufiec birżańskiego księcia.
Książę z Szeligą, bojąc się ujęcia,
Na rączych koniach szukają otuchy.
Hufiec Tatarów rączo ich dościga:
Pojmany książę, pojmany Szeliga.

XV.

Chwała zwycięztwa, jak kronika pisze,
Na Gosiewskiego zaświtała głowie;
A korzyść walki dobrzy towarzysze
I perekopscy wzięli Tatarowie.

Sześć pułków szwedzkich, dwa pruskie sztandary,
Dwa hufce polskie i armat bez miary,
Bez miary jeńców okowywa pęty
Hetman litewski Gosiewski Wincenty,—
I dobrze pewien, że wiadomość miła,
Radosne gońce do króla posyła.

XVI.

Przy boku króla był Radziwiłł drugi,
A krewny księcia koniuszego blizki,
Mąż znakomity przez zacne zasługi,
Michał Kazimierz, ordynat nieświézki.
Jego staraniem, choć z bronią pojmany,
Książę koniuszy zgubie się wyśliźnie;
A jego wojsko i wszystkie dworzany
Kazano wygnać, jak śmieci w ojczyźnie,
Ażeby żadne nie zostały ślady,
Że szlachcic polski był zdolen do zdrady.
Książę koniuszy, choć swojéj krainie,
Swemu królowi zawinił się srogo,
W Słucku, Nieświeżu, Mirze, Tykocinie,
Fortece szwedzką osadzał załogą,
Dobywał Brześcia, — dziś zbity na głowę,
Jak buntownika Gosiewski go bierze;
Lecz potém z królem pojednał się szczerze
I sprawiał różne urzędy krajowe.
(Czy urzędując nagrodził te straty,
Które krajowi poczynił tak świeżo?
To są wypadki już późniejszéj daty,
Co do powieści naszéj nie należą).

XVII.

Szeliga tedy, występny bannita,
Wygnan od ziomków za rodzinne płoty;
Lecz za to bogacz, a myśl jego skryta
Mało się troszczy tém piętnem sromoty.
A hetman, nieco łagodząc mu winę,
Nim się dopełni wygnanie złowieszcze,
Kilka dni czasu zostawił mu jeszcze,
Aby mógł przedać ojcowską wioszczynę.
Szczupły-ć to dworek—mało go obchodzi;
Jednak Szeliga skorzystał z pozoru,
Aby na Litwie, wśród tamecznéj młodzi,
Jednać stronniki dla szwedzkiego dworu.
Pojechał tedy w rodowitą stronę,
Gdzie od młodości nie postał i nogą;
Cztery rumaki, w karocę wprzężone,
Pędzą ku Litwie pośpiesznie, jak mogą.
I któżby poznał po tak długim czasie
Syna woźnicy w téj pańskiéj kolasie?
Na pacholęciu przed dawnemi laty,
Gdy wyjeżdżało z ojcowskiego domu,
Nie świecił w oczy strój taki bogaty,
Twarz była młoda, a czoło bez sromu.
Za nim leciały, jako towarzysze,
Błogosławieństwa ojca i kapłana;
Dziś jego głowa z kraju wywołana,
Przekleństwo ziomków nad nią się kołysze.
I kraj się zmienił, że poznać niemożna:
Tak było pięknie, tak było zielono!
A teraz dymem wsi i miasta płoną;

Świątynie ręka odarła bezbożna;
Nie słychać w polu śpiewania żniwiarzy;
Kryje się w lasach trwożliwa drużyna;
A gdy człowieka napotkać się zdarzy,
Ten gorzko płacze i Szweda przeklina;
Zboża spalone, nagie świątyń mury,
Wszędy zniszczenie, gdzie oko dościga...
I gorzko, gorzko zaśmiał się Szeliga,
Dworek swych ojców gdy zobaczył z góry.
Runęły śpichrze, gołębnik, stodoła,
Dom pochylony do upadku gotów,
Klonów i gruszy nie było już zgoła,
Rosły badyle w ogródku bez płotów.
Znaczno, że wszędy przeszedł czas pożerczy,
Wszystko bolesne przypomnienia budzi;
Tylko przed wjazdem stara brama sterczy,
Zaklęciem Skargi pamiętna u ludzi.
Westchnął Szeliga—a z dumnego oka
Trysnęła łezka, gość niespodziewany;
Lecz się opomniał i spojrzał z wysoka,
I począł nowe osnowywać plany.

XVIII.

—„Ten, kto ma złoto, ma wszystko na świecie.
„Co mi tam szkodzi wygnańca nazwisko?
„Bannita polski—niezginiony przecię;
„Na ziemi szwedzkiéj znajdę przytulisko,
„Tam kupię dobra—grosz popłaca wszędzie;
„Ale nie żegnam méj rodzinnéj włości:
„Gdy się król szwedzki na siłę zdobędzie,

„My znowu tutaj zawitamy w gości.
„Odbiorę własność może w rok najdaléj
„I wygnam z kraju tych, co mnie wygnali.
„Tu będzie pałac, na nim herb kamienny,
„Gniazdo Szeligów odnowić potrzeba.
„Stary mój ojciec, królewski stajenny,
„Aż się uśmiechnie z wysokiego nieba.
„Bo cóż za złoto okupić się nie da?
„I cześć powróci, którą wyrok plami,
„Bylebym tylko między Litwinami
„Zjednał co więcéj stronników dla Szweda...“

XIX.

Kiedy tak dumał, rumaki jak z procy
Leciały pędem na dworku zwaliska.
Oś czterokonnéj wspaniałéj karocy
Pod *Stare wrota* z mozołem się wciska.
(A wrota wązkie, bo tędy od wieka
Szedł prosty wózek, lub wjeżdżał gość konny,
Bo wiedział starzec, że się nie doczeka,
Iż go odwiedzi urzędnik koronny,
I nie dla karet szerokiéj postaci
Budował wrota, lecz dla szlachty braci).
Za ciasno było synowskiéj kolebce,
Uwięzły konie, woźnica je płaży.
Szeliga zadrżał, pobledniał na twarzy,
Coś niedobrego przeczucie mu szepce.
Konie zarwały, oś o słupy grzmoce,
Spróchniałe słupy pękły od zamachu,—
I cały ciężar dębowego dachu

Z głuchym łoskotem pada na karocę.
Przegniła słoma i krokwi gromada
Całkiem przykryły woźnicę i pana,—
Trzaska się w szczęty karoca złamana
I cug rumaków na kolana pada;
Nakoniec targnął i odrzucił w stronę
Dwa trupy ludzkie, na miazgę stłuczone...

XX.

Więc *Stare wrota* nad zdradziecką głową
Już dopełniły swojéj powinności!
Tak sobie ludzie powiadali prości,
Przypominając księdza Skargi słowa:
„*Kto tędy przejdzie z jaką myślą zdradną,*
„*Niechaj te wrota na niego upadną!*“
Czy prawdę mówią? niepodobna dociec:
Czy mało baśni nagada prostota?
Tutaj, jak zwykle, winien stary ojciec,
Że nazbyt wązkie wybudował wrota;
Winien woźnica, że źle konie lecą,
Że zakierował i rady im nie da;
A może zresztą i syn winien nieco,
Że rzucił króla, a przeszedł do Szweda.

14 lipca 1856. Borejkowszczyzna.

JANKO CMENTARNIK.

GAWĘDA LUDOWA.

PRZYGRYWKA.

W naszéj wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch:
I wesele, i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarém kwieciem łąka kwitnie,
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni, czy to w wiośnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki, i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!...

Pójdę do nich: na mogile
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.

JANKO CMENTARNIK.

I.

Jak po nad grobem wśród nocnéj pory
Błądzą ogniki i meteory,
Tak dni ubiegłe, dawne dni nasze,
Zawsze uroczy promień opasze.
Choć one były zwykłemi dniami,
Ludzie ci sami i tacy sami,
I świat, i człowiek jedną miał dolę,
Chmury na niebie, troski na czole;
Niekiedy jutrzni promień szeroki
Rozjaśnił serce, przebił obłoki,
I znów się ukrył za gęste mgliska;
Z niebios deszcz pada, z oczu łza tryska,
I tak się ciągle miesza na ziemi,
Chwilka pogody z dniami tęsknemi;

A jednak promień przeszłości złoty
Każe zapomnieć chmur i tęsknoty;
Gdy w tamtą stronę myśli pobiegą,
Rzewniéj na sercu—Bóg wie dla czego!
Rok dawno zbiegły dziwne ma wdzięki!
Bo to rówieśnik naszéj jutrzenki;
A tamci ludzie dla tego mili,
Że w naszém życiu świadkami byli
Pierwszéj pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
Ku niewidomym celom lecieli,
Za motylami, to za kwiatkami,
Za wszystkiém piękném, co oko mami,
Za wszystkiém miłém, co serce pieści;
Nie tak jak dzisiaj, gdy syn boleści,
Zaznawszy świata, głowę schyliwszy,
Co chwila mędrszy i nieszczęśliwszy,
Obarczon ciężką sakwą podróży,
Gdy mu dawniejsza siła nie służy,
Krwawiąc się cierniem i ostrém zielem,
Idzie do celu — a grób tym celem.

II.

Święta jutrzenko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot taka sama i w każdym względzie,
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem i zkąd, i po co,
Nad twém wspomnieniem światła migocą?
A przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,

Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem, i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy, gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściśléj,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli...

Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,
Człek ciężko westchnie: Boże mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może,
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy...
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy;
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał, jak braci,
Musiały wzrosnąć w nowéj postaci —
A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała w nich widzieć dawne konturna,
A one wzrosły, jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczéj huczą kościelne dzwony,
Jeden rozbity, drugi zmieniony...
A twarze ludzkie? jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta,

Co było dzieckiem — w męża urasta,
Co było mężem — dzisiaj skroń siwa,
Co było starcem — w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudzi!
Coś znajomego, coś mi się roi...
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściéj;
Głos męża silny, pełny słodyczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!...
A sercaż ludzkie! jaka tam zmiana!
Widziałeś piękny zapał młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w téj głowie
Chłodna niewiara, straszne pustkowie!
Posłuchaj tylko: szydzi bluźnierca
Z dawniejszéj wiary, z własnego serca...
Precz mi z tym człekiem! ja go nie znałem!
A jam chciał wskrzesnąć jego zapałem!
A jego postać, ileż to razy,

Gdym w myślach kreślił przeszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo
Przelatywała nad moją głową!...
Szatan nie człowiek!... za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodéj przeszłości, szczęśliwszéj chwili,
Źródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje?!...

Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskrześnie!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość, ale z daleka.

III.

Jeśli ochota, słuchacze mili,
Dajcie mi ucho choć na pół chwili:
Starym zwyczajem, w kółku słuchaczy,
Powiem powiastkę, przygodę raczéj,
Którąm zasłyszał z ludzkiéj pogłoski,
Prostą i rzewną — wiadomo z wioski.
Czyńcie co wola: śmiejcie się, płaczcie,
Dobre przyjmijcie, a złe przebaczcie.

IV.

Przed pięćdziesięciu czy więcéj laty,
Żył w jednéj wiosce młodzian bogaty,

Hoży, wesoły — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całéj duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku;
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakąś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczułkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.
I z tą miłością rodzonéj ziemi
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawżdy na sercu gracko,
Dolę, niedolę dzieląc gromadzką,
Żyć ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janek jak dziecko spłacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata.

On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żałobną pieśnią grzmi pod niebiosa,
A jeśli krewni niedość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to, gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za drużbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.
No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitwy przychodzi w lecie,
Zwłaszcza, że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała,
Więc cudzopaniec w dogodnéj porze
Łąkę przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową;
Groźba za groźbę, słowo za słowo,
Krzywda widoczna, a sprawa prędka,
To się i pobić przychodzi chętka.
No! różnie bywa: któréjś niedzieli,
Ten się podchmieli, drugi podchmieli,
Słówko za słówko, krew silniéj bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije.
A drugi, siedząc, niedługo duma,
Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! I z drugiéj strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki starym zwyczajem
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.

Na taką grzmotnię, w lichéj godzinie,
Niech-no się tylko Janek nawinie,
I rzutem oka niech-no wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada;
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu wpada szalenie,
A słabéj stronie dając pomoce,
Potężną ręką, jak cepem, grzmoce.
I póty grzmoce daléj a daléj,
Aż przeciwników na ziemię zwali,
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.
Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całéj gromadzie.

V.

Takie pierwszeństwo nie idzie z rodu,
Ani go zjednać za kufel miodu;
Lecz trzeba kochać a sercem całém,
Trzeba być silnym duszą i ciałem, —
A czy to w wiosce, czy w wielkiém mieście,
Taką przewagę uznają wreszcie.
Przewaga serca w imię przyjaźni
Najdumniejszego dumy nie drażni;
Wszyscy się chylą przed taką władzą,
Ochocze serca zawżdy poddadzą;
A gdy już pierwsza przebyta proba,
Prowadź gromadkę gdzie się podoba.

VI.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnéj chowa;
Lecz inszą dolę dały mu Nieba:
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabrał go z chaty
W obce województwo, aż pod Karpaty.
Żal rodzinnego było mu płota,
I wioska po nim będzie sierota;
Ojciec przeżegnał dobrego syna,
Gorzko płakała matka jedyna,
Chłopaki ucztę dali mu w domu,
Dziewczętom zucha żal pokryjomu;
Jedna, jak widać, smutniejsza nieco,
U drugiéj łezki na oczach świecą.
Wszyscy żałują — on głowę traci,
Dumny tym żalem swoich współbraci.
Z sercem rozdartém i bolejącém,
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem,
Zakończył z braćmi uczty ostatki,
Rzucił się do nóg ojca i matki,
Uściskał chłopców i dziewy młode,
Pożegnał kościół, cmentarz, gospodę,
Wsiadł na konika dworsko a raźnie,
Jeszcze się wszystkim skłonił przyjaźnie
I ruszył, świszcząc piosnkę kozaczą,
Pewien, że jego łez nie zobaczą,
I snuć marzenia zaczął powoli
O nowém życiu, o inszéj doli.

VII.

Dobrze mu było na dworze pana:
Barwa złocista i posrebrzana,
Spięty popręgą, w sutéj bekieszy,
Z kity u czapki wielce się cieszy,
Strzelba przez plecy, konik cisawy, —
O! taka służba jak dla zabawy!
Prędko się zuczył celnego strzału,
I przyjaźń ludzka nie szła pomału;
Pan go od razu polubił wielce,
Kazał policzyć pomiędzy strzelce;
Dworscy przyjęli braterską dłonią,
No, i dziewczęta nie bardzo stronią.
Wesołe życie! jedyna bieda,
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da,
Że w dzień i w nocy tak sercem miota
Ta do rodzinnéj skiby tęsknota!
Te ciągłe myśli o swojéj strzesie,
Ptaszek pod skrzydłem chyba je niesie!
Słodkie powietrze ze swego świata
Chyba zdradziecko z wiatrem przylata,
Aby do reszty odurzyć głowę,
Ażeby serce drzeć na połowę...
Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi,
Posyła najprzód do tamtych ludzi:
Co oni robią? żywi? czy zdrowi?
Ojciec i matka, nasi domowi?
Nasze chłopaki, nasze dziewczęta?...
I kto tam jeszcze o mnie pamięta?
Czy tam wczorajsza doszła ulewa?
Czy wiatr któregoś nie złamał drzewa?

Tak była wątła, tak pochylona
Grusza przy chacie starca Szymona...
Co się tam stało z kościelną wieżą?
Kto tam rej wiedzie między młodzieżą?
Czy zawsze psisko u Pawła bramy?
Czy stary dzwonnik jeszcze ten samy?
Och! coś mi serce niedobrze tuszy!
Musiał kto umrzeć, bo tęskno w duszy...
Gdy się w niedzielę świetnie ustroi,
Och! — myśli sobie — gdyby tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy,
Jak mi strzelecka barwa do twarzy!
Tożby zazdrościł, aż głową kiwa,
Wioskowy strojniś, Marcin Pokrzywa!
A dziewkiż nasze! nasze jagodki,
Tożby to uśmiech stroiły słodki!
Niby to z cicha, niby to skromnie,
Zawszeby jednak przylgnęły do mnie...
O! gdzie tam, gdzie tam!... lepiéj we świecie!
Proste jéj sukno, proste uszycie...
Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy
W rodzonéj wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Piesby domowy rzucił się może...
Nie chcę téj barwy złotéj, zielonéj!
Puśćcie mię, puśćcie w domowe strony!...

VIII.

Tak często patrzał w stronę swéj ziemi,
Stojąc z rękami załamanemi;

A chcąc zagłuszyć tęskność zdradziecką,
Myśli bywało: — Jakież ja dziecko!
Młodemu człeku, ot wielka bieda,
Że pan mi doma zagnuśnieć nie da!
Cóż robić? tęskno po swéj rodzinie,
Lecz to przeminie... Ej, nie przeminie!
Biednyś ty, Janku! wioskowéj głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy;
Kiedy raz wrosła, nic nie pomożem,
Już téj miłości nie wyciąć nożem!
Z taką tęsknotą, jak z karą bożą,
Już i do trumny ciebie położą!...
  Są jedne dusze, które umieją
Ciągle żyć światem, ciągle nadzieją,
A których serce wszędzie przyrasta:
Dzisiaj do wioski, jutro do miasta,
Dziś leć w powietrze, jutro płyń wodą,
Gdziekolwiek losy ciebie powiodą,
Wiosna im w maju, wiosna w oktobrze,
Wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze.
  Są insze dusze, niby to święte,
Co, burzą życia w obczyznę pchnięte,
Tęsknią do swoich, tęsknią i marzą;
Potém powoli, z zimniejszą twarzą,
Z gorzkim uśmiechem, już winią Nieba:
Cóż mamy począć? tak już potrzeba!
A zresztą, mówiąc prawdą a Bogiem,
Konieczność musi stać się nałogiem,
Nałóg naturą: — radzi nieradzi,
Los, jak ogrodnik, gdy nas przesadzi
W Indye Wschodnie, do Neapolu,
Pomimo cierpień, pomimo bolu,

Musim się zrosnąć z nowym klimatem.
Litwa — Neapol... nie idzie za tém:
Litwę u piersi jak dziecko niańczę;
Lecz w Neapolu są pomarańcze,
Tam cień oliwny osłania głowę,
A w Litwie tylko szyszki borowe.
Człowiek, rad nierad, jakoś przywyka
Do pomarańczy od słonecznika.
Nałóg — natura: więc co za dziwa,
Że mi smakuje bardziéj oliwa?
Są insze dusze, głupcy, waryaty,
Co wolą słomę domowéj chaty,
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,
Co wśród pomarańcz i ananasów
Gminne ich zdrowie bardziéj przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swéj dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście,
Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką goni kochanek! —
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach blaszane szczyty,
On wolał domek słomą pokryty;
Nieuleczony, dziwny szaleniec,
On w kraju pszennym śnił żyta wieniec!
Szkoda cię, Janku w złoto przybrany,
Że do wioskowéj tęsknisz sukmany,

Że gdy cię szczyci łaska bogacza,
Kiedy cię dworski przepych otacza,
Ku nędzy ojców strzelasz oczyma.
Zgubionyś, Janku! rady już niéma!
Gdy raz gangrena wpadnie do łona,
To już choroba nieuleczona;
Znane lekarzom takie zjawisko,
Nawet łacińskie nosi nazwisko.
Jedyną na to leczebną siłą
Oddech z powietrza, gdzie się rodziło,
Szklanica wody z domowéj rzeki, —
Albo ze szczęściem rozbrat na wieki.

IX.

Rozbrat ze szczęściem! — taka twa dola:
Nieprędko wrócisz na swoje pola.
Mocuj się duchem, póki duch służy,
Bo długa koléj twojéj podróży.
W rok coś niespełna, po wszystkich stronach
Poczęto gadać o legionach,
Coraz to głośniéj, coraz to szerzéj;
Poczęła szlachta zbierać żołnierzy,
I kto sam jeden, i kto gromadką,
Marsz za granicę umykać gładko!
I pan Jankowy, żywéj natury,
Kazał swym strzelcom uszyć mundury,
Dał nowe konie, szable i lance,
I powiódł zastęp w dalekie krańce.
Janek wesoły poszedł w żołnierze;
A chociaż chętka zapłakać bierze,

Lecz myśli sobie: — Niech płaczą dzieci!
Łza żołnierzowi mundur oszpeci!
Skoczyłby teraz do swojéj wioski
Wziąć pożegnanie z ręki ojcowskiéj,
Przyjąć od matki medal święcony,
Pożegnać braci i swoje strony,
Uścisnąć szczerze dziewczęta z sioła;
Ale już czasu nie było zgoła.
Zagrano w trąbkę — pan już na przedzie,
I pal z kopyta, gdzie oko wiedzie.

X.

Krwawo, ruchawo, jakby w zachwycie,
Płynęło wtedy żołnierskie życie.
Dyktator Gallów grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki, dziejowy.
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata.
A każda fraza i każda głoska
Wrzała tak silnie, jak myśl mistrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczéj, —
Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy.
Krwawym zygzakiem przekreślił Romę,
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głazy,
Ziemię germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei!
A ludzkość, pełna nowych nadziei,

Patrząc na krwawy zygzak, co pała,
Charakter boży na nim czytała!
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan szedł na półboga.
Wielki poemat krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obrąb gminu,
Tylko, że większy dał rozmiar pysze, —
A pycha bozkich dzieł nie napisze,
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze,

XI.

Ludzkość w półboga swego wierzyła:
Zbrojnych milionów olbrzymia siła
Stawała przy nim w jednéj godzinie,
Leciała pędem, gdzie jeno skinie,
Porywa wirem, gdzie się zaczepi,
Co chwila wzrasta, coraz się krzepi.
Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył, jak trzeba:
Wespół z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Wespół z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzistą;
Gdy jego męztwo wodzowie chwalą,
Dostał wojenny krzyż pod Alhalą;
W ziemi Rakuskiéj, gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski — ranę na czole.
Lecz się wyleczył — w szeregi staje,
I znowu poszedł w hiszpańskie kraje,
Gdzie niebo świetnym promieniem pała,
Gdzie pełno złota, gdzie trud i chwała,

Gdzie do zasługi niwa tak żyzna,
Gdzie najpiękniejszych dziewic ojczyzna.
Lecz tęsknych myśli z chrobrego czoła
Gwar obozowy wygnać nie zdoła.
W chwilach spoczynku śpią towarzysze,
A ich marzenia bitwa kołysze,
Śni się bój, zdobycz albo hulanka;
Insze marzenia na sercu Janka:
Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swéj wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania.
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Śpi na biwaku, na cudzéj ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: To rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Nie! jeszcze serce biło swobodą,
Opuścił wioskę za nadto młodo;
A w cudzych wioskach — pożal się Boże,
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?
On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnéj goręcéj.
Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swém powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospodą,
Z wieczornicami i z doświtkami,
Ze swojém niebem, swemi chmurami.

XII.

Przez pięć lat służąc w gwarnéj żołnierce,
Janek zachował dawniejsze serce.
Zawsze w niém pieścił obraz swéj wioski
Zawsze śnił stary domek ojcowski:
Czy go zobaczy? i w jakiéj doli?
Ot może Pan Bóg kiedyś pozwoli,
Miłe dla serca zaświta rano.
Wojskom w te strony ruszyć kazano,
Bo właśnie zapał najwyżéj wzrastał,
Rok osiemsetny dwunasty nastał.
Cezarów orzeł skrzydła rozpina
Nad sztandarami Korsykanina;
Skinął na północ i na wschód słońca —
Dwadzieścia plemion, jak lawa wrząca,
Płonąc, i sycząc, i zionąc parę,
Szło zburzyć Kremlu wieżyce stare.
— „Pędem piorunu potok się leje!“ —
Tak o téj chwili pisały dzieje.
— „Żółw nas prześcignie w takim pocho-
Powiadał Janek — ostrogą bodzie [dzie!“ —
I tręzlą swego wierzchowca spina:
„Ot już i Niemen, ot i rodzina,
„Ot i powietrze ztamtąd powiało,
„Ot i zobaczę mą wioskę całą!
„Toż mię otoczą roje gromadne!
„Toż ojcu, matce do nóg upadnę!
„Powiem im, powiem z całym zapałem,
„A gdzie ja byłem, a co widziałem.
„Otoż się każdy ze mnie nadziwi!
„Bógże wie tylko, czy oni żywi?

„Czy oni zawsze zdrowi, weseli?
„Czy może o mnie już zapomnieli?!“

XIII.

Niemen przebyli, przyszli do Kowna.
Już miota Jankiem radość gwałtowna,
Zdaje się serce w piersiach nie mieści:
— „Już mi do domu mil ze dwadzieści...
„Dwadzieścia tylko, och! jak to mało!
„Toż mię tysiącem mil przedzielało
„Od moich miłych... gdybyż być w przodzie!“
I znowu konia ostrogą bodzie;
Ale hamuje chętkę swawolną,
Bo się z szeregu wymknąć niewolno:
Wezmą za zbiega, zastrzelą może...
„Umrzeć w téj chwili!... Boże mój, Boże,
„Kiedy już czuję rodzinną ścianę!
„O nie! w szeregu lepiéj zostanę:
„Tak każe dola, poddam się doli...
„Tylko że oni idą powoli,
„Noga za nogą za przednią strażą...
„Czemu im prędzéj ruszyć nie każą?...“

XIV.

Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogilna
Chmurno zawisła — szepce kryjomu:
— „Tylko mil osiem do mego domu...

„Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
„Kędy obróci wojenne marsze?
„W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
„Półk naszéj wioski minąć nie może:
„Wioska na lewo — tamtędy droga...“
Ale myśl władców, to jak myśl Boga,
Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
Słowo ich prawem, wola ich święta.
Więc drżący Janek ileż to razy
Pytał u pana: jakie rozkazy
Z głównéj kwatery? — lecz pan nie zgadnie,
Którędy półkom ruszyć wypadnie.
Przyszła nakoniec karta złowroga:
„Dla konnych półków na prawo droga;
„Za dwie godziny wojsko wyruszy.“
Co się tam działo w Jankowéj duszy,
Trudno wysłowić...

Od swojéj niwy
Znów los odpycha nielitościwy!
Onaż tak blizko być się zdawała!
I znowu lata lub wieczność cała
Przedzieli może nieszczęśliwego
Od miejsc, do których wciąż dumki biegą!...
Chciał już uciekać — lecz honor drogi,
Wojskowa karność ma swe nałogi;
Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
Już go pokusy zachwiać nie mogą:
Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni.
Janko, niezdolny postąpić podle,
Spuścił jak martwy ręce na siodle.

Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Pobiegła z wiatrem aż ku domowi:
— „Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!“

XV.

Niech ci powiedzą dziejowe karty,
Niech powie starzec na kiju wsparty,
Te straszne hufce jaką szły drogą,
Budząc po kraju nadzieję z trwogą?
Gdzie ich zwycięztwo, gdzie była klęska?
Spytaj Możajska, spytaj Smoleńska,
Spytaj u ognia, śniegu i wody,
Gdzie się podziały owe narody?
Na bojowiskach spytaj się kości,
Spytaj u Chwały, co w niebie gości.
Z tęsknotą w sercu, z raną na czole,
Janek podzielał z panem niedole;
Chrobrze, cnotliwie i nieszczęśliwie
Wiodło się obu na własnéj niwie.
Panu pod Moskwą, gdy bitwa pała,
Kula armatnia ręce urwała;
Uniósł go Janek z pobojowiska,
Czuwał, aż ślady życia odzyska,
A potém, niosąc służby ochocze,
Czuwał w szpitalu całe półrocze.
Gdy nieco zdrowia dano kalece,
Janek w troskliwéj miał go opiece.
Na lichym wózku, w chłopskiéj odzieży,
I pan, i sługa, nędzarze szczerzy,

Jeden i drugi, jak grób ponury,
Jechali kryć się w Karpackie góry,
A silna pogoń gnała ich w tyle...
Od wsi Jankowéj tylko dwie mile;
Ale zmykając co bliższą drogą,
Ani na chwilę zboczyć nie mogą.
Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonéj
Spotkali człeka z tamtejszéj strony;
Ten opowiedział wiernie Jankowi:
Że wszyscy żywi, że wszyscy zdrowi,
Tylko że ojciec jego już w grobie,
Tylko że matka jęczy w chorobie,
Tylko że w wiosce niedawnéj chwili
Wrogowie kilka domów spalili,
Tylko się jakaś pobrała para,
Tylko runęła dzwonnica stara;
A co do reszty — łaskawe Nieba,
W Jankowéj wiosce wszystko jak trzeba.

Janko na wojnie miał widok mnogi
Codziennych śmierci albo pożogi;
A serce jego, które niemało
Ciężkich zawodów w życiu doznało,
Stało się twarde, płakać nie może.
Tylko zawołał: — „Boże mój, Boże!
„Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie!
„A ja mówiłem, że już tak będzie!
„Ojciec nie żyje, a matka kona —
„Już wioska dla mnie jakby stracona!...
„Och! gdyby do niéj choć na godzinę,
„Błogosławieństwo przyjąć matczyne,

„Widzieć grób ojca, znajome lice
„I rumowisko staréj dzwonnice!
„Lecz nie ma czasu!“—Ruszyli daléj;
Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.
Bohaterowie z Wagram, z Madrytu,
Dzisiaj strąceni ze sławy szczytu,
Zranieni w ciele, zwątpiali duszą,
Z dworku do dworku tułać się muszą,
Gdzie tyle ofiar bolesnych ginie,
Wędrować muszą po żebraninie.
Przywędrowali w Karpackie góry:
Świetny dwór pański, dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałośnie wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głuche milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne tchnienie,
A hufiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiéj wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,
Z pogadankami, ze wspomnieniami;
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

XVI.

Janek, jak zawsze, do swéj ustroni
Tęskni kryjomo i łezki roni;
Ale powracać??—pożal się Boże,
Wbijać do serca kolce i noże!
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;

I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjéj ręki jadła nie bierze
Jeno z Jankowéj—szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?
Leżąc jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał—bo lat trzydzieści.
Przez lat trzydzieści, aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyśliwał ulgi sposoby.
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę—wioskę rodzoną!
Bo tam na wiosce nie ma już domu,
Tam niepotrzebny na nic nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary.
Z razu—z łańcuchem przykro mu było,
Potém przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nałogiem,
Stała miłości zachceniem drogiém.
Tak się zjednoczył duchem najściśléj,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;
Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża,
Czy pan zasypia lub się ocyka.
Och! to niezwykły hołd niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryśny grymas odgadnie,

Przezna nałogi w latach niewoli,
Ale nie zgadnie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiéj chorobie,
Czy będzie lepiéj, czy gorzéj tobie?
Co ból uśmierzy albo rozdraźni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba,
Ale cierpienia na próbę trzeba!
Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni probą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie,
On twój na wieki—bezwarunkowie!

XVII.

Tak Janek przeżył i stał się stary,
Z jednóm uczuciem—z duchem ofiary;
Lecz w przeznaczeniach jego żywota
Samo sieroctwo, sama tęsknota.
Biedny pan jego spoczął w mogile;
Janko, co nad nim czuwał lat tyle,
Co własne życie wlewał mu w łono,
Z którym go zda się duchem spojono,
Ciężko zaniemógł. Już się zdawało,
Że duch opuści znękane ciało;
Bo już na pana swego pogrzebie
Janko pochował połowę siebie,
Połowę myśli i całą wolę,
Jak niedołężne stał się pacholę.
Tak zielsko chmielne, wyciekłe, chore,
Gdy mu odejmą jego podporę,

Chwieje się, pada, blednieje, ginie,
Jak zatęsknione po swéj tyczynie!
Tyka wspierała gałązkę chorą,
Janek dla pana sam był podporą:
Więdnieje, dręczon boleścią srogą,
Że nieść ofiary nie ma dla kogo,
Że już nikogo nie ma na świecie
Karmić i niańczyć, jak małe dziecię!
Po osłupiałéj Janka postaci
Możnaby sądzić, że rozum traci.
Wybladły, nakształt nocnego stracha,
Sam z sobą gwarzy, rękami macha,
Udaje bitwę, szykuje roty,
Śpiewa piosenkę dawnéj ochoty,
Niby wystrzela... i marzy Janek
O czarnych oczach młodych Hiszpanek,
O piękném niebie tamtejszéj strony;
I znowu inną myślą wiedziony,
Idzie na attak, prowadzi więźnie,
Woła o pomoc, że w śniegach grzęźnie,
Niby to wiezie pana w podróży,
Niby to panu w chorobie służy,
Albo prowadzi orszak grobowy...
Wtedy się skarży na boleść głowy,
Że tam szum jakiś, coś jęczy, brzęczy...
I już nastawał moment szaleńczy,
Gdzie nić rozumu w prężonym nerwie
Już się na zawsze starga i przerwie.
Ale w tym szumie, jęku i brzęku,
Inszy nerw życia drgnął pomaleńku:
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa.

Ale ten szelest, czy piosnki nóta,
To coś dawniejsza, coś niepopsuta,
Coś taka sama, jak to bywało
Echo w powietrzu rodzinném grało.
— „Tak... to powietrze rodzinnéj niwy,
„A to skowronek, zwiastun życzliwy,
„Tam szelest sosny, tam polnéj gruszy,
„A tam od łąki rożek pastuszy,
„A tam ze zbożem skrzypią woziska,
„A tam szczekają znajome psiska,
„Tam wóz plebana turkoce drogą...
„Boże, mój Boże! jakże mi błogo!
„Jakiś Ty dobry, Ojcze i Panie,
„Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!"
Uklęknął Janek, łzami się zalał,—
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swéj wioski i swojéj strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nótę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.
Już pan nie żyje—któż mu zabroni
Wrócić na starość do swéj ustroni?
Ludzie się dziwią, zkąd taka zmiana?
Zkąd ta przytomność niespodziewana?
Zkąd taki spokój na Janka twarzy?
Czemu sam z sobą teraz nie gwarzy?
W końcu się czując zdrowszy i żwawszy,
Zniknął, nikogo nie pożegnawszy;
Myślą, że poszedł po żebraninie,
I pamięć o nim we dworze ginie.

XVIII.

A on z tłomokiem, z wyniosłą głową,
Wybrał się w podróż ze stumilową.
Miał zapas grosza; lecz się nie lęka,
Że go obedrze zbójecka ręka,—
Bo w Słowiańszczyźnie cześć siwéj brodzie.
Zajdzie gdzieś na noc, spocznie w gospodzie,
I gdzie przed świtem, w porannéj głuszy,
Daléj w pośpieszną podróż wyruszy.

XIX.

W miesiąc od wyjścia, Janek szczęśliwy
Już był na wzgórku rodzinnéj niwy;
I jako pielgrzym, kiedy postrzeże
Jerozolimskie najświętsze wieże,
Upada na twarz—jakowaś siła
Janka na ziemię jakby rzuciła.
Zaśmiał się, krzyknął, łzy słodkie roni:
— „Otoż i wioska! otoż i oni!
„Otoż ja przy nich! otom u celu!
„O dobry Boże! o Zbawicielu!...“

Podniósł się, spojrzał z twarzą żałosną:
—„Gdzież nasza chata? tam drzewa rosną!
„Ojciec już umarł, umarła matka...
„Ależ brat starszy! ależ gromadka!...
„A gdzież kaplica? gdzie chatka stróża?...
„Gospoda nowa... a jaka duża!...

„Konie się pasą—niedzielna pora,
„A gdzież jest biały konik Hrehora?
„Musiał go przedać—źle zrobił... szkoda!
„Żwawy był konik... a krew nie woda...
„Zkąd się tu wzięły te nowe grusze?
„Dawniéj nie było—pamiętać muszę:
„Tam stała dawniéj po nad mogiłą. —
„Cóż się tam zawsze ptactwa gnieździło!...
„Biedny ja człowiek!... Boże kochany!
„Jakież tu zmiany! jakież tu zmiany!
„Gdzie stary olszniak? pod samym wjazdem
„Kto zrąbał olchę z bocianiém gniazdem?...
„A jakie zboża! patrzeć żałośnie;
„Toż to bywało w człowieka rośnie!...
„Strumień powężał—błoto na drodze...
„O nieszczęśliwy! co ja znachodzę!
„Gdzież moja wioska, drzewka i strugi?..."
Janek się zachwiał—i po raz drugi
Upadł na ziemię, płacząc boleśnie:
— „Och! dusza moja tutaj nie wskrześnie!"

XX.

Wszedł do gospody. Tam, jak w niedzielę,
Już się zebrało narodu wiele.
— „Dziewczęta, chłopcy... czy mi się marzy?
„Tu ani jednéj znajoméj twarzy!...
„Dobrzy wy ludzie!—spyta nieśmiało: —
„Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?

„Czy jestem we śnie?“ —
— „A waść kto taki?“—
Poczęły pytać wiejskie chłopaki.
— „Jam Janko Skiba—czyż mię nie znacie?
„Mieszkałem niegdyś w końcowéj chacie...
„Gdzież moja chata?“
— „Pijanyś chyba:
„W téj wiosce żaden nie mieszkał Skiba.“
— „Jak to nie mieszkał?—drugi odpowie—
„Słyszę, tu żyli dawniéj Skibowie,
„Ale wymarli,—pewnie ich niwa,
„Co Skibowszczyzna dziś się nazywa;
„Tam pustosz dworska.“
—„Gdzież Szymon Żłoba?“
— „Ten dawno umarł; synowie oba
„Żyją przy studni, tam, w nowéj chacie.
„Otoż i oni, jeżeli znacie.“
— „Nie znam tych twarzy!... A Piotr Siekiera?“
— „Ten jeszcze żyje, ale umiera:
„Starość nie radość, a śmierć na dziady!“
— „On był najmłodszy z naszéj gromady,
„Lubił tańcować!“ —
Tu śmiech bez miary:
— „Co się wam święci, żołnierzu stary?
„Toż on, już pewno dziesięć lat minie,
„Chodzi na szczudłach po żebraninie!“

Janek umilknął, — z pochmurném czołem,
Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,
I jak swych braci dobrze pamięta,
Pytał o chłopców i o dziewczęta.

Za każdym razem śmiech bez ustanku:
Bo tamci ludzie, rówieśni Janku,
Jedni pomarli, drudzy ztąd wyszli,
Nowéj gromadzie już ani w myśli;
A z tamtych dziewcząt gromady całéj
Dwie stare babki ledwie zostały.
Janek już nie śmie pytać o więcéj;
Krew w jego piersiach bije goręcéj,
Wychyli czarkę i gorzko duma:
Tu każdy brata, każdy ma kuma,
A on nikogo znaleźć nie może!
— „Oj życie, życie! pożal się Boże!“

Wtém jeden wieśniak, człek już niemłody,
Przyszedł ku niemu z końca gospody:
— „Panie żołnierzu! tutaj przy kwarcie,
„Muszę pomówić z wami otwarcie.
„Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?
„Czy, jak to mówią, drogi pytacie?
„Lecz, jak uważam, znana wam strona,
„Znacie nazwiska, znacie imiona.
„Czy wy ze Skibów który jesteście?
„Czy dawno z wioski?“
— „Już lat czterdzieście.“
Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:
— „A w Imię Ojca, Syna i Ducha!
„Szalony człowiek! jemu się zdało,
„Że znajdzie swoją gromadę całą!
„Piotr żebrak skacze ze starą Martą!
„A dalipanże, popatrzeć warto!
„Marta jedyna dzisiaj do pląsa!“

Tu stary Janek pokręcił wąsa,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichy,
Że aż skoczyły na nim kielichy,
I krzyknął męzkim z Austerlitz głosem:
— „Wara mi bluźnić! jam nie młokosem!
„Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
„Kto szydzi z Piotra—to wy kalecy!
„On (jeśli wierzyć) na nogę chromie;
„U was kalectwo znaczno widomie,
„Kalectwo w głowach!... Kto zbluźni Marcie,
„To go na rękę wyzwę otwarcie!
„To było dziewczę cnotliwe, piękne!
„Kto mi zaprzeczy, nic się nie zlęknę,
„Zbiję dziesięciu!...“

Młodzież pobladła.
— „To jakaś sztuka srodze zajadła!“ —
Pomruknął jeden, a drugi doda:
— „Uważasz, kumie! to krew nie woda!
„On tak dowodzi — i prawda może,
„Że stara Marta to dziewczę hoże...
„Niech i tak będzie, jeśli wypada.“

Kiedy tak z cicha szepce gromada,
Janek łzę otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarkę:

— „Dzieci wy, dzieci!
„Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
„Ta wioska dzisiaj inaczéj stoi.
„Z waszymi dziady dobrze się znałem,
„Z waszymi ojcy piłem, hulałem —

„Ja do nich pójdę... Héj! kto chce złota?
„Komu na cmentarz służy ochota,
„Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
„Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
„Do nich mi trzeba, do nich i kwita;
„Stary znajomy niech ich powita,
„Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni —
„A Janka Skibę poznają oni!
„Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
„Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
„Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
„Że wszyscy nowych chat gospodarze
„Z chleba i soli podarek biorą...
„Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
„A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie,
„Nowe mieszkania obrali w trumnie,
„Pójdę z podarkiem—będą mi radzi...
„Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?“
I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł, chyląc czarę:
— „Ja ci pokażę grobowce stare.“
Janek, kipiący i odmłodniały,
Wziął kufel miodu, kufel gorzały,
I z przewodnikiem, w znane rozdroże,
Na stary cmentarz śpieszy jak może.

EPILOG.

Nocował na cmentarzu,—a kiedy się zbudzi,
Rozpytywał po wiosce o dawniejszych ludzi;
Znalazł chorych dwóch starców, których zapamięta,
I dwie stare niewiasty—dawniejsze dziewczęta.
Przy nich szukał wytchnienia upragnionéj chwili,
Lecz i oni, jak wioska, strasznie się zmienili:
Życie wionęło chłodem do ich staréj duszy;
Jeszcze radzi pogwarzyć—lecz ich nic nie wzruszy;
Czas wyciska swe piętno i zarówno plami
Ich serce samolubstwem, jak czoło zmarszczkami.
Janko, co znał ich dusze w dawniejszym rozkwicie,
Co się cieszył z początku, że tleje w nich życie,
Gdy widział, jak ich postać zmienia się i karli,
Pożałował, że jeszcze i ci nie umarli.
I na zawsze zaniechał wdawać się z żywemi:
Jego świat, jego wioska, leżą w głębi ziemi!
Najął chatkę — i codzień, ledwie jutrznia świta,
On się zrywa z pościeli, o jadło nie pyta,
Zachodzi do gospody, bierze flaszkę miodu,
Aby z ludźmi, z którymi żyło się za młodu,
Przepić na ich grobowcach.—Tak codzień a codzień
Zawsze go na cmentarzu spotykał przechodzień;
A płocha kupa dziatwy, co przed starcem znika,
Nadała mu przezwisko *Janka Cmentarnika.*

Znano jego sukmanę i barki pochyłe;
Codzień *Janek Cmentarnik* idzie na mogiłę,
Klęka przed jakim krzyżem i miód z kufla chyli:
— „W ręce twoje, Hrehory! Pij wesół, Wasili!

„Czy pamiętasz, Hrehory? tyś był zuch do spółki!
„Służąc do mszy, jak wino piliśmy z ampułki?
„O! ja ciebie lubiłem, nazywałem swoim.
„Nieraz my z tobą, bracie, całą wioskę poim;
„Tyś ostatkiem z bliźnimi podzielić się gotów,
„Ale masz jedną wadę: skoryś do zalotów.
„A kochać, mój Hrehory, powiem rzecz otwartą,
„Mężczyznę, czy niewiastę — to niebardzo warto.
„Na dwoje babka wróży — w miłości, mój bracie,
„Albo zawód dla serca, lub żal po utracie.
„Ja przynajmniéj nie myślę pokochać na nowo!"
Tu Janko machnął ręką i pokiwał głową,
Odszedł i do drugiego grobowca się chyli:
— „Wasili! Czy ty słyszysz? Czy ty śpisz, Wasili!?
„Ty chciałeś być żołnierzem—zapalonyś nieco;
„Ty chciałeś widzieć wojnę, jak to kule lecą!
„Wiesz, Wasili? Ja byłem w hiszpańskiéj krainie,
„Byłem w Niemczech, w Smoleńsku, wszędy, gdzie krew [płynie!
„Czy ty wiesz? To niestraszno! Leci półk zuchwalczy,
„Wierząc w Boga i wierząc w to, za co się walczy,
„Kule zwyczajnie... lecą... no... może zabiją;
„Ale tego, kto wrócił z niezłamaną szyją,
„Jaką witają cześcią, jakiemi krzyżami!
„Szkoda!.. szkoda, Wasili, żeś ty nie był z nami!
„Przyniosłem miód dla ciebie,—w ręce, mój Wasili!
„Lecz prawda, tyś umarły—Janek sam wychyli.
„Nowe czasy nastały! Gdzie skryć się przed zgrają?
„Tutaj mię *Cmentarnikiem* ludzie nazywają!
„Bo cóż poradzisz sercu? Ja tu z wami gwarzę;
„Mój dom, kościół, gospoda—to wasze cmentarze.

„I u mnie w sercu cmentarz, my pokrewne trupy.
„Cóż za dziw, że wolimy schodzić się do kupy
„Niźli rękę żywego ściskać w bratniéj dłoni?
„My nie dla nich, Wasili, i nie dla nas oni!“

Tak od grobu do grobu, pijąc, plotąc baśnie,
Janek spłacze się — spłacze — i nakoniec zaśnie;
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo.
Lecz w rok po śmierci pana, pod cmentarną bramą
Znaleźli z kuflem w ręku już nieżywe ciało,
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało;
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra...
Ej ten *Janek Cmentarnik* — pocieszna figura!

1856. Borejkowszczyzna.

ILLUMINACYA.

WSPOMNIENIE Z DESZCZU.

Gawęda ludowa.

I.

Nastały nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!
Pochmurniały niebiosa, i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.

Po wilgotnéj przestrzeni grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obległa tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czém!

Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,
Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Zkąd? dokąd dąży?

O minionéj przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;
I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy?
Czy to łza z oka?

Zawstydziłem się płaczu, zamknąłem powieki —
Było mi ciemno;
I obraz zapomniany, miniony, daleki
Stanął przede mną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w téj chwili,
Noc, jesień, deszcze;
Tylko wtedy na sercu było jeszcze miléj
I raźniéj jeszcze.

U moich towarzyszów zamiar się ułożył
Jechać na łowy;
A choć zgoła na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.

Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko co trzeba:
Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
I kawał chleba.

I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę,
Skracamy chwile.
A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy do nitki, bo deszcz lał jak z kadzi;
Broń nasza moknie...
A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
Ze światła w oknie!

W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
Sprawił wieczerzę;
A gdy z myśliwskiéj flaszy raz i drugi stuknie,
Gawędził szczerze.

Matka jego, pomimo starości i bolu,
Postać nielada,
O nieświezkim przepychu, o księciu Karolu,
Cuda nam gada.

Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
Jeszcze z dziecięcia,
Kiedy Stanisław August, król pan miłościwy,
Odwiedzał księcia.

Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
Tamtemi pała, —
Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
I łzę wylała.

Powiastka skromna, prosta z wątku i osnowy,
Z łez i goryczy;
Powtórzę ją przed wami jéj własnemi słowy:
Słuchaj, kto życzy.

III.

— „Ot, co to! Książę Karol, można mówić śmiało,
Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
Takich rozkoszy.

Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
Jak był człek płatny.

Co szło ptactwa na kuchnię, co miodu, co wina,
A co kapeli!
Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
Gdy się podchmieli!

Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,
Szumią magnaci;
A za to biedny człowiek bolesno zapłacze,
Gorzko przypłaci.

IV.

Było to w drugim roku po mojém zamęźciu
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu
Wiódł życie skromne.

Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...
Mój mąż służył za stróża tuż przy Słuckiéj bramie,
W Arona domu.

W Nieświeżu, święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcéj;
Trzeciego czy czwartego jakoś listopada,
Patron książęcy.

Mąż pojechał... (nie pomnę), do Słucka, do Naczy...
Aha!... do Klecka;
A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy
Pociechy z dziecka.

Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,
Jak z nieba spada;
Ksiądz lektor bernardyński ochrzcił go Antonim,
Imieniem dziada.

Złoto — mówię — nie Antoś: te późniejsze dzieci,
Schowaj się z niemi!
Dziś spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci
W surowéj ziemi.

A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia
Wszystko odmieni.
Przyszła ospa — zwyczajna choroba dziecięcia,
Jak raz w jesieni.

No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie
Przebył swobodnie;
Ale na święty Karol nakazano w mieście
Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzęcych jak latarnia gore,
Tam bieży tłuszcza;
A rektor jezuicki pod wieczorną porę
Fajerwerk puszcza.

Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóztwie
Znalazłbyś pono;
A w mieście, jak mówiłam, przy każdém domowstwie
Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
Lampa na słupie,
I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
Pracują w kupie.

O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,
Spóźniłam trocha;
Musiałam zakołysać moje dziecko chore,
Mego pieszczocha.

A pamiętam, że była z ulicy na dole
Nasza siedziba.
Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
Aż pękła szyba.

—„Hejże stróżu! pal światło, jak raczył zalecić
„Pan burmistrz miasta!"
Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
Biedna niewiasta!

Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
Boli mię dusza!
Wtém przypada do izby, w plecy mię zacina
Sługa z ratusza.

Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
Wiatr ją zadyma.
Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
Tuż przed oczyma.

I krzyczy w niebogłosy, czernieje jak sadza,
Serce się kroi:
Chcesz pobiedz — ale tutaj ratuszowa władza
Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wicher ją gasi,
Mój słupek w ciemnie!
Pachołek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
Śmieją się ze mnie!

Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie!...
Ze łzą goryczy
Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
Najmocniéj krzyczy.

Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski
Mojego zucha —
Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski,
A matka słucha!...

Ale nie może śpieszyć: bo tu ogień gaśnie,
Pachołek strzeże...
O dwunastéj godzinie dały z armat właśnie
Zamkowe wieże.

Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna
Gości gromadka;
A tu ogień rozpala, opłakując syna,
Zbolała matka.

Z zamku przywożą beczki trojniaku starego
I wina stare,
I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biegą
Wychylić czarę.

A kiedy wszyscy krzyczą: *Vivat mości książę,*
W sukcesów drodze!
Ja do mojéj dzieciny, do kolebki dążę...
Trupa znachodzę!

A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia
Wspominał szczerze,
Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,
Mówiąc pacierze.

I długo, długo jeszcze dusza zapamięta
Te huki całe:
Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączęta,
W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono—nie zaś z czyjéj winy,
Broń Panie Boże!
Ale huczne przed laty były imieniny
W nieświezkim dworze.

1856. Borejkowszczyzna.

KRÓLEWSCY LUTNIŚCI.

OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI.

Interdum speciosa locis morataque recte
Fabula... valdius oblectat... meliusque moratur
Quam versus inopes rerum nugaeque canorae.
Horacyusz.

Zygmunt August, monarcha wsławiony,
Mąż Barbary, co Litwa dlań miła,
Chcąc odetchnąć po trudach korony,
Jechał w Litwę do księcia Radżwiłła.
Dumą polskich biskupów i panów,
Gwarem szlachty znękany zbyt srodze,
Miłém okiem powitał Kojdanów,
Słodko wytchnął po trudach i drodze.
Tu bez służb, bez poddańczéj obłudy,
Przyjął króla pokrewny — druh stary,
Starszy brat ubóztwionéj Barbary,
Kniaź Radziwiłł — co zwany był *Rudy*,
Chociaż brodę miał jasną jak złoto, —
Wzrok spuszczony, ściśnięte miał usta,
Był dla króla z litewską szczerotą,
Czcił i kochał Zygmunta Augusta;

Czuł Radziwiłł, że dzięki królowi,
Na swéj Litwie, jak zechce, tak zagra;
A że i głos rodzinny coś mówi,
Kochał w królu monarchę i szwagra.
Kornie spotkał na progach i w sali
Kornie spełniał królewskie wiwaty;
Lecz gdy dwór się na stronę oddali,
Kiedy poszli w wewnętrzne komnaty,
Toż to rzewnie ścisnęły się ręce!
Zapłakali monarcha i książę;
Za nic godła królewskie, książęce,
Jedno rzewne uczucie ich wiąże.

Przed upływem miesiąca nie daléj
Ich łączyły braterskie ogniwa;
Na książęcia z zazdrością patrzali,
Dusza króla tak była szczęśliwa!

Zygmunt widział w królewskim zaszczycie,
I już wolną od wrzasków potwarzy,
Cud-niewiastę, o któréj wciąż marzy,
Ubóztwioną, kochaną nad życie.
Już przed ludźmi pieszczona jéj ręka
Szyję króla oplotła, jak męża;
Przed Barbarą sejm polski uklęka,
Święta miłość już wrogów zwycięża.
W gwarnéj szlachcie, w senatu obradzie,
W cześć Barbary podają się wnioski.
Wielki prymas koronny, Dzierzgowski,
Na jéj głowę koronę już kładzie.
Lube szczęście, jak motyl skrzydlaty,
Przed oczyma Zygmunta migoce...

I znów, królu, twe życie sieroce!
Po nad trumną obliczaj twe straty.
Lubych oczu już zgasły zapały,
Już tam goszczą robacy zuchwali;
Słodkie usta, co k'tobie się śmiały,
Których jeszcze całunek cię pali,
Słowa *kocham* już więcéj nie rzeką;
Już twe szczęście daleko, daleko!
Nie przytulisz do piersi téj głowy,
Co jedynie o tobie marzyła;
Twoja luba z mogiły surowéj
Pożegnanie ostatnie przysyła.

Wnet zrozumiał Radziwiłł żal króla,
Przypomnienie bolesne, jak ostrze,
Jego serce przeszywa, rozczula,
I zapłakał Mikołaj po siostrze.
—„Strata—jęknął król Zygmunt—och, strata!
„I mnie książę, i ciebie tak boli!
„Łza małżonka i szczera łza brata
„Niech przynajmniéj się w jedno zespoli!“
I odeszli obadwaj w głąb sali,
Zasmuceni w jednakiéj żałobie;
Długo, długo wzdychali, szeptali,
Król coś mówił o zmarłéj, o sobie...
I nieprędki już byłby przestanek,
Lecz kniaź znudził królewskie rozpacze:
Bo inaczéj mąż wierny, kochanek,
A inaczéj po siostrze brat płacze.
—„Królu—rzecze—miłościw nasz panie!
„Dajmy folgę boleści, płaczowi;
„Wszak umarły z mogiły nie wstanie,

„Boleść sama się w sercu odnowi.
„Wszakże, królu, Opatrzność niebieska
„Po zmartwieniach nam ulgę przysyła.
„Wiem, że Wasza Dostojność Królewska
„Dźwięk muzyki dawniéj lubiła:
„Dworskie Włochy, królewskie śpiewaki
„Wespół z dworem przybyły w te strony;
„Niechże dadzą swéj sztuki oznaki,
„Niech pocieszą duch króla strapiony.“
—„Dobrze mówisz, mój książę!--król rzecze—
„Niech muzyka zagrzmi wspaniale;
„Ona serce ucisza człowiecze,
„Jak Aryon uciszał wód fale.
„Niech tu przyjdą nadworni lutniści,
„Ich głos miły był niegdyś Barbarze...
„Gędźba może w uroczym rozgwarze,
„Naszą duszę od zwątpień oczyści!
„Wiem, że ona tęsknotę odgania,
„Mam nielada lutnistów na dworze,
„Kędy jadę za sobą ich wożę;
„Alem dawno nie słyszał ich grania.
„Poprobujmy—a może się uda
„O nieszczęściu zapomnieć minioném.
„Przywołajcie Bekwarka z Klabonem!
„Niech muzyka pokaże swe cuda!“

I na krześle obitém bogato
Zasiadł Zygmunt dać ucho piosence,
I na stole zasłanym makatą
Oparł rękę, a czoło na ręce.
Weszli tedy dwaj mistrze kapeli,
Na królewskie skinienie gotowi,

I oddali pokłony królowi,
I opodal z lutniami stanęli.
Taktem męzkim, bojowym a skorym,
Pierwszy w struny Klabonus uderzy,
Który później pod chrobrym Batorym
Wyśpiewywał potyczki rycerzy,
Co w muzykę ubierał i stroił
Kochanowskich łacińskie kameny,
Pieśnią twardą, jak chrzęst karaceny,
Nieraz chrobrych rozkosznie upoił.
Energiczne a męzkie wyrazy,
Jak grad z piersi sypnęły śpiewaczéj,
Załoskotał po strunach trzy razy,
Zmieniał takty... inaczéj... inaczéj,
I przygrywka do pieśni gotowa,
I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

* *
*

Pieśń Klabona.

„Na niebiosach we dwie chmury
„Zahrukotał grzmot ponury,
„A na ziemi huf podwójny
„Porozwijał godła wojny.
„I dwie groźne mężów siły
„Czołem na się uderzyły,
„Ramię w ramię—broń dobyta,
„Po pancerzach pałasz zgrzyta;
„Już się ściele trupem niwa,
„Bardysz piersi rozkoływa,

„Setnym jękiem ryczą usta,
„Krew jak deszczem ziemię chlusta,
„Trąba zgrzyta, działo grzmoce,
„Mars zdobywa swe owoce.

„Znów się hufce rozdzieliły,
„Znów się zbiegły z całéj siły,
„I odżyła walka krwawa,
„Dym się kłębi i kurzawa,
„A z kurzawy bojowiska
„Tysiąc stalnych żądeł błyska,
„Tysiąc wrzasków kipi gwarnie,
„Że i ucho nie ogarnie.

„Lecz gwar ciszéj, ciszéj gada,
„I powoli kurz osiada,
„Dym ku niebu pobiegł śmiało,
„Bojowisko rozwidniało.
„Zwyciężeni trupem leżą
„Lub w niewolę wzięci świeżo,
„A zwycięzca, rad ze żniwa,
„Imię wodza wykrzykiwa.

„Na rumaku, jak śnieg białym,
„Z okiem jasném i wspaniałém,
„Z głową w wieńcach, w złotéj zbroi,
„Tryumfator szyki stroi,
„I przemawia do swéj rzeszy,
„I w rodzinne miasto śpieszy,
„By wawrzyny, co wziął w polu,
„Nieść na ołtarz Kapitolu.

. . . .

* * *

Zygmunt skinął, uciszył Klabona:
— „Dosyć — rzecze — dziękuję za pieśnie!
„Pieśnia rzymska, bogata, uczona,
„Lecz mi zawsze na sercu boleśnie.
„Nie trafiłeś do celu, Klabonie,
„Choć się bitwę opiewać udało!
„Bo kto walkę odprawia w swém łonie,
„Walk rycerskich dla niego za mało.
„Wojną trafiać do serca, co boli,
„Złe, śpiewaku, wybrałeś narzędzie!
„W państwach naszych, gdy Niebo pozwoli,
„Jeszcze wojny tak prędko nie będzie!
„My pragniemy braterskich sojuszy,
„Dla spokoju tych krajów, dla wzrostu.
„Ja chcę pieśni rzewniejszéj, co z duszy,
„Co do duszy przemawia po prostu!
„Ej, Bekwarku, lutnisto nasz miły!
„Ty, jak tuszę, ugodzisz w to snadno,
„By się dźwięki o serce odbiły,
„Aż nam chmury z nad czoła opadną!“
Więc Klabonus zawstydzon umilka,
Bekwark zasię swe struny kołycha.
Trącił w struny... wywołał brzmień kilka...
Piosnka drżała rozkosznie a z cicha.
Takt za taktem, a słowo po słowie,
Czułeś ciepło i życie w tém tętnie,
Niby wietrzyk zaszumiał w dąbrowie,
Albo serce westchnęło namiętnie, —
I przygrywka do pieśni gotowa,
I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

* * *

Pieśń Bekwarka.

„Nad mirtowe wonne gaje
„Pozłocisty księżyc wstaje
„I ułudne światła fale
„Porozrzucał okazale.
„Rzewny słowik w gęstéj knieje
„Szczebiotliwe tony leje,
„Śpiewa pieśnię miłowania
„I tęskliwą myśl odgania.
„Ciepły wietrzyk piersi wzdyma, —
„Pierś człowiecza nie wytrzyma,
„Musi westchnąć z całą siłą,
„Tam, gdzie sercu jego miło.
„Gdy zarzuci noc oponę,
„Jego serce rozmarzone
„Z wiatrem lecieć chce od ziemi,
„Puka takty słowiczemi,
„Rzewną pojąc się tęsknotką,
„W lubym dreszczu mdleje słodko.

„Z cieniów mirtu i oliwy
„Dolatuje odgłos tkliwy:
„Arkadyjskich dziecko dolin,
„Młodzian piękny, jak Apollin,
„Dłoń dziewczęcą dzierżąc w dłoni,
„Pieszczotliwie szepce do niéj.

. . . .

„Ona rada i nierada,
„Słodkim głosem odpowiada,

„To ze szczęścia westchnie z cicha,
„To młodzieńczą dłoń odpycha,
„To trwożliwie, to znów czuléj
„Ku ramieniu głowę tuli.
„Jéj opona lśni się biała,
„A źrenica iskrą pała,
„A jéj oddech ciepłem wionie,
„A jéj serce kipi w łonie.
„I dwa serca, słychać z dala,
„Niby jedna zdroju fala,
„Biją prędko, jednakowo...
„*Kocham!... kocham!*... jedno słowo
„Z ust obojga wyleciało.
„A Kupido ze swą strzałą,
„Ze swym łukiem i kołczany,
„Z po za mirtów niewidziany,
„Z lubym śmiechem, w liści gwarze,
„Przyklaskiwa młodéj parze.

* *
*

—„Dość!"—zawołał król Zygmunt niechętno—
„Źle wybrałeś twój przedmiot, nieborę:
„Twojéj pieśni, co życia gra tętno,
„Anakreon zazdrościłby może;
„Ale mnie, co na sercu żal noszę,
„Taka pieśnia — to tylko łzy wzmaga.
„Piać przede mną miłości rozkosze,
„To zniewaga, Bekwarku!... zniewaga!
„Znieważyłeś majestat monarszy,
„Boś się z jego urągał boleści.
„Czy myślałeś, że serce rozdarłszy,
„Balsam pieśni mą duszę rozpieści?...

„Idźcie sobie! gdy wasza pieśń taka,
„Nie chcę słuchać miłości i wojny!
„Czyż na dworze już nie ma śpiewaka,
„Który w sposób życzliwy, przystojny,
„Da mi ulgę w tęsknocie, jak z nieba,
„Ciężki kamień z méj piersi pokruszy,
„Wyrozumie, co sercu potrzeba
„I zadosyć uczyni méj duszy?“

—„Królu!—rzecze z ukłonem Radziwiłł—
„Próżno żądać rzewności od Włocha!
„Oni pragną, by słuchacz się dziwił,
„Serc litewskich nie znają ni trocha.
„Na domowe cierpienia i bole
„Pieśń domowa najlepiéj przystoi.
„Jest tu u mnie na dworze pacholę,
„W ukraińskiéj zrodzone wsi mojéj;
„Gra na starym słowiańskim torbanie;
„Różne pieśni wywodzi kozacze,
„Że mi nieraz łza w oczach postanie,
„A wiesz, królu — ja snadno nie płaczę!
„Pieśń niżowa, czy dumka litewska
„W jego uściech odżywa inaczéj.
„Może Wasza Dostojność Królewska
„Prostakowi swój posłuch dać raczy?“
—„Niechaj przyjdzie—rzekł Zygmunt—niech [przyjdzie!“
Przywołano pacholę do sali;
Zapłonione, w nieśmiałym zawstydzie,
Skłoniło się — stanęło w oddali.
Na skinienie książęcia i króla,
Torban zabrzmiał początek rozgłośny: —
Zda się w polu stepowy wiatr hula,
Szumią jodły litewskie i sosny,

Wyją w Tatrach pioruny i burze, —
I przygrywka do pieśni gotowa,
Młody wieśniak wzniósł oczy ku górze,
Przy torbanie zaśpiewał w te słowa:

* *
*

Pieśń Torbanisty.

— „Co ty orle jasnopióry
„Siedzisz na kurhanie?
„Zasępiłeś wzrok ponury,
„Jak słonko w tumanie?

„Twoje piersi, twoje silne,
„Jakbyś skuł niewolą,
„Jakieś dumki zamogilne
„W twojéj głowie bolą.

„Héj, młodzieńcze, héj, ochoczy!
„Czego tęsknisz z cicha?
„Zasępiłeś jasne oczy,
„Że łza nie wysycha.

„Twoje dumki, twe sieroce,
„Dumasz w każdą chwilę,
„Na mogile spędzasz noce
„I dni na mogile!“

„Orzeł mówi:—„Bym się cieszył,
„Czyż wy tego chcecie?
„Mnie orlicę strzelec przeszył,
„A ja sam na świecie!“

„Młodzian mówi:—„Co ja roję,
„Ani'm wyznąć w sile;
„Moja luba, dziewczę moje
„W ciemnéj śpi mogile!“

—„Och, nie dumaj tak głęboko,
„Orle jasnopióry!
„Och, młodzieńcze, otrzyj oko,
„Spędź z nad czoła chmury!

„Kto wywyższon nad drugiemi,
„Kto ma orlą postać,
„Choć mu tęskno na téj ziemi,
„Musi orłem zostać.

„Bo któż wzleci tak wysoko
„Dla powietrznych straży?
„Któż ze słońcem oko w oko
„Spotkać się odważy?

„Kto skrzydłami mgłę rozwieje?
„Kto się w chmurę wgłębi?
„Kto obroni ptactwo z knieje
„Od szponów jastrzębi?

„Héj, młodzianie! nie płacz dłużéj,
„Choć ci żyć mozolno!
„Póki młodość święta służy,
„Marnieć ci niewolno!

„Bo od kogoż matka stara
„Weźmie dług synowski?

„Kto obroni od Tatara
„Chaty naszéj wioski?

„Kto napasie twoje woły?
„Kto ci zeżnie zboże?
„Zwiezie snopki do stodoły?
„Kto ci grunt zaorze?

„Twoja luba nie w mogile,
„Lecz wysoko w niebie:
„Ona będzie tam co chwilę
„Modlić się za ciebie.

„Gdy się znużysz w dzień upalny
„Lub na mroźnym wietrze,
„Ona, jak duch niewidzialny,
„Z czoła pot obetrze.

„Orle, sprawiaj ptasze stada!
„Wiosce służ, młodzianie!
„Na tęsknotę jedna rada:
„Trud i bojowanie!"

„Orzeł z piórek kurz otrzepie,
„Młodzian pancerz bierze;
„Orzeł w chmurach, młodzian w stepie
„Bojowali szczerze.

„Trud niemały, plon niemały,
„Odżyli nanowo;
„Teraz świeci słońce chwały
„Nad obudwu głową."

* * *

—„Dzięki tobie, chłopaku, o dzięki!
„Dzięki tobie, piosenko rodzona!“ —
Mówił Zygmunt, twarz tuląc do ręki,
Drugą rękę przycisnął do łona: —
„Ty mi ulgę przyniosłeś, jak z nieba,
„Ciężki kamień na sercu się kruszy;
„Tyś zrozumiał co sercu potrzeba,
„Tyś uczynił zadosyć méj duszy.
„Takiéj pieśni, jak świętéj modlitwy
„Dobre słowa, skutkować powinny;
„Bo zaprawdę! król Polski, kniaź Litwy,
„Nie ma prawa rozpaczać bezczynny.
„Jedźmy słodzić tęsknotę mogilną,
„Ciężkiéj pracy dźwigając brzemiona;
„Jedźmy, książę! tam Kraków, tam Wilno,
„Wielka ziemia monarchy stęskniona.
„A gdy trudy i prace bez miary
„Znużą siły na niwie ojczystéj,
„Może z niebios dłoń lubéj Barbary
„Z mego czoła pot otrze kroplisty.“

* * *

I odgarnął włos jasny na czole,
Tam już było pogodnie i jasno;
Zadziwione pogląda pacholę,
Nad piosenką zdumiewa się własną;
Nie pojmuje zkąd taka odmiana
Królewskiego pięknego oblicza?

A król hojnie nagrodził młodziana,
Kiesę złota za piosnkę wylicza.
Kniaź Radziwiłł weseléj, ogniściéj,
Tryumfalniéj poglądał po sali.
Tylko Bekwark z Klabonem, lutniści,
Coś szyderczo do siebie szeptali.

10 Października 1856. Borejkowszczyzna.

NOCLEG HETMAŃSKI.

GAWĘDA NA TLE HISTORYCZNÉM.

„Wszakoż czasu wojny siła zależy na onéj ro-
„zumnéj śmiałości, która z wielkiego serca pochodząc
„a wykorzeniając z człowieka przyrodzone doległości
„i myśli stroskane, tak go umocnić może, iż nietylko
„się nie lękać niebezpieczeństwa, ale go sobie ani
„kęs ważyć nie będzie.“

Górnicki — *Dworzanin.*

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Było to dawno — lat temu ze trzysta,
Za świetnych czasów Zygmunta Augusta,
Gdy pięknie kwitła ziemia macierzysta,
A w niéj nauka, cnota i rozpusta,
I brzydki zbytek, i nędza, jéj dziecię,
Słabość, co sile służy za narzędzie:
Słowem, to wszystko, co na całym świecie
Po wszystkie wieki bywało i będzie.

II.

Zimowych wichrów niedobra swawola
Ciężkiém śnieżyskiem osypała pola;
W lasach ucichła ptaszęca pogłoska,
Ciążą w ich gniazdach lodowate bryły;
Zielona jodła, leszczyna i brzozka
Każdą gałązkę śniegiem ubieliły;
Opadły z liśćmi rozkoszne ich cienie,
A srogi wicher urąga się jeszcze,
W zlodowaciałe gałęzie szeleszcze
I wywoływa płaczliwe jęczenie.
Lecz nikt nie słyszy, gdzie się skarga miota,
Bo w okolicy pustka i głuchota;
A choć dym z wioski zwija się po lesie,
Tam wiatr żałosnych jęków nie doniesie.

III.

Na pustém polu, gdzie kończy się ścianka,
Samotna chata stała, jak wygnanka.
Dach jéj podparty, śniegiem przygnieciony,
Ściany pochyłe, pobite okienka;
A przy ogródku dwa zamarłe klony
I stara grusza boleściwie stęka;
Stara stodoła, obora, dwa śpichrze,
Z dachem ze staréj i podartéj słomy;
A wszystko nędza, jak duch niewidomy,
Pookrywała w łachmany najlichsze.
Smutnie coś sterczy przy pochyłéj ścianie
Żóraw od studni i gniazdo bocianie.

Pochyły krzyżyk z łacińskiemi słowy
Oszkliła lodem, zaśnieżyła zima.
W téj staréj chacie żył szlachcic Sulima,
Nad pańskim lasem odwieczny gajowy.
I wewnątrz chatki niewielkie dostatki:
Na czarnéj ścianie gromnica się bieli,
Kraśnieje obraz Przenajświętszéj Matki
I sucha palma od Kwietniéj niedzieli;
Srebrzy się kilka cynowych talerzy,
Topór i oszczep połyska się rdzawy,
Przy ścianie ławy i stół wedle ławy,
Na stole obrus bieluchny i świeży,
Na nim, folgując zwyczajowi gwoli,
Bochenek chleba i naczynie soli.
Przez wązkie okna chmurny dzień zimowy
Szarą źrenicą patrzy do chałupy;
Po kątach cienie, jak grobowe słupy,
Coraz to śmieléj wyciągają głowy,
Coraz to skrzydła rozpuszczają szerzéj,
Jak czarne błony nocnych nietoperzy.
W chatce ruchawo: z szerokiéj łuczywy
Strużą szabelki dwaj chłopacy młodzi;
Przy oknie starzec, pochyły a siwy,
Pobożne pieśni z psałterza wywodzi;
Przy drugiém oknie jego piosnkę dzieli
Młoda niewiasta, siedząc przy kądzieli.

IV.

Zmrok coraz gęstszy po komnacie pada,
Już się skończyło śpiewanie i praca,

Młoda niewiasta trwożliwie powiada:
— „Co to jest, dzieci, że ojciec nie wraca?
„Wyszedł na chwilę zapolować w borze,
„A tu już mija niejedna godzina,
„Zachodzi słońce i ciemnieć poczyna,
„I brzydka zamieć wszczyna się na dworze.“
—„Nie bój się, córko!—starzec jéj odpowie,—
„To nie pierwszyna dla takiego człeka;
„Gdzieś może sarnę obsadził w parowie,
„Albo na lisa przy zapadni czeka.
„Héj, héj! za młodu i ja to umiałem
„Nocować w lesie nad ostępu smugą,
„Albo, łowieckim uniesiony szałem,
„Odsadzić z domu za milę, za drugą.
„I syn mój nieraz, choć dziecina młoda,
„Placu dotrzymał wśród najtęższéj zimy;
„Bo w naszym rodzie płynie krew nie woda,
„Z pustemi torby wracać nie lubimy.
„Jak świat pamięta, w odwiecznéj kolei,
„My tu niejedną deptaliśmy ścieżką:
„Syn mój Żegota, a twój mąż, Agnieszko,
„To szósty z rodu gajowy w téj kniei.
„Lat już ze dwieście, chwalić Pana Boga,
„Domowi Kiszków niesiemy usługi,
„Szlachtaśmy z wieków, choć nędzna, uboga,
„Lecz herb Sulima nie gorszy niż drugi.
„I o têm wiedzieć powinnaś za wczasu,
„Jaka jest nasza ustawa rodzinna:
„Że kiedy głodni powracamy z lasu,
„Misa na stole dymić się powinna,
„I flasza z winem, miodem i gorzałą,
„Wedle ochoty, albo na co stało.“

V.

Tak z uroczystém pokiwaniem głowy,
Składając psałterz na sczerniałéj balce,
Stary Sulima mówił do synowéj,
Z czego się śmieli serdecznie dwaj malce.
Jeden z nich mówił, pocieszając szczerze:
—„Ej, matko, matko! nie frasuj się, proszę,
„A ja wam drzewa i wody nanoszę,
„Rozpalim ogień, zgotujem wieczerzę;
„Gdy ojciec wróci i opończę zdejmie,
„I łuk, i oszczep powiesi na ścianie,
„Toż będzie wesół i wdzięczen uprzejmie,
„Kiedy wieczerzę gotową zastanie!“
Matka chłopczynę pogłaskała rada:
—„Przynieś mi, chłopcze, wodę i polanka.
„Nie prawdaż, ojcze, że zuch będzie z Janka?
„Że będzie z niego gospodarz nielada?“
Drugi chłopczyna, który dotąd milczy,
Rzekł: — „Ja wam ojca przyprowadzić muszę.
„Tam za rzeczułką, gdzie wioskowe grusze,
„Wiem jedno miejsce, kędy przesmyk wilczy.
„Pewnie tam ojciec, za drzewem schowany,
„Ze swym oszczepem czeka na bestyę.
„Dajcie mi, dziadku, maczugę ze ściany,
„Jak spotkam wilka, to mu łeb rozbiję!“
Dziad się uśmiechnął twarzą i oczyma,
Małego zucha całuje i głaska:
— „Hoduj się, chłopcze! jeśli boża łaska,
„Ty będziesz dzielny Hrehory Sulima!
„Może zostaniesz, jak twoi przodkowie,

„Może twój oszczep na prawdę dobodzie
„Tatara w stepie, a dzika w parowie,
„A Niemca w jego murowanym grodzie;
„Gdy my lat tyle gnuśniejemy w lesie,
„Ty może pójdziesz na kraju usługę.
„Bóg cię błogosław! gdy ci pilno chce się,
„Biegaj do lasu, bierz moją maczugę,
„Wyszukaj ojca w ostępowéj głuszy
„I wilka tutaj przyprowadź za uszy.“
—„Ach!—przerwie matka—a bójcie się Boga!
„Gdzież to mu latać, po śniegu, po nocy?“
Ale Hrehory nie słyszał u proga,
Porwał maczugę i ruszył, jak z procy.
Tylko przed okny zatętniwszy żywo,
Zakolędował piosenkę myśliwą.

VI.

Tymczasem matka, przy pomocy Janka,
Przystawia wodę i ognisko nieci;
Dziad zasiadł stare naprawować sieci,
Bo szedł na rybę jutrzejszego ranka.
Tylko coś płomień leniwie się bierze,
Wiatr go zadyma od chwili do chwili,
Huczy w kominie żałośnie i kwili,
Jak dusza z czyśca prosząc o pacierze;
A wieczór ciemniéj i ciemniéj koleją
Zakrywa szyby swoją szarą dłonią,
A płachty śniegu po szybach się kleją,
A bryły lodu po okienkach dzwonią.

VII.

Wtém słychać z dala—zaskrzypiały wrotka,
I psów myśliwych zrywa się gromada,
To szczerym piskiem domowego spotka,
To gniewnym głosem na obcych ujada;
I na podwórku słychać tuż przy ścianie
Tętnienie koni i ludzi gadanie.

VIII.

Stuknięto w rygle—i drzwi pochylone
Skrzypnęły z trzaskiem, jakby od wyłomu,
Chatni mieszkańce cofnęli się w stronę:
Gość niebywały zjawił się do domu.
Zawiany śniegiem, w bogatéj niedźwiedni,
W soboléj czapce, zjawił się pan stary:
Złociste klamry u jego czamary,
Jakich wieśniacy nie widzieli biedni;
A w jego ręku pozłocista spisa,
A biała broda na piersi mu zwisa.

IX.

Za starym panem dwaj młodzi panowie,
O ile ciemność rozeznać pozwoli,
W krótszych czamarach z kosztownych soboli
I z blaszanemi czapkami na głowie.
Wszedł i Sulima, tutejszy gajowy,
Z trąbką przez plecy, z oszczepem we dłoni;

Zaprasza panów uprzejmemi słowy,
I uniżenie każdemu się skłoni:
—„Ot moja chata, miłościwe pany!
„Choć ciasna, ciemna i ubóztwem świeci,
„Lecz zawżdy lepsze jakiekolwiek ściany
„Niż kryta puszcza wśród śnieżnéj zamieci.“
Pan zdjął swój kołpak i rękę mu poda,
I sute klamry swéj szuby odpina:
—„Miła mi—rzecze—takowa przygoda,
„I wielce wdzięczna uprzejmość waścina.
„Co do wygody... ho! jam żołnierz stary,
„Wiem, co są w polu zamiecie zimowe.
„Gdy zasnąć pilno, nie trzeba kotary,
„Burka za pościel, a siodło pod głowę.
„U mnie w obozie—a broń Panie Boże!—
„Miększy spoczynek nie ujdzie na sucho:
„Sarmacki żołnierz tylko zasnąć może
„Na jedno oko i na jedno ucho.
„Oczu i uszu nie zakrywać dłonią,
„Bo trzeba słyszeć, jak w trąbę zadzwonią.
„Czy prawdę mówię, mnie wielce łaskawy
„Regimentarzu koronnéj buławy?“
Drugi pan nizko skłonił się i powie:
—„Za to śpią smaczno i miasta, i wioski;
„Wiedzą, że czuwa, pilnując ich zdrowie,
„Hetman koronny, waleczny Tarnowski.
„Czuwaj nam wieki, a nikogo z ludzi
„Tatar swym wrzaskiem ze snu nie obudzi!“

X.

Na głośne imię wielkiego hetmana
Wstecz się cofnęła domowa gromadka,

Starzec Sulima przypadł na kolana
I z siwéj rzęsy łzę otarł z ukradka.
Młody syn jego, tutejszy gajowy,
Cofnął się k'ścianie i stanął z daleka,
Jako na straży żołnierz szeregowy,
Gdy hetmańskiego rozkazania czeka.
W kąt się cofnęła strwożona małżonka,
A mały Janek uciekł do komory;
Tylko do pana zbliżył sią Hrehory
I w jego szablę poufale brząka.

XI.

Lecz już panowie zrzucili swe szuby,
Błyszczą w zbroicach, z bohaterską twarzą.
Gospodarz, pełen obawy i chluby,
Pyta się gości, czém służyć rozkażą?
—„Krom twego serca a uprzejméj woli,
„Już nam inakszéj służby nie potrzeba;
„Daj nam bochenek razowego chleba
„I szarą szczyptę potłuczonéj soli.
„Żołnierskie dzieci, ja i ci ichmoście,
„Tośmy na takie specyały mistrze;
„A flasza wina, co na Węgrzech rośnie,
„Jeszcze się znajdzie w żołnierskim tornistrze.
„Na wiązce siana albo na wiszarze
„Odprawim sobie wypoczynek krótki.
„Niechaj trębaczom pan rotmistrz rozkaże
„O pierwszych kurach zagrać do pobudki.
„Niech towarzysze i żołdacy luźni
„Opatrzą konie, czyli wszystkie zdrowe?

„A który zgubił lub stępił podkowę,
„Niech go opatrzą w chorągiewnéj kuźni;
„Niechaj żołnierstwo od wioskowych ludzi
„Nic nie wymaga, ni prośbą, ni siłą.
„Zamknąć gospodę, nim się dzień rozbudzi,
„By tam hulanki i waśni nie było.“

XII.

Takie pan hetman dawszy rozkazania,
Trzy razy ręką uderzył po stole.
Wódz chorągiewny pokornie się kłania
I wyszedł na wieś spełnić jego wolę.
Tarnowski został wraz z regimentarzem;
Słudzy przynieśli posiłek i wina.
Jeszcze niespełna upływa godzina,
Hetman brat za brat zna się z gospodarzem;
Każdemu słówko serdeczne powiedział,
I kubek wina posilnego nalał.
Zatarł się pana i nędzarza przedział,
Tarnowski wszystkich z sobą spoufalał,
Wszystkich ośmielał, téjże saméj pory;
Kocha go cała gajowego chatka:
I dziad sędziwy, i ojciec, i matka,
Trwożliwy Janek i dzielny Hrehory.

XIII.

Na skromną pościel dla dostojnych gości
Wiązkę murogu posłano na ziemi;

Służba hetmańska wezgłowia namości,
Zaścieła siano skóry lamparciemi;
A gospodarstwo — w pobocznéj komorze
Do snu błogiego mieści się, jak może.
A gdy sen wszystkie ukołysał głowy
Miłém znużeniem pracy i podróży,
Hetman śnił wojnę i rozgwar sejmowy,
Miłą ojczyznę, któréj wiernie służy;
Pan regimentarz hetmańską buławę,
Lub może taniec tatarskiego harca;
A wszyscy chatni, od dziecka do starca,
Śnili hetmana przyjęcie łaskawe.

XIV.

Czy to w pokoju, czy to podczas bitwy,
O pierwszych kurach na pobudkę grano.
Hetman z pościeli ocykał się rano
I rozpoczynał żołnierskie modlitwy.
Wiedział: zkąd siła bojowania czerstwa?
Jak mocna wiara zastępy rozbija?
Znał, że jest wodzem polskiego rycerstwa,
Którego hasłem Jezus i Marya.
A że najsilniej sprawiedliwość święta
Wojsko od gniewu bożego zasłania,
Więc baczny hetman codziennie pamięta
Czynić swe sądy, dawać posłuchania.
Czy to w namiocie, czy w spokojnéj chwili,
Każdego ranka ma tłumny zbiór gości;
A kto hetmańskie podwoje uchyli,
Już nie odejdzie bez sprawiedliwości.

Jak dobry ojciec, nie lęka się pracy,
Każdego wpuszczać po kolei każe:
I półkownicy, i regimentarze,
I ćhorążowie, i prości żołdacy,
Każdy, kto przyszedł, nie będzie poślednim,
Może swą sprawę wyspowiadać przed nim.
Ale najpierwéj, najuprzejmiéj spotka,
Kto mu się widzi najbiedniejszym z rzeszy,
Płaczącą wdowę, skrzywdzonego kmiotka
Sprawiedliwemi wyroki pocieszy.

XV.

Biada, kto skrzywdził, kto zasiał niesnaski!
Zaraz najsroższe ukaranie bierze:
Serce hetmana w jednostajnéj mierze
Skłonne wymierzać łaski i niełaski.
„Kiedy był srogi, to skry sypie z oka,
„Kark się napręża, krew na twarz wypływa,
„Gromem wybucha jego pierś szeroka,
„Włos mu się jeży, jak gdyby lwia grzywa.
„Lecz gdy przybierze oblicze łaskawe,
„Tak miłe oczy, tak wdzięczne ma słowa,
„Że rzekłbyś, patrząc na jego postawę:
„To anioł z nieba, a nie pan z Tarnowa!
„Kiedy był wesół, to celował w żarcie
„Między najpierwsze żartowniki dworu;
„A kiedy, wedle pańskiego humoru,
„Używał gestów na swych słów poparcie,
„Ręką i głosem udawał tak składnie
„Postać, i ruchy, i mowę swych osób,

„Że kto usłyszy, od śmiechu się kładnie;“ —
Że podziwieniu odjąć się nie sposób,
Jak w jednym człeku Bóg tyle rozdmucha
Rozumu, serca i swobody ducha?

XVI.

Znowu na hasło surmy uderzyły
Po wszystkich wioskach, gdzie wojskowe leże;
Snem i modlitwą pokrzepiwszy siły,
Znów się rycerstwo do pochodu bierze.
Już świt szarzeje, już widno na drodze,
I las zamglony czernieje z oddali.
Wołają: „*Na koń!*“ chorągiewni wodze,
Surmacze pieśnię pochodu zagrali.
Na czele wojska idą przednie straże,
W każdym szeregu po sześć i po cztery;
Każda chorągiew, jak powinność każe,
Wedle hetmańskiéj przeciąga kwatery.

XVII.

Pod namiestników i chorążych wodzą,
Stoją hussarze, pancerni, łucznicy,
Surmacze grają takt *Bogarodzicy*,
Rycerze słowa piosenki wywodzą.
Pieśń płynie w niebo z pobożnemi słowy
Błogosławieństwo wybłagać dla broni.
Łoskot oręża i końskiéj podkowy
Po śniegu tętni, i chrzęści, i dzwoni.
Tam rumak parska, tam skrzypi kolasa,
Tam wódz z rozkazy wstecz i naprzód hasa,

A trąba zbiera te wszystkie rozgwary
Pod jedne takty i do jednéj miary.

XVIII.

Na czele pierwszéj wyborowéj straży,
Na źrebcach bielszych niż zimowe śniegi,
Idzie chorągiew hetmańska hussarzy,
Sam regimentarz wiedzie jéj szeregi;
A na chorągwiach nad ich głową pływa
Znamię Tarnowskich, herbowna Leliwa.
Na długiém drzewcu u każdego człeka
Mały proporczyk z wiatrami się chysta;
Świetne pancerze błyszczą się z daleka,
U ramion skrzydła, lub blacha srebrzysta;
Na jasnym hełmie, albo złota pręga,
Lub końska kita, albo strusie pióro,
Głowa Meduzy patrząca ponuro,
Albo gadzina skręcona jak wstęga;
Przez ramię męża bohatersko zwisa
Skóra lamparta, lwa albo tygrysa.
Po za chorągwią wielkiego hetmana,
Pod różnych panów znakomitą wodzą,
Insze hussarskie chorągwie przechodzą.
Owdzie w rumakach, tam w hełmach odmiana,
Albo twarz ludzka odmianę wydaje,
Tam barwą włosów, tam oczu wyrazem;
Bo się pod sztandar zgromadziły razem
Szerokie rzeczypospolitéj kraje.
Barczysty Rusin z ukraińskiéj strony,
Co w czarném oku błyskawicą pała;

Kudłaty Litwin, na siodle schylony,
Cichy, jak skała, i twardy, jak skała;
Daléj koronne, pełne ognia dzieci,
Wielkopolanin i góral tatrzański;
On pierwszy sygnał zrozumie hetmański
I w pierwszy ogień na oślep poleci,
Lecz kiedy skrzydła w podlocie nadłamie,
Radby się oprzeć o litewskie ramię.
Bo gdzie szerokie w dzierżeniu są kraje,
Tam wedle plemion różne dary boże;
A czego jednéj ziemicy nie staje,
To druga ziemia wynagrodzić może:
I na skinienie wszechmogącéj myśli
Z rozlicznych cząstek powstaje rodzina,
W jedyną całość zrasta się najściśléj,
I jedném sercem oddychać poczyna,
I wspólną dolę, niedolę, nałogi,
Wspólnych przyjaciół i wspólne ma wrogi.

Gdy hetman z okna szykowne hussarze
Przejrzał i sprawił wedle swojéj chęci,
Idą poślednie Petyhorców straże,
Z drzewcami włóczeń, tarczmi osłonięci.
Daléj pancerni — jak duchy z pod ziemi,
Ich piersi, głowa i twarz cała w blasze;
Rękami, w łuski żelazne kutemi,
Dzierżą stalowe noże i pałasze.
I na ich koniach zbroica ze stali,
Że patrząc z dala przy promieniach wschodnich,
Takie promienie i blask bije od nich,
Że niby jeździec i rumak się pali.
Daléj piechota — teutońscy męże,

Co służą wojsku polskiemu za najem,
Zbrojni w oszczepy, miecze i pawęże,
Tarczę do tarczy gdy przycisną wzajem,
Żadnego człeka nie widzisz na oczy,
Lecz mur żelazny, co za wojskiem kroczy.

XIX.

Z okien strzeleckiéj zadymionéj chaty,
Gdzie świec jarzęcych paliły się szczęty,
Patrzał na wojsko wódz siwy, brodaty,
Cieszył się orzeł swojemi orlęty:
Szykowna była piechota i jazda...
Rumieniec wyszedł na twarz jego bladą,
Zdawał się mówić: — „Już leć, młode stado,
„Bronić od sępów matczynego gniazda!
„Któż cię nauczy bojowych podlotów?
„Kto zahartuje ostrze twego dziobu?
„Krew moją z wami przelewaćbym gotów,
„Alem ja stary — czas kościom do grobu.“
Tak zda się hetman w głębi ducha marzy,
Jeżeli sądzić po spojrzeniu łzawém.
Odgarnął łezkę sobolim rękawem,
Łaskawy uśmiech zagrał mu na twarzy.

XX.

Pańskie spojrzenia miłościwie biegą
W około skromnéj chaty gajowego;
Lecz nie czekając, aż je pan ośmieli,
Tam wszystkie kąty już weselem brzmiały,

Wszyscy do okien, do drzwi się cisnęli
Zobaczyć wojska pochód okazały.
Starzec Sulima, patryarcha rodu,
Patrzał oparty na okiennéj ramie,
Przypomniał swoją żołnierkę za młodu
I wylał łezkę, co uczuć nie kłamie;
Łezka po zmarszczkach toczy się nieśmiało
Na siwe wąsy i twarz ogorzałą.
Gajowy, mając u nóg swoich psiarnię,
Patrzał z boleścią na te lasy cudze,
Jakby się wstydził, że dni tera marnie,
Mogąc ich użyć w ojczystéj posłudze.
Błagał spojrzeniem hussarskie skrzydłacze:
—„Weźcie mnie, bracia, pod wasze proporce,
„A ja się jeszcze poczciwie odznaczę
„Wpośród pancernych, między petyhorce!"
Uśmiech na twarzy młodéj gospodyni,
Nawpół zdziwiony, a nawpół wesoły:
A młody Janek, nie wiedząc, co czyni,
Czepiał się trwożnie macierzyńskiéj poły.
Mały Hrehory, stojący na dworze,
Nic okrom wojska nie widzi, nie słyszy,
Oczu od hufców oderwać nie może,
Wyciosał kijek w kształcie ich bardyszy;
A gdy obaczył, jak u wrót zagrody
Rumak hetmański kopytami bije,
Żywo skraśniały dziecinne jagody,
I klaskał w ręce, ściskał go za szyję,
To snopkiem owsa, to garsteczką siana
Pieścił, przynęcał wiernego kasztana.

XXI.

Takie się chłopię hetmanom spodoba.
— „Umiesz ty jeździć?“ — zapytuje zucha.
— „Czy umiem jeździć? najłatwiejsza próba!
„Koń Bóg wie jaki zaraz mię posłucha.
„Czy umiem jeździć? obaczyłbyś wasze,
„Jak ja na polu zająca dogonię!
„Któż naszą klaczkę prowadzi na paszę?
„Któż tu objeżdża ostępy i błonie?
„Kiedy ja świsnę, to aż iskry lecą!
„Tylko, że klaczka chromieje nam nieco...“
Więc hetman wesół skinął na luzaka:
— „Dajcie mu konia, niechaj nas przekona.“
Hrehory spojrzał, jakby lotem ptaka
Wskoczył na siodło, poprawił strzemiona,
I naprzód stępo a z wolna przeznawszy,
Z jakim rumakiem przychodzi robota,
Coraz puszczając w pęd żwawszy a żwawszy,
Mistrzowskim kręgiem zawinął u płota.
Choć stracił czapkę, porozwiewał suknie,
Krew polska w sercu zakipiała młodém;
Chciał lecieć daléj — lecz hetman ofuknie:
— „Waszmość mi konia zmęczysz przed po-
[chodem!“
Wieśniak pokraśniał, zeskoczył ze siodła,
Chciał się napieścić z olstrami, z czaprakiem;
Ale go matka przywołała znakiem
I z pogróżkami na stronę odwiodła.

XXII.

—„Przebaczcie, matko, nie strofujcie dziecka!—
Powiedział hetman z łagodnym uśmiechem: —

„W młodéj dziecinie zapał nie jest grzechem,
„Znać, że się burzy bujna krew szlachecka!
„Rycerskich dzieci to zwyczajna koléj.
„Co miało gnuśnieć, niech burzy się woléj.
„Tu w lasach waszych nie szukać mu chleba;
„Niechby się okrył dostojniejszą chwałą:
„Rzeczpospolitéj silnych rąk potrzeba,
„I serc gorących potrzeba niemało.
„Wiecie co, matko? ja lubię to chłopię:
„Silną ma rękę i serce gorące.
„Ja go powiodę po piękniejszym tropie,
„Niżby po kniejach miał tropić zające.
„Czy chciałbyś, chłopcze, kiedy król rozkaże,
„Dosiąść rumaka, ot jak ten bułany,
„Odpierać Turka od koronnéj ściany,
„Tropić Tatara na podolskim jarze?
„Czy chciałbyś, pytam?“
Hrehory z ukradka
Spojrzał na konie, na ojca, na dziada,
A choć mu z dala pogroziła matka,
Do nóg hetmańskich z dziękczynieniem pada.
Dziad rozczulony klęknął u drugiéj nogi:
—„Czołem ci, panie, czołem niech uderzę!
„Żeś, nawiedzając nasz domek ubogi,
„Raczył nam wskazać, że i my rycerze.
„My stara szlachta, w łowieckiéj zabawie
„Nędzą przykuta do leśnéj trzebieży,
„Od dwóch pokoleń zapomniała prawie,
„Co święcie od nas krajowi należy.
„Weź mego wnuka, koronny hetmanie,
„Dzielić z rycerstwem mrozy i upały!

„Niech się krajowi pożytecznym stanie
„I krwią oczyści nasz herb zaśniedziały!“

XXIII.

Tarnowski starca uściskał za szyję,
W pogodne czoło ucałował wnuka.
Matce choć serce boleściwie puka,
Ojcu na oczach chociaż łza się wije,
Daremna rada i krótkie wybory:
Przywiedli konia z wojskowych bagaży,
Wskazano miejsce — i młody Hrehory
Wziął posterunek przy pośledniéj straży.
Hetman mu przyrzekł rynsztunek i zbroję;
Tymczasem w prostéj i lichéj czamarce,
Śpiesząc wojenne dokazywać harce,
Mimo łzy matki, ojca niepokoje,
Całował ojca, i matkę, i brata,
I brodę dziada bieluchną, jak mleko, —
I jużby dusza młodzieńca skrzydlata
Chciała ulecieć daleko, daleko!...

XXIV.

Zagrano sygnał: — w pokoju czy w wojnie,
Hetman na hasło wojenne nie drzemie;
Chatę Sulimów udarował hojnie,
I chrobrą nogę stawiając we strzemię,
Święcie przyrzekał na godność rycerza
Być Hrehoremu pomocą i radą...
Ale już trąbka powtórnie uderza,

Czas się połączyć z wojskową gromadą.
Każdy rumaka ostrogami spina,
I dziarskim kłusem ruszyli za wrota;
A nad Hrehorym leci łza matczyna
Z błogosławieństwem na drogę żywota.
Niewdzięczne dziecię! nie schyliło głowy
Przyjąć swéj doli niebieski zadatek;
Tak go zapalił ów zawód wojskowy,
Że się do wiejskich nie ogląda chatek,
I rumakowi popuściwszy wodze,
Wyprawia harce w rozmaite strony,
A bieżąc w przyszłość po nieznanéj drodze,
Nie dba o przeszłość, jak o sen prześniony.

Część Druga.

I.

Wkrótce mu dano hełm, pancerz i zbroję,
Proporczyk, pałasz, rusznicę do strzału.
Hrehory zrzucił skromne suknie swoje,
Czamarę wilczą i płaszcz z samodziału.
Spojrzał ze wstydem na stare odzieże,
Jakby je chować za brzydki miał zakał,
Rzucił na drodze—niech kto chce zabierze, —
I ani westchnął, i ani zapłakał.
Pysznił się, w nowe przystrojony wdzięki,
Jak wyłuzane z poczwarki motyle;
Nie uszanował wieśniaczéj sukienki,
W któréj u Ojca przechodził lat tyle.

Patrzała na to drużyna wojacka,
Lecz nikt nie ostrzegł w hetmańskim taborze,
Że taka wzgarda — to rzecz świętokradzka,
Za którą Pan Bóg rozgniewać się może.

II.

Hetman, nim wojsko przyszło do stolicy,
Już Hrehoremu opieki udziela.
Stary pancerny, Derszniak z Rokietnicy,
Był mu dodany za nauczyciela.
Człek to bywały w bojowém rzemiośle,
Towarzysz broni Tarnowskiego Jana,
I wiedział hetman, że wszędy wygrana,
Kędy Derszniaka z Rokietnicy pośle.
On, na hetmańskiéj starzejąc posłudze,
Nie miał ni domu, ni żony, ni syna;
Nie chciał spoczynku, kędy domy cudze,
Obóz — to jego i dom, i rodzina.
Z nawisłém czołem, z pochyloną głową,
Z długiemi wąsy aż do pół pancerza,
Nie lubił z długą rozszerzać się mową;
A kiedy wzrokiem do kogo wymierza,
Tobyś powiedział: błyskawica z chmury,
Albo rozbójnik, albo wilk ponury.

Nie był on wszakże ni wilkiem, ni zbojem,
Lecz tylko ostrym żołnierzem z natury.
Duch jego błogim cieszył się spokojem,
Choć czoło w groźne nafałdował chmury.

Wpatrzył się, wsłuchał w Tarnowskiego po-
Był niby drugim hetmana obrazem, [stać,
Nietylko myślał jakby mężnym zostać,
Był to koronny obywatel razem.
Nieraz się śmiała żołnierzów gromada,
Gdy zamiast dzielić ich z czarką zabawy,
Przy smolnym szczepie wieczorem zasiada,
Czyta jak prawnik sejmowe ustawy,
Lub, gdy zabraknie słuchaczów hussarzy,
O rzeczach państwa sam ze sobą gwarzy.
Koń jego tuczny, czysty, pełen cnoty,
Bo sam go czyści, i karmi, i poi.
Jakby w zwierciedle przejrzysz mu się w zbroi,
Choć stary Derszniak nie jeździł w zaloty.
Najgłośniéj śpiewał modlitwy i marsze,
I różnych piosnek posiadał niemało, —
A wszystkie piosnki raźniejsze i starsze,
Niż te, co dzisiaj rycerstwo śpiewało.
Derszniak był pierwszym — gdy się w szable
I bił się dobrze, i rozumiał o co. [grzmocą,

III.

Takiego człeka niezachwianéj wierze
Hetman poruczył Sulimę Hrehora;
Przyszli na nocleg — i tegoż wieczora
Wespół z Derszniakiem stanął na kwaterze.
Gdy wytchły konie unużone drogą,
Kiedy się służba krząta do wieczerzy,
Piersi wyzute z żelaznych pancerzy
Kiedy swobodniéj oddychać już mogą,

Siedli przy smolném ognisku łuczywy
Młody Sulima i pan Dersznìak siwy.
Starzec z początku coś dumał w milczeniu;
Potém z ukosa spojrzał na pacholę,
Uderzył z wolna po jego ramieniu
I szorstką ręką pogłaskał po czole.
—„Aha młodzieńcze! wczora o téj porze
„Ani myślałeś być chwycon z nienacka;
„Byłeś przy matce w rodzinnéj komorze,
„Strugałeś sobie do zabawki cacka.
„Przez noc zmężniałeś i urosłeś zda się,
„I małe dziecko wyszło na hussarza.
„Chciałbyś powrócić—ale już po czasie,
„Musisz rad nierad iść, gdzie dola zdarza...
„A szkoda matki, ciepłego zapiecka,
„Szkoda braciszka, szkoda swojéj strony!
„Tutaj nikt miodem nie nakarmi dziecka,
„Nikt nie ulula, kiedyś snem zmorzony!"

IV.

Tak stary hussarz z uśmiechem przyjaźni
Gwarzył, w nadziei, że chłopię rozdraźni;
Bo chciał się pośmiać z łez małego zucha
I pohamować niewczesne płakanie.
Ale Hrehory niecierpliwie słucha...
—„Wstydźcie się bredzić, miłościwy panie!
„Czego żałować matki albo brata,
„Żałować nędzy, która nas tak gniecie?
„Co mi tam chata! u mnie wszędzie chata,
„Piękniejsze chaty zobaczę na świecie.
„A nasze strony niewesołe, leśne,

„Wilk tylko zajrzy do naszéj ustroni;
„Ja tutaj w gwarze obozowym wskrzesnę,
„Zwyknę do konia, zuczę się do broni.
„Pójdę na wojnę, na rycerskie harce,
„Zdobędę sławę i pieniędzy dosyć;
„Głupiecby chyba, mogąc złoto nosić,
„Tęsknił po swojéj siermiężnéj czamarce!“...

V.

Przykro ta mowa ubodła Derszniaka,
Więc brwi namarszczył i wąsy najeża:
—„Waść, jako widzę, stworzon na żołdaka,
„Nie na chrobrego polskiego rycerza!
„Powiedz mi, proszę, jak się waści zdawa,
„Na co się przyda wojenna wyprawa?“
—„Na co się przyda?!... to śmiesznie pytacie!
„Bronić ojczyzny od obcéj napaści!“
Derszniak odfuknął: —„Gdzież ojczyzna waści,
„Jeśli nie tęsknisz ku rodzinnéj chacie?
„Jeżeli walczysz dla marnych pieniędzy?
„Jeśli ci wstydno twego ojca nędzy?...
„Bronić ojczyzny!! —A wieszże, młokosie,
„Co jest ojczyzna?—Oto ja ci powiem:
„Starzy ją zwali swém życiem, swém zdrowiem,
„Służąc jéj wiernie w złym i w dobrym losie.
„Co jest ojczyzna?—To twéj chaty ściany,
„To dach twój stary, słomą poszywany,
„To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
„Z rzeczki twéj woda, co cię rzeźwi w lecie,
„To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,

„To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
„Smak twego jabłka, cień twojéj jabłoni,
„To dzwon kościelny, co ci na mszę dzwoni,
„To twoich sejmów trwałość i swoboda,
„To twego ojca osiwiała broda...
„Oto ojczyzna—za jednym wyrazem;
„Wszędzie cząstkami i pospołu razem.
„Takiéj ojczyzny od Tatarów bronim,
„Taką kochamy, jesteśmy z niéj hardzi;
„Lecz kto ojcowską zagrodą pogardzi,
„Już się rycerza nie spodziewaj po nim;
„Pójdzie na wojnę—nawet krew przeleje,
„Lecz mu na czole wyryta sromota;
„Godzina próby łacno go zachwieje
„Marnym postrachem albo garścią złota.
„Och! nim złą dolę przyniesie rodzinie,
„Niechaj go pierwsza kula nie ominie!“

VI.

Tu stary Derszniak potarł się po czole,
Pokraśniał cały, jak makiem zakwitnął,
Wziął konew miodu stojącą na stole,
Wypił z pośpiechem i zębami zgrzytnął.
Rzucił na ławę swój kaftan z kolczugi,
Na wiązkę słomy rzucił się jak długi,
I słychać było, że boleśnie płacze.
Po chwili zasnął, przytulon do kąta.
A gdy pobudkę zagrali surmacze,
Najrańszy ptaszek w chorągwi się krząta.
On pierwszy dojrzy, czy dobrze rozdano
Dla koni wodę, i owies, i siano.

VII.

Na jego słowa czuł biedny Hrehory,
Że go przebiegły niespokojne dreszcze.
Lecz insi w śmiechy:—„At, zważałbyś jeszcze!
„On zawsze taki, na śledzionę chory.
„Dajcie mu pokój, niech sobie gawędzi,
„Niech sobie płacze, niech się we śnie miota:
„Czy to deszcz pada, czy to Derszniak zrzędzi,
„Przy takim szmerze spać większa ochota.
„Więc nie zważajmy na jego pacierze,
„Bo jego z dawna natura już taka.
„Waści pan hetman na opiekę bierze,
„To więcéj znaczy, niż łaska Derszniaka.
„Chociaś młodziuchny, lecz dobra otucha,
„Konia dosiędziesz, nie kwilisz po domu.
„Pan hetman ciebie uściskał bez sromu;
„Znaczno, żeś pełen rycerskiego ducha;
„My cię wyuczym, jak się wroga bije!“...
Tak go cieszyli bracia chorągiewni;
Młody Hrehory płaczem się rozrzewni,
Wszystkim hussarzom rzucał się na szyje.
I miód przynieśli, i koléj wypili,
Szedł jeden puhar, potém drugi spory;
Z całą chorągwią już młody Hrehory,
Jak gdyby z bracią, zżył się w jednéj chwili.
Niktby nie zgadnął, że ten chłopak żywy
Był jeszcze wczoraj wioskowym niezdarą,
Strugał dla siebie szabelkę z łuczywy,
Nosił opończę siermiężną a starą.

Dziwna w dniu jednym stała się odmiana:
Całéj przeszłości już i pamięć traci.
On w nich pokochał kolegów i braci,
Oni w Hrehorym pieszczoty hetmana.

VIII.

Zagrano sygnał, jak porządek każe.
Gdy kogut północ zaśpiewał nad głową,
Jedni pobiegli odprawować straże,
Drudzy opatrzyć czeladź obozową,
Insi do wioski na płoche zaloty,
Insi obejrzeć obozowe stajnie,
Tylko Hrehory coś śni nadzwyczajnie
O chwale bitew, o przyszłości złotéj!
A stary Dersznìak rzuca się na słomie,
Coś rozespany niedorzecznie prawi,
Za jakiémś widmem goni niewidomie,
Komuś złorzeczy, komuś błogosławi,
Jakieś układa plany i zamiary,
Dziwaczy we śnie—zwyczajnie jak stary.

IX.

Od pierwszéj chwili, od pierwszéj rozmowy
Już mu Hrehory nie przypadł do duszy,
I przed hetmanem wydał sąd takowy,
Że o swym uczniu nieszczególnie tuszy,
Że z takich ludzi nie będą rycerze,
Jeno żołdacy, nieróżni od innych.

Hetman go sfukał, że ze słów dziecinnych
Już zaraz miarę o człowieku bierze.
I oddał uczyć młodzieży ochoczéj:
Jak się broń dzierży, jak kopia toczy,
Jako się rumak utrzymuje syto,
Jak trzeba umieć nie dospać w potrzebie,
Jak się obywać o wodzie i chlebie,
Jak trzeba kochać sprawę pospolitą.
Hrehory z wszystkiém obeznał się snadnie,
Co przyzwoite dla mężnego człeka.
W kościele bożym modli się przykładnie,
Bierze naukę, od ksiąg nie ucieka.
Nieco od braci łaciny zaznawszy,
Często z bratniego wymykał się grona,
Czytywał rozdział z Tacyta ciekawszy,
Lub jaką grzmiącą mowę Cycerona.
Derszniak go mając na życzliwéj pieczy,
W swobodną chwilę często przed nim gwarzy
Dzieje domowéj Pospolitéj rzeczy,
Dawa mu czytać swoich kronikarzy,
Wzorem dostojnych mężów w Europie
Ku wielkim celom jego serce budzi.
Z *Dziejów* Długosza wyczytuje chłopię
O czynach królów i rycerskich ludzi.
Tam Chrobry wielkim podziwem uderza,
Tam Krzywousty doznany w żołnierce,
Tam dobroczynna ręka Kazimierza,
Tam Oleśnickich płomieniste serce,
A resztę Derszniak na ostatek chowa
Z żywéj pamięci co mu było znaném.
Na samym końcu wielki Jan z Tarnowa
Jak posąg bóztwa stawa przed młodzianem.

Hańba, kto serca rycerskiego niéma,
Kto, będąc dziejów macierzystych świadom
I wielkich ludzi mając przed oczyma,
Nie dał się zacnym zhołdować przykładom.

X.

Lecz nim zbawienne rozrosło się ziarno,
Umarł sędziwy Derszniak z Rokietnicy.
Młodsi, weselsi, lepsi rówiennicy
Do Hrehorego uprzejmie się garną.
Przy nich zapomniał starca przez półrocze.
Mawiał: — „Pracujmy dla sławy i chleba!
„Dwóch tylko rzeczy człowiekowi trzeba:
„Mieć dobrą szablę i serce ochocze.
„A przy hetmana życzliwéj opiece,
„Pełniąc na wojnie, co powinność każe,
„Można już sobie nie dbać tak dalece,
„Co tam napiszą o nas kronikarze.“

Część Trzecia.

I.

Było przysłowie: „*Kiedy Jan Tarnowski,*
„*Hetman koronny, kasztelan krakowski,*
„*Da komu słowo, to pewnie dotrzyma.*“
Więc się ziściło i tu po kolei.
Syn gajowego, Hrehory Sulima,
Nie zawiódł dobrych o sobie nadziei.
Wsparty wielkiego hetmana pomocą,
Wzrósł na rycerza we znaczeniu całém:

Gdzie zagrzmi trąba, włócznie zamigocą,
On z młodocianym pośpiesza zapałem;
W pierwszych szeregach ugania Tatary,
Pierwszy przy szturmach wdziera się na wieże;
Z radością hetman uśmiecha się stary
Za każdym laurem, co młodzian odbierze.
Ręce hetmańskie, zgrzybiałe już prawie,
Wielkiéj buławy utrzymać nie mogą;
Częściéj zasiada w senatorskiéj ławie,
Niźli rumaka zacina ostrogą.
Przecięż po każdéj dokonanéj wojnie,
Gdy jéj obrotom oddawał się cały,
O Hrehorego pyta niespokojnie:
Czy zdrów powrócił i czy godzien chwały?

II.

I zdrów, i godzien powracał Hrehory,
Sławy i bogactw już syty za wczasu;
Cieszył się hetman zgrzybiały i chory,
Że to pacholę wyprowadził z lasu,
I nieraz rzewnie, ręce rozpostarłszy,
Ściskał młodzieńca, jak własnego syna,
I przed majestat wodził go monarszy,
Kędy zasługi jego przypomina.
Król mu powiadał przy całéj obradzie:
— „Dzielne masz serce, chociaż lata młode!
„To święty na mnie obowiązek kładzie
„Dać ci stosowną do zasług nagrodę.
„Da Bóg po wojnie, jak śmiało tuszymy,
„Gdy trudne środki ułatwią się snadnie,

„Piękna zasługa Hrehora Sulimy
„Z myśli i z serca u nas nie wypadnie.“
A hetman szeptał: — „To oznacza prosto:
„Chce cię mianować grodowym starostą.“

III.

Dziesięć lat przeszło,—a chłopczyna mały,
Z wdziękiem młodości i z promieniem chwały,
Z ubóztwianego hetmana opieką
I z dobrą łaską króla jegomości,
Mógł stać daleko i bardzo daleko,
Posiadać skarby, i zamki, i włości,
I *chleb zasługi*, co z dawnego prawa
Rzeczpospolita rycerstwu nadawa.

IV.

Ale nie skarbów, nie zamków, nie chleba,
Nie głośnéj sławy, co wszystkich poruszy,—
Młodemu sercu toć serca potrzeba,
Trzeba kochania wedle swojéj duszy.
A któraż z dziewic oblicza uchyli,
Wzgardzi takiego fortuny pieszczocha?
Szczęśliwy młodzian już znalazł po chwili,
Którą ukochał i która go kocha.
Mieszkał w Krakowie starosta Owada,
Pan mnogich skarbów i włości ogromu;
Ale nad ziemię i skarby nielada
Skarb większy—córkę posiadał w swym domu.

V.

Bóg czasem, pragnąc uszlachetniać ludzi
I dać im próbkę nieziemskiego świata,
Zsyła cheruba, co w ludziach cześć budzi.
Takim cherubem zdała się Beata.
Piękną od Boga obdarzona duszą,
Piękno swéj duszy nosiła na twarzy.
Jasne jéj oko złudzeń nie rozmarzy,
Lecz wszystkie serca hołdować jéj muszą.
Na czém ta władza? a któż to wypowie,
Co uspakaja? a co zmysły mroczy?
Lecz tylko czujesz, że patrząc w te oczy,
Święciéj coś w sercu i spokojniéj w głowie.
Wiotkie jéj ciało—to subtelna tkanka,
W którą Bóg zasnuł myśl swojego czoła.
Każdy uczuwa, że ona niebianka,
Co ziemskich trudów podźwigać nie zdoła;
Że tu na ziemi stoi tak leciuchno,
Iż pierwsze burze jak kwiatek ją zdmuchną;
Lecz kiedy losu bolesne koleje
Przyjdą doświadczyć, czy ma silne ramię,
Pieszczone serce w dyament stwardnieje,
Którego ludzka siła nie przełamie.
Te oczy, mdławą przykryte powłoką,
Co się mniemaném zawstydzeniem płonią,
Gdy przyjdzie losom zajrzeć oko w oko,
Nie obemdleją i łzy nie uronią.
Serce hartowne męztwem, jak kolczugą,
Nie wie, co znaczy gra uczucia płocha;
Lecz gdy pokocha, to już raz pokocha,
Szczerze, głęboko i jak wieczność długo.

VI.

Taką to miłość od niedawnéj pory
W sercu dziewiczém obudził Hrehory.
Nie mogło marzyć wysokie jéj serce
O pospolitym zalotnym młodzianie;
Lecz dobre imię, nabyte w żołnierce,
Jego z ubóztwem mężne bojowanie,
Ten urok czynów i ta piękna chwała,
Która młodzieńca od gminu odróżnia,
Zawsze na serce kobiety podziała,
Jeśli w tém sercu nie panuje próżnia.
Poczęła lubić kiedy o nim słyszy,
Gdy jego chwale zazdroszczą zawistni,
I marzyć o nim w wieczornéj zaciszy,
I było błogo, gdy go we śnie przyśni.
Niekiedy jedno słowo lub pół słowa
Takim ją lubym nabawi kłopotem,
Że pokraśnieje, jak wstęga różowa,
I dumać będzie po dni kilka o tém.
Taki obyczaj w dawniejszéj był chwili,
Że nim kochanków zaprzęgną do stadła,
Młodzi od siebie zdaje się stronili,
Oczami chyba miłość się zakradła.
Lecz gdy się wkradła, kiedy bożek ślepy
W serce ugodził zatrutém żelazem,
Na wieki w sercu utkwiły oszczepy,
Już ich nie wyrwać, chyba z życiem razem.

VII.

A cóż Hrehory? Jemu miłość taka
Nigdy nie przyszła do serca lub głowy.

On kochał sławę, kochał plac bojowy,
Kochał swą włócznię, swojego rumaka.
On wszystko kochał — bo serce motyle
Mogło na wszystkie rozpraszać się strony;
Nie mógł, jak rycerz, kochać tylko tyle:
Boga, kochankę i swój kraj rodzony.
Cóż więc dziwnego, że w takim rozrzucie
Słabsze w nim było kochania uczucie?
Kochał Beatę, bo piekne ma oko,
Bo smukłą kibić przy bogatém wianie;
I kochał Polskę, nie myśląc głęboko,
Na czém zależy synowskie kochanie.
On po żołniersku widział swoją wiarę,
On swoją miłość chciałby wieńczyć w kwiaty;
I jedną tylko rozumiał ofiarę:
Walczyć za honor kraju lub Beaty.
Dziewice dawne inaczéj kochały
Bitnych rycerzów Orła i Pogoni:
Snadź nie dla tego, że chrobry i śmiały,
Ale że ziemi macierzystéj broni.
Mezkiemu sercu ani się zamarzą
Takie subtelne różnice kochania:
On kiedy z wrogiem w twarz spotka się twarzą,
Kiedy na groty chrobrą pierś odsłania,
Gdy jak mur stoi, gdy celnie wystrzela,
Krwią zleje ziemię, jako jéj obrońca,
Już mu się zdaje, że spełnił do końca
Powinność syna i obywatela.
Och! takich czynów za mało, za mało!
Męztwo za słabe, a miłość za blada:
Żołdak — potrafi zahartować ciało,
Bohater tylko — hart duchowi nada.

VIII.

Hrehory, śmiały w wojowniczym względzie,
Nie mógł się chlubić śmiałym hartem duszy.
Wtedy był piękny, gdy konia dosiędzie,
Kiedy na harce z Tatarem wyruszy;
Lecz doma—byle okoliczność błaha,
Prędko się zlęknie, prędko się zawaha.
Jako wyjechał przed dziesięciu laty,
Jak mu na świecie widok się odsłania,
Nigdy nie zwiedził rodzicielskiéj chaty,
Nigdy do ojca nie posłał pisania.
Wstydził się nędznie śmiechów i obmowy
Swojéj czeladzi i rówiesnéj młodzi,
Że jego ojciec tylko stróż gajowy,
Że jego matka w lnianéj sukni chodzi.
Kochał Beatę najświęciéj, najgodniéj,
I dla miłości dać życieby gotów;
Lecz gdy na chwilę oddali się od niéj,
Nie mógł się płochych powstrzymać zalotów.
Prawie nieświadom, co wyższa ofiara,
Nie mógł się ostać przed najlżejszą próbą;
Umiał bardyszem pokonać Tatara,
Ale nie umiał walczyć z samym sobą.

IX.

Sam wielki hetman pojechał we swaty,
Prosząc dla niego o rękę Beaty.
Owada wdzięcznie przyjął pośrednika,
I rękę córki przyrzekł dla młodziana:

Któż bo z Polaków swe serce zamyka
Dla próśb dostojnych Tarnowskiego Jana?
Nawet wesela już dzień umówili,
Na wszystko przystał chętliwie Owada;
Lecz uradzono zaczekać do chwili,
Gdy Hrehoremu król starostwo nada.
A nadto wojna do hetmańskich znaków
Wezwała całą drużynę rycerską:
Fürstenberg, głowa inflanckich Krzyżaków,
Przeszedłszy w Niemczech na wiarę luterską,
Swemu żołdactwu, co bezkarnie hula,
Kazał kościoły burzyć na wyścigi;
Więc przysłał prosić o opiekę króla
Dostojny Wilhelm, arcybiskup Rygi.
Więc król do mistrza poselstwo wyprawia,
Pan Łęcki jechał z królewskiemi listy;
Lecz rozpasana tłuszcza na bezprawia,
Mimo charakter posła uroczysty,
Zamordowała jadącego w drodze,
Jeszcze się pastwiąc nad bezbronną głową:
Więc należało powetować srodze
Za krew przelaną i cześć narodową.

X.

Polski i Litwy sejmujące stany
Król na obradę zebrał do Warszawy.
Wszyscy radzili w jeden głos zebrany
Nie zaniedbywać inflanckiéj wyprawy.
Zapał, by hańby nie przepuścić darem,
Dał mnogie siły zgromadzić bez trudu:

Stanęło tedy pod pańskim sztandarem
Z Polski i z Litwy sto tysięcy ludu.
Któż tu nie pójdzie walczyć obok braci?
Kogo tu sprawa domowa zatrzyma?
Tedy, choć nierad, że swe gody traci,
Jechał na wojnę Hrehory Sulima.

XI.

— „Piękna dziewico! — mówił do Beaty—
„Bywaj mi stałą i sercem, i słowem.
„Wrócę sławniejszy i bardziéj bogaty,
„Król mię obdarzy starostwem grodowém.
„A wszystko winien wojowniczéj sztuce,
„Drogę do szczęścia sam sobie uścielę,
„Sam o twą rękę dopomnę się śmiele.
„Nie płacz, Beato, powrócę, powrócę!
„Po dniu godowym gdy zostanę mężem,
„Dam folgę sercu, niechaj bije rade;
„Rozbrat na wieki uczynię z orężem,
„I nigdy, nigdy ciebie nie odjadę.
„Czy tu zostaniem, czy pójdziemy może
„W ustronnym zamku pracować na roli,
„Mój miecz na zawsze u stop twoich złożę.
„Nie płacz, Beato, bo mię serce boli!“

XII.

— „O mój Hrehory! nie mów tego proszę!—
Rzekła Beata w błagalnéj postaci:—
„Że zniewieściałe przenosisz rozkosze
„Nad pole chwały na obronie braci!

„Czybyś doprawdy, nie zważając na nic,
„Dla pieszczot serca nie stanął do bitwy,
„Chociażby kraje Korony i Litwy
„Wzywały ciebie do obrony granic?
„Czyż dla starostwa lub dla marnéj sławy
„Stawiłeś piersi na włócznie i noże?
„Czyż to już wszystkie odbyte wyprawy?
„Czy nic krajowi zagrażać nie może?
„W koło Wołosza, Turcy i Tatarzy,
„A Polska piękna, bogata, szeroka;
„Czyż nikt już na nią targnąć się nie waży?
„Czy nikt nie rzuci zawistnego oka?
„Och! nieraz, nieraz nasze piękne łany
„I krew zaleje, i ogień przebieży,
„I nieraz hetman przywoła rycerzy
„Na śmierć szlachetną lub na ciężkie rany.
„Nie, mój Hrehory! folgować niewolno
„Ni zdrowiu swemu, ani sercu swemu:
„Na każdą wojnę ruszysz po staremu
„Zdobywać chwałę fatygą mozolną.
„Ja pozostanę, drżąc o twoje zdrowie,
„Płacząc z tęsknoty, modląc się do Nieba...
„Jednak, Hrehory, idź gdzie trąba zowie!
„Narażaj życie i umrzyj, gdy trzeba!“
Tak rzekło dziewczę, a potém w milczeniu
Spojrzało oczu błagającym rzutem,
I wątłą rękę wsparło na ramieniu,
We twardy pancerz stalowy zakutém:
„Już jedź, Hrehory... nie... pozostań jeszcze;
„Niech się napatrzę, niech z tobą pogwarzę...
„Jakieś mnie mówi przeczucie złowieszcze,
„Że los nam może rozłączyć się każe...“

— „Przestań, Beato! przestraszasz mię sro-
Mówił Hrehory, spojrzawszy nieśmiało:— [dze!—
„Tyle jest śmierci na żołnierskiéj drodze —
„Czyżby mnie teraz umrzeć należało?“
—„O! nie, Hrehory! nie! żadna przygoda
„W mojém przeczuciu nie zagraża tobie!
„Może, gdy wrócisz, to ja będę w grobie,
„I już mi ręki Hrehory nie poda!
„Czuję, że ślub nasz rozchwiewa się w górze,
„I mózg, i serce pali, jak żarzewiem...
„Przeczuwam jakieś niebezpieczne burze...
„Może mój ojciec... czy hetman—ja nie wiem...
„Może ty wrócisz obojętnym, chłodnym...
„Albo już — serca mojego niegodnym...“

XIII.

A nad podartą gajowego chatą
Dziesięć lat ciężkie przytłoczyło brzemię.
Nadgniły domek osunął się w ziemię,
Mech go nastrzępił powłoką kudłatą.
Krzyż się osunął, który stał przy wjeździe,
I uschła grusza, i zrąbano klony;
Błyszczy się mostek nowo postawiony,
I nowy bocian klekoce na gnieździe.
Gdyby w téj chwili przyjechał Hrehory,
Gorzkąby łezkę sam nad sobą wylał:
Stary dziad jego od roku był chory,
Już się do grobu widocznie pochylał;
Tylko się modli i rozmowy szuka
O znakomitych powodzeniach wnuka.

Jemu o wnuka szło może nietyle,
Ile miał świetność rodową na względzie;
Modlił się: — „Panie! nie spocznę w mogile,
„Aż mój potomek kasztelanem będzie.
„Jemu nietrudno — gdy hetman z nim trzyma.
„Niechby pracował na to całe życie,
„Ażeby klejnot herbowny Sulima
„Na niebywałym postawił zaszczycie!“
Tak stary marzył, i z miasta, i z wioski
Różne o wnuku zbierając pogłoski.

Ojciec postarzał, przebiegając knieje,
Straciwszy zdrowie w pracy bez ustanka;
Strażniczy oszczep i chatnie nadzieje
Złożył na ręce gospodarne Janka.
Na twarzy Janka wyrósł wąs młodzieńczy,
Janek częściutko zmykał do sąsiada;
A jak podhula, to matce powiada:
—„Wkrótce was w pracy synowa wyręczy.“
A matka? Matka, niegdyś krasnolica,
Dzisiaj zgarbiona, z pomarszczoną twarzą,
Jęczała długo, jak synogarlica,
Że jéj z Hrehorym rozłączyć się każą.
Pójdzie bywało w ustronne zacisze,
Gorzko się spłacze — to na duszy słodziéj;
Płakała potém, że syn nic nie pisze,
Czy zdrów? czy wesół? jak mu się powodzi?
Bolała ciężko, zwyczajnie kobiéta,
Że syn zapomniał... przywykła nareszcie;
A teraz tylko o jedno się pyta:
Czy zdrów Hrehory? czy w boju? czy w mieście?

A gdy tam czasem w pośród bojowiska
Ruszniczna kula przy Hrehorym padnie,
To serce matki o sto mil odgadnie,
Drgnie z całéj siły i bolem się ściska.

XIV.

Tak było w chacie. Aż jednéj niedzieli
Bóg wie dla czego wszyscy posmutnieli.
Dziadek zaniemógł, — zapragnął spowiedzi,
Pobożnie przyjął Ciało i Krew bożą;
A gdy nad łóżko zeszli się sąsiedzi,
Spojrzawszy na twarz, wszyscy się zatrwożą.
Wpadły mu oczy, twarz blada, jak płótno,
Oddech to słabnie, to znowu się wzdyma.
—„Źle słychać, bracia!—tak wyszeptał smutno—
„Dzisiaj się zaćmił dom i herb Sulima.
„Ktoś mi dziś w nocy opowiadał we śnie,
„Że herb się zhańbił, że więcéj nie wskrześnie.
„Może to bajka... często śni się chorym...
„Powiedzcie ludzie: zkąd te sny złowieszcze?
„Czy nie słyszano czego o Hrehorym?
„Czy on nie został kasztelanem jeszcze?
„Czemu nie śpieszy?... trzeba w zaszczyt nowy
„Przystroić herb nasz i nasze nazwanie...
„Gdy on nie został, to nikt nie zostanie...
„Ni ja... ni syn mój... ni mój wnuk gajowy...
„Powiedzcie ludzie, wy to pewno znacie,
„Dla czego w sercu pali mię tak srogo?
„Może Hrehory, zasiadłszy w senacie...
„Doszedł zaszczytów... nieszlachetną drogą?

„O Boże! Boże! lepsza tutaj praca...
„Śpieszcie go ostrzedz; pogodźcie ze stanem...
„Jeżeli jeszcze nie jest kasztelanem,
„To mu powiedzcie, niech do domu wraca...

„Tam na pagórku dwa dęby się świecą,
„Na jednym dębie dwaj orłowie w parze,
„Jeden z nich wyżéj, drugi niżéj nieco,
„Jak herb Sulimę rysują malarze....
„Dwa orły, mówię... patrzajcie, w téj stronie...
„Jeden na tarczy, drugi na koronie...
„Niech się Hrehory nie szasta po lesie,
„Gotów je spłoszyć przebiegając w pędzie:
„Bo jak polecą, biada naszéj strzesie!
„Herbu Sulima na świecie nie będzie!...“
Tak starzec szeptał w nieprzytomnéj bredni;
Powłoka w oczach rozciąga się mgława;
Wnieśli gromnicę z komnaty sąsiedniéj;
Wziął ją, popatrzał... — „Hetmańska buława!“
I jak strudzone, rozespane dziécię
Szepce nieskładnie, gdy się oczy kleją,
Dziadek zasypiał... zasypiał koleją...
Nakoniec usnął — już go nie zbudzicie.

XV.

Minęło lato — a wojsko koronne
Z inflanckiéj wojny do Krakowa wraca.
Pole do chwały było mu przestronne,
Chlubnym się skutkiem uwieńczyła praca,
I krwi potoki niedługo się lały,
Żaden się przestrach nie ziścił złowrogi:

Bo mistrz inflancki, Fürstenberg zuchwały,
Klęczał przed królem, całował mu nogi.
Taka pokora, co przebija mury,
Trafiła w serce królewskie, co z wosku;
Nie odarł mistrza z książęcéj purpury,
Lecz mu przebaczył winę po ojcowsku;
Tylko swe prawa umocniwszy szczerze,
Puścił w pokoju inflanckie rycerze.

XVI.

Hrehory wrócił i żywy, i zdrowy,
Tylko przecierpiał krzyżacką niewolę.
Kiedy się wojsko zeszło pod Poswole,
Radziwiłł hufiec prowadził przodowy.
Sulima zasię, upragñiony chwały,
Zebrawszy dwieście gorętszéj młodzieży,
Pośpieszył naprzód i dwoma oddziały,
Mniemał, że drogę mistrzowi zabieży;
Że kiedy cała Inflantczyków rzesza
Z jednym oddziałem potykać się zacznie,
On na nich z boku uderzy nieznacznie
I w jednym pędzie szyki ich pomiesza.
Nie tak się stało: bo gdy nocną porą
Sam jeden konno wyruszył na wzwiady,
Wpadł na sam środek niemieckiéj gromady,
Gdzie go chwytają i w niewolę biorą.
Tymczasem wpadły niemieckie rajtary
Na polski oddział, co się zabezpiecza:
Rzeź była krwawa — i mężne ofiary
Legły pod ciosem krzyżackiego miecza.
Dwa doły trupów pogrzebiono rano,
Dwa kopce ziemi na nich usypano.

Przyszedł Radziwiłł — zbił inflanckie siły;
Przyszedł król polski — i stanęła zgoda.
Tylko nikt ręki do grobów nie poda,
Nikt młodzi polskiéj nie wskrzesi z mogiły.
Nie jeden pałac i nie jedna chatka
Smutną się wtedy pokryły żałobą:
Ojciec i siostra, kochanka i matka
Już nie obaczą swych miłych przed sobą.
Taki los wojny — i radość, i jęki;
Przywykła do nich wojownicza rzesza.
Do tryumfalnéj zwycięztwa piosenki
Zawsze się nóta rozpaczy przymiesza.

XVII.

Wyzwolon prędko z niewoli krzyżaczéj,
Młody Hrehory wrócił do Krakowa;
Ale twarz jego, jak mara grobowa,
Blada, poryta zmarszczkami rozpaczy.
Targa swe włosy, stroni od człowieka,
Zwiesza na piersi nieprzytomną głowę,
A gdy o wojnie posłyszy rozmowę,
Zasłania oczy i w pole ucieka.
Wciąż mu się zdało, że ma szyszak krwawy,
Że chodzi we krwią ubryzganéj szacie;
A choć już tydzień jak wrócił z wyprawy,
Nie śmiał się stawić na oczy Beacie.
Taką odmianę każdy w nim dostrzega,
Ale nikt nie śmiał badać nieprzystojnie;
Sam tylko hetman, choć nie był na wojnie,
Wiedział o wszystkiém od swojego szpiega.

Wtedy się straszne rozbiegły pogłoski,
Co wszystkie serca do gruntu przebodły,
Gdy Hrehoremu rzekł hetman Tarnowski:
—„*Precz z mego domu, boś zdrajca i podły!*“
Chciał swoje służby przypomnieć królowi,
Wszedł na pokoje z innemi dworzany;
Król umknął rękę, chociaż nic nie mówi,
I wzrok pogardy odwrócił do ściany.
Jeden drugiemu po cichu powtarza:
Że król jegomość rozkazał był skrycie
Sądzić na gardło Sulimę zbrodniarza,
Ale Tarnowski uprosił mu życie.
Straszny dar życie! gdy dadzą człowieka
Własnego serca zgryzotom namiętnym,
Gdy jak robaka odrzucą z daleka,
Skalawszy wzgardy niepoczciwém piętnem!
Trzeba żyć jeszcze — po to, aby nosić
Ohydne brzemię swéj własnéj istoty...
Czyliż tam w piekle męczarni nie dosyć,
Że tu skazują na piekło sromoty?
O! słusznie, słusznie pokalane imię:
Bo straszna zbrodnia ciąży na Sulimie.

XVIII.

A cóż Beata, obłąkana, chora?
Ona pogardza, lecz kocha Hrehora.
Jéj biedne serce kolejno się zmienia,
Sama nie zgadnie, gdzie bicie gorętsze;
Uczucia wstrętu albo ubóztwienia
W dwie różne strony targają jéj wnętrze.
Jéj wątłe ciało w bolesnéj katuszy
Dłużéj na ziemi już wytrwać nie może;

Czas już do nieba jéj anielskiéj duszy,
Czas ciało złożyć na śmiertelne łoże.

Raz go ujrzała — wszedł w okropnéj chwili.
— „O Boże!—rzekła: — Ty ziść moje modły!
„Luby Hrehory! ciebie oczernili,
„Żeś braci zdradził — żeś słaby... żeś podły...
„Powiedz Hrehory, niech z ust twych posłyszę;
„Ty mi daj światło, bym przejrzała w ciemnie!...“
—„Prawda, Beato!... moi towarzysze
„Polegli w rzezi, wydani przeze mnie.
„Gdy mnie pojmali Krzyżacy pancerni,
„Skuli mi ręce zawściekleni kaci,
„Wisiał nad głową topór wściekłéj czerni,
„Jeśli nie powiem, gdzie więcéj współbraci.
„Noc była ciemna, a topór nad szyją,
„Na słabéj duszy upadłem bezwładnie,
„Musiałem wyznać, gdzie hufce się kryją,
„I w jaki sposób rozproszyć je snadnie.
„Więc w téjże chwili w taborze krzyżackim
„Tysiąc rajtarów wnet na konie wsiadło,
„Na śpiący oddział napadli omackiem,
„Wymordowali z wściekłością zajadłą.
„Jam został jeden okuty w kajdany.
„Nad samym rankiem wróciły rajtary;
„Hufiec siepaczów, krwią naszą zbryzgany,
„Śpiewał piosenki i wznosił puhary.
„I znów z toporem stojąc nad mém gardłem,
„Kazali wypić zgubę naszéj ziemi:
„Jam spełnił puhar ustami drżącemi...
„Podły! gdy wtedy z hańby nie umarłem!“

—„Krew... krew na tobie!“—krzyknęła Beata;
Twarz jéj zsiniała, pokraśniała, zbladła;
Rozpacz jéj serce konwulsyjnie splata,
I z głuchym jękiem na ziemię upadła.
Przybiegli słudzy — ale próżna rada:
Już się Beata aniołom spowiada.

XIX.

Hrehory wybiegł i w pole ucieka,
Nie pomnąc siebie, ni miejsca, ni strony;
A ludzie za nim wołali z daleka:
—„Łapajcie zbiega! szalony! szalony!“
Nikt nie dogonił, bo on szybko zmyka.
Wybiegł z Krakowa na polne rozłogi,
Przebrnął przez wodę szybkiego strumyka,
Pobiegł do lasu bez myśli, bez drogi,
Z lasu na pole, i daléj, i daléj,
Skrył się w gęstwinę kędyś na uboczu.
Gdzie niegdzie ludzie na niego wołali,
Ale nie słuchał i zniknął z ich oczu.

XX.

Czy długo błądził? czy miał sen? posiłek?
Któż wam odpowie? daremno pytacie.
W końcu jesieni — około mogiłek,
Przy rodzicielskiéj gajowego chacie,
Zjawił się człowiek, jak upiór cmentarny,
Brodą zarosły, wynędzniały, czarny.
Miał szmaty sukień zdartych po połowie,
Pancerz na piersiach i kirys na głowie.

Pod okna chaty jak złodziéj się skrada;
Tam grały skrzypce — było gwaru wiele,
Brząkała w czarki wesoła gromada:
Trafił Hrehory na Janka wesele.

XXI.

— „Nie wejdę w chatę, bo tylko potrwożę,
„Zlęknie się ojciec i matka nieboga.
„Daléj Hrehory! daléj w imię boże!
„Na Ukrainę to nieblizka droga!“
Napił się wody z rodzinnéj krynicy,
Chwycił garść piasku, zawiązał do szmatka,
A dobywając słabych sił ostatka,
Zniknął w manowcach znanéj okolicy.
Nieprędko potém, nieprędko mówiono,
Że się Hrehory wałęsał tą stroną.

EPILOG.

Znowu lat dziesięć przebiegło, jak chwila.
Otośmy w stepie bujnéj Ukrainy:
Słońce się letnie na zachód nachyla,
Wiatrek kołysze kwiaty i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porosłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiéj dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą.

Pięknaż to ziemia! ma wszystko dowoli,
O co się tylko modli w imię boże:
Mleka, i miodu, i chleba, i soli, —
Tylko spokoju wymodlić nie może.
Od Wołoszczyzny do tureckich granic,
Od Tatarszczyzny, co nigdy nie syta,
Wróg codzień prawie, nieoględny na nic,
Puszcza pożary w pszenice i żyta.
A gdzie bogatszy kościołek, cerkiewka,
I gdzie kraśniejsza niewiasta, czy dziewka,
Gdzie skarbiec pański za żelazną kratą
Strzegą hajduki okute we stali, —
Oni to wiedzą: co wiosna, co lato,
Tabór tatarski w Ukrainę wali.
A że kraj równy, obfity, przestronny,
Wszędy im droga uwijać się żywo;
Nie lubią walczyć, lecz gdzie lud bezbronny,
Najlepszy oręż, to nóż i krzesiwo, —
Wpadnie, zrabuje, pozakrwawia miecze,
Zapali wioskę i daléj uciecze.

By takich zbójców niszczyć i odpierać,
Dziwném się młodzież opisała bractwem:
Przysięgła razem i żyć, i umierać,
I Zaporozkiém zwała się Kozactwem.
Nie mieli wiosek, lecz tabór wojskowy,
W którym żołnierskie prowadzili życie;
Nie sieli zboża, bo ich same łowy
Stepowym zwierzem karmiły obficie.
Przemierzyć łąkę, gdzie trawa do pasa,
Nie przyszło na myśl ni jednemu z ludzi;

Tam stado źrebców Kozaczyzny hasa,
Kiedy się harcem z wrogami utrudzi.
W polu niewiasta piosnek nie wywodzi,
Kwilenia dzieci tam nikt nie usłyszy;
Bo Kozaczyzna nie z plemion się rodzi,
Jeno z dorosłych dalekich przybyszy.
Im żadna księga statutów nieznana,
Całym statutem ich obyczaj stary:
Słuchać swojego pana atamana
I gonić w stepie Turki i Tatary.
Kto do nich przystał na Sicz Zaporoża,
Czy Lach, czy Rusin, Węgier, czy Germaniec,
Czy zły, czy dobry, czy chłop, czy wielmoża,
Byleby umiał iść w tatarski taniec,
Byleby spełniał, co starsi radzili,
Przyjmą go chętnie do swojéj drużyny.

Ale się słońce do zachodu chyli;
Wiatrek kołysze trawy i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porosłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiéj dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą...
Na płaskiém polu widać pył z daleka,
I chmura jeźdźców po niém się ugania.
Tu była bitwa jeszcze od świtania:
Kozactwo goni, Tatarzyn ucieka;
Tętent podkowy już głuchnie koleją,
Krzyki ustają, a jeźdźcy maleją.
Nareszcie widzisz, jak dwie małe bryłki
Na końcu świata toczą się w zieleni;
A tu pod krzyżyk stepowéj mogiłki
Ciągną się starsi, bitwą unużeni.

Za nimi wozy tatarskich zdobyczy,—
Któż je przemierzy i któż je policzy?
Tam pełne skrzynie cerkiewnego sprzętu,
Złote szlacheckie pasy i żupany,
Tam stos odzieży skrwawionéj do szczętu,
W biednéj wieśniaka chacie zrabowany;
A za wozami, na noszach z oręża,
Niosą Kozaki swych pobitych braci;
Za nimi idą obozowi księża,
I pieją psałterz chórzyści brodaci.

Ataman zasiadł na wzgórku przy krzyżu,
Rozdzielać łupy drużynie kozaczéj;
Idzie z rydlami dwunastu kopaczy,
Aby sześć mogił usypać w pobliżu, —
Po dwóch do każdéj. Z brzegu na ustroni,
Dwóch robotników tak do siebie gwarzy:
—„Lekka tu ziemia, dobrze kopać po niéj,
„Na pierś mołojca nieciężko zaważy!"—
—„Ba!—rzecze drugi, nad pracą schylony—
„Na wszystko bacznie uważać potrzeba:
„On kędyś z polskiéj przywędrował strony,
„Ciężka mu będzie ukraińska gleba.
„Mówcie co chcecie, a umrzeć ochoczéj,
„Gdy swojéj ziemi nasypią na oczy."
—„Nie zawsze, widzisz, —pierwszy mu odpo-
„Rodzona ziemia i przyjmie człowieka. [wie—
„Ten, co od miecza folgując swéj głowie,
„Z koronnych hufców aż do nas ucieka,
„Między swoimi nabroił coś pono
„Przed Panem Bogiem i ziemią rodzoną.
„Hrehory, słyszę, réj Lachom prowadził,

„Miał zachowanie w swojém wojsku całém;
„Lecz towarzyszów zaprzedał, czy zdradził,
„I przystał do nas.“
— „I ja coś słyszałem.
„Bóg raczy wiedzieć, ale łacno wierzę,
„Że mógł coś w życiu popełnić ladaco.
„Bywało w nocy to sen go nie bierze,
„Choćby się zmęczył Bóg wie jaką pracą;
„Jak potępieniec całe noce wzdycha,
„Wejdzie na kurhan i ku Polsce patrzy,
„I nieraz płakał, na ziemię upadłszy,
„I coś do siebie wyszeptywał z cicha.
„Mało z kim gadał, prócz chyba sam z sobą;
„Bywał najpierwszy, gdy się bitwa pocznie;
„A szukał śmierci zdaje się widocznie,
„Jakąś tajemną dręczony żałobą.“
—„Spokój dla duszy!--rzecze Kozak drugi—
„I dobrze zrobił, że do Siczy przystał;
„Bo i nam oddał niemałe usługi,
„I kraj rodzony coś z niego skorzystał.
„Z piersi uczynił więcéj jedną cegłą
„Do muru, który wznosimy u granic:
„Ze sto Tatarów z jego ręki legło, —
„Czyż tego Pan Bóg nie poczyta za nic?“
Chrobra i prosta kozacka drużyna
Tak Hrehorego życie przypomina.

No! już gotowo, już braterskie ręce
W żółtym piaseczku pościel mu posłały.
Z bronią i w grubéj kozackiéj sukience,
Z piersią przebitą od tatarskiéj strzały,
Bez żadnéj trumny, legł syn gajowego;

Piasek stepowy przysypał mu łono,
I mały kurhan na piersiach wzniesiono,
I ksiądz go wodą pokropił święconą,
I zapłakali bracia nad kolegą.
Każdy odchodzi i znak krzyża czyni, —
Hrehory jeden pozostał w pustyni.

Nieszczęsny! marzył o innéj mogile,
Że wiek wiekowi jego imię poda;
Ale potomność szepce tylko tyle:
„Chrobry był żołnierz! a szkoda go, szkoda!
„Miał serce młode, prawicę wytrwałą,
„Znał bojowania rozliczne sposoby,
„Jednego tylko Niebo mu nie dało: —
„Żelaznéj duszy na godzinę proby!“

W jego mogile straszne sny być muszą,
Straszny wąż z jego wylęga się kości,
I straszny wyrzut chwilowéj słabości
Pastwi się kędyś nad nieszczęsną duszą.
Bolesny robak snadź mu serce toczy,
Gdy przyśni w grobie, co było przed laty,
Nocleg Hetmański gdy stanie przed oczy,
Postać Dersznìaka i miłość Beaty.
Z taką potężną nad sobą opieką,
Z taką miłością i poradą zdrową,
Wszedłszy bohater na świetność dziejową,
Wsławiłby imię w potomność daleką.
Dzisiaj, gdy wieko grobowe odsłonim,
Przykre się widmo zarazem odsłania;
A serce mówi: Zapomnijmy o nim!
To najżyczliwszy znak pożałowania.

1857. Borejkowszczyzna.

STAROSTA KOPANICKI.

WIĘZIEŃ W SONNENBURGU.

Ustęp z pierwszych lat panowania Augusta III.

WSTĘP.

I.

Stara i święta mych ojców ziemico!
Kwitniesz, jak dawniéj, żytem i pszenicą,
W lasach, na łąkach znaczna łaska Pańska,
I statki twoje pływają do Gdańska,
I miasta twoje wspanialéj się bielą,
I wioski twoje nawet się weselą,
I dwór szlachecki już nie z bierwion drzewa,
Lecz z pięknéj cegły wspaniale piętrzony,
Już nie na jednym, chorągiew powiewa
Jak w stare czasy miewały barony,
I stan twój dzisiaj kwitnący, bogaty,
Że nawet zazdrość u sąsiadów budzi:
Nic nie straciłaś od dawniejszéj daty,
Nic nie straciłaś—tylko wielkich ludzi.

II.

Na nasze czasy może ich nie trzeba:
Dziś wiek jest wielkim, nie zaś jeden człowiek.
A jednak czasem łza płynie do powiek,
I z głębi piersi modlitwa do Nieba:
„Przywróć nam, Panie, staroświeckich ludzi,
„Z krzemienną piersią i z duszą stalową!
„Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi,
„Niech w oczy spojrzą, niech przemówią słowo,—
„Abyśmy mogli choć raz, choć z daleka,
„Zobaczyć w życiu wielkiego człowieka!“

III.

Na każdéj karcie starych dziejów księgi
Spotkasz olbrzyma duchowéj potęgi;
Pod każdą strzechą były wielkie głowy,
Jakiś bohater, jakiś bóg domowy.
O nim w wieczornych gawędach gadano,
Jego był obraz w kościele, w klasztorze,
Jego imieniem dzieci nazywano
W piątém, dziesiątém pokoleniu może.
Bo w każdym czynie było ziarno ducha,
Ducha Bożego miłości i wiary,
I każdy wiedział, że potomność słucha,
Że dzieje patrzą na jego zamiary.

IV.

Mnich siwobrody w pocie swego czoła
Słowa świadectwa na pergamin leje;
W mowie łacińskiéj, w języku kościoła,
Kreśli poważne rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tém święciéj uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasów i osób.
Takiém wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Człowiek na zawsze stawał na widoku,—
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekli potomni.

V.

Lecz historyczna karta, choć szeroka,
Nie wszystkie zacne objęła imiona:
Część ich w domowéj ciszy utajona,
A reszta całkiem ukryta dla oka;
Lecz dziejopisów urodzajna niwa
Wciąż nowe imię, nowy czyn odkrywa.
W wirze wypadków, sejmu albo wojny,
Z jakich się przędła nić ojców żywota,
Wypływa na wierzch jakiś mąż dostojny,
Wybłyska jakaś bohaterska cnota.

Pytamy, musząc czołem im uderzyć:
Przecz wielkich ludzi nie ma w naszéj chwili?
Ach! bo nam trudno w cokolwiek uwierzyć,
A oni święcie w swą sprawę wierzyli;
Trudno cokolwiek pokochać nam szczerze,
Gdy dawne serca wciąż miłość podsyca.
W czystéj miłości i w gorącéj wierze
Potężnych czynów była tajemnica.
Ci wielcy ludzie, nie tak, jak my mali,
W Boga wierzyli i swój kraj kochali;
Z wiarą, z miłością szli w ogień bojowy,
Głos podnosili na sejmowéj ławie,
Chętnie schylali do męczeństwa głowy,
Gdy było trzeba męczenników sprawie.
Gorąco czując czém ich kraj obdarza,
Krew i grosz nieśli, jako wypłat marny;
Był świętokradcą, kto sięgnął ołtarza,
Aby pożywać z niego chleb ofiarny...

VI.

Nurtów przeszłości rozważając zamęt
I prochy ojców rozgrzebując w trumnie,
Miło nam znaleźć kosztowny dyament
I młodym wiekom pokazać go dumnie:
„Oto jest wielki zabytek z przed wieka,
„Znalezion w sercu dawnego człowieka!“

VII.

Badacze skorup, starożytnikowie,
Spojrzą przez szkiełko, i każdy z nich powie:
— „To hypoteza! to kłamstwo! dla Boga!
„Wierzcie, wszak jestem badaczem z rzemiosła;
„U mnie jest męża wielkiego ostroga,
„Rdzą starożytną najpiękniéj obrosła;
„A ta ostroga—niedarmo człek bada—
„Do dyamentu wcale nie przypada!“
—„Tak, macie słuszność!—mineralog rzecze —
„Chroń się od złudzeń półmędrków, człowiecze!
„Niby nauka czegokolwiek nie wie?
„Dobrze to gadać nieświadoméj młodzi!
„Starego wróbla nie złowisz na plewie:
„Dyament z węgla, nie z serca się rodzi.
„To jest dyament... tak, w saméj istocie...
„Chyba ze spinki, co u trupa tleje!“
A przecięż takich dyamentów krocie
Z serc wielkich ludzi wydobyły dzieje.
Twardy, że nic go pokonać nie zdoła,
Czysty, jak czyste sumienie anioła,
Swemi promieńmi tak oczy przenika,
Jak aureola z twarzy męczennika;
Blask ma ze słońca bez światła pomocy,
On starą przeszłość rozwidni choć w nocy.
Dyament z wiary, miłości i czynu
Promienniéj świeci niż dyament z węgli.
Och! gdybyś z ojca brał twe wzory, synu,
Gdyby wnukowie swych dziadów dosięgli,

Wtedyby Ojciec, i Syn, i Duch Święty
I wasze serca skuli w dyamenty.
Och! jeśli łaski błagacie od Nieba,
Gdy chcecie wstąpić do praojców śladu,
To wam miłości do serca potrzeba
I starych ludzi dobrego przykładu.
Wiele przykładów przytoczą wam dzieje,
I stary ojciec w gawędzie przytoczy;
Jednego człeka choć drobne koleje
Ja moim braciom postawię przed oczy.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

POLE ELEKCYJNE.

I.

Już to od dawna mędrcowie ważyli
I dotąd ważą na rozsądku szali:
Czy dobrze było za dawniejszéj chwili,
Żeśmy swych królów sami obierali?
Rozstrzygnąć sprawę rzecz nie mojéj głowy,
Już ją rozstrzygły sądy tajemnicze;
Ja tylko jeden wypadek dziejowy,
Jednego męża odsłonię oblicze,
A świętą prawdą kierując się ściśle,
Ze starych czasów obrazek nakréślę.

Piękny był widok, gdy naród pod Wolą
Obierał króla! — zwłaszcza kiedy zgodnie.
Choć nieraz obce i domowe zbrodnie
Święty obrządek hańbiły swawolą;
Nieraz Sarmaci i nieraz Litwini
Zerwali zgodę, co się już przybliża;
Nieraz gmin ciemny, nie bacząc co czyni,
Matkę rodzoną przybijał do krzyża:
Lecz nieraz znowu miłość i ład stary
Przyszły zamieszkać w starym Piastów domie;
Duch przenajświętszy ze swojemi dary
Na sejmujących zstępował widomie, —
A wtenczas widok elekcyjnéj rzeszy
I oko bawi, i serce pocieszy.

II.

Po za Warszawą, na zielonéj błoni,
Rowem się znaczą szerokie okopy.
Jak kwiaty w wianku widnieją z ustroni,
Pańskie namioty i szlacheckie szopy.
A całe pole rydel i siekiera
Pooczyszczały od chwastów i zielska.
Największy namiot—gdzie senat się zbiera,
Największa szopa—gdzie izba poselska.
A małe brózdy pod łańcuch mierniczy
Pole na mnóztwo podzieliły szmatów,
Na tyle części, ile ziem, powiatów,
Ile województw piękna Polska liczy.
Gdy województwa, powiaty i ziemie
Prymas swojemi poobsyła listy,

Całe lechickie gdy dowie się plemię,
Na kiedy wskazan ów dzień uroczysty, —
Ojce senatu i rycerstwa posły
Cisną się w mury stołecznego miasta;
Wisła na wiosnę nie tak szybko wzrasta,
Jak tutaj tłumy rycerstwa urosły.
Siedmiu bramami, ze czterdziestu szlaków
Spływa się naród, jak w ocean rzeki;
Aż się zdumiewa przychodzień daleki,
Jakie to dzisiaj święto u Polaków?
Och! wielkie święto, bo wybrać przychodzi
Ojca ojczyźnie, a prawom ich stróża;
A tu z daleka niebo się zachmurza, —
Sternika trzeba dla sierocéj łodzi;
Potrzeba wybrać, pod czyj znak się zbierać?
Komu nieść służby? za kogo umierać?

III.

Pole wyborcze, jak olbrzymie mrowie,
Kipi ruchomą, niespokojną rzeszą.
Posłowie ziemscy i senatorowie,
Konno, w kolebkach, przed okopy śpieszą.
Wieją proporce województw, powiatów,
Z których się składa ta Rzeczpospolita,
Jak ogród pełny różnobarwnych kwiatów,
Kiedy w czerwcowéj pogodzie rozkwita.
Tam senatorskie złociste kolebki
Długim szeregiem pod okopy walą,
Dzielne rumaki ujęte w lejc krzepki
W złotym ubiorze jak w ogniu się palą,

I pył szeroki, po gościńcu wzbity,
Srebrem kutemi wzniecają kopyty.

Czoło senatu książę prymas wiedzie,
Z krzyżem krucyfer harcuje na przedzie.
Daléj przez drogę bitą a przestronną
Przeciąga hufiec wspaniałych rycerzy;
Po dwóch w szeregach, powiatami, konno,
Czoło ze stanu szlacheckiego bieży.
Szlachta z nad Wisły, z nad Niemna, z nad Dźwiny,
Od płaskich stepów, od Karpat, od morza,
Jako rodzone jednéj matki syny,
Przyszli bratersko zająć te przestworza.
I oni sami, i dzielne rumaki
Odmienne mają postaci i twarze,—
I strój ich suty niezawsze jednaki,
Lecz jak obyczaj swojéj strony każe.

Tam rysi kołpak, delia szeroka,
Tam złoty żupan, tam widzisz kiereje,
Owdzie powaga przebija się z oka,
Tam rzeźwy uśmiech z czoła promienieje,
Tam długa broda, tam wąsik ze szwedzka,
Owdzie jaskrawe, tam ciemne kolory,—
Któżby cię zliczył, o braci szlachecka?
Któżby opisał twój kształt różnowzory?
Dalecy miejscem, lecz bracia najszczersi,
Różni zwyczajem i odcieniem mowy,
Choć nie jednako ubraliście piersi,
Lecz w sercach waszych jest takt jednakowy,
Który różnemi wypowiada tony:
„*Bóg, nasze prawo i nasz kraj rodzony!*“

IV.

Gwarem, tętnieniem i szczękiem zbroicy
Z końca do końca rozlega się niwa.
Ów tłum ozdobny, ów tłum różnolicy
Pod elekcyjne okopy przybywa.
Zsiadają wszyscy, jako prawo każe,
Panowie z kolas, a rycerstwo z koni;
Przy województwa każdego sztandarze
Trąbka sygnały przepisane dzwoni;
Województwami idzie każde grono,
Kędy mu prawem miejsce wyznaczono.

V.

Pod szkarłatnego namiotu osłoną,
Na pierwszém miejscu sam prymas zasiada.
Przy nim dokoła senatorska rada,
Któréj biskupie przewodniczy grono:
Lwowski, krakowski, kujawski, poznański,
I daléj rzędem siadają pasterze.
Polak, w miłości wychowany Pańskiéj,
Książąt kościoła rad szanuje szczerze.
Pięknyż to orszak, święty i dostojny,
Obrońców prawa, kościoła i kraju,
Fioletami i purpurą strojny,
Strzeże starego przodków obyczaju;
Za kraj, za kościół, na pociski grotów
Pierś nawet własną nastawićby gotów.

Daléj siadają ojczyzny ojcowie,
Wojewodowie i kasztelanowie.

Serce krainy, ów Kraków Piastowy,
I chrobre Wilno, jak żelazne ramię,
I Lwów, i Kijów o złocistéj bramie,
Wszystko przysłało najpierwsze swe głowy,
Aby w najświętszéj krajowéj obradzie
Wybrać monarchę po sercu i woli.
Bo każda ziemia w doli i niedoli
Do wspólnéj urny swoje losy kładzie;
Bo każda skiba chlebodajnéj ziemi,
Każda krwi kropla i czynszu grosz wdowi,
Mając się wspólnie poświęcić królowi,
Chce wybrać króla głosami wspólnemi.
Przy każdym władza obieralna była,
Ale swe prawa zawierza brat bratu;
Więc oprócz świętéj obrady senatu,
Z każdéj ziemicy, z każdego powiatu,
Uboższa bracia dwóch posłów przysyła,
Aby ich życie i własność ich święta
Nie szły frymarkiem przez *pacta conventa.*

VI.

Senat już zasiadł—i długiemi pary
Posłowie ziemscy do namiotu wchodzą;
Pod obranego przewodnika wodzą,
Witają senat, kreślą swe zamiary;
Prymas ich wita, odpowiada szczerze,
I każdy z posłów swoje miejsce bierze.

VII.

Oto rodzina cała zgromadzona
Ma wybrać ojca za wspólnym oklaskiem;

Piastów, Jagiełłów dostojna korona
Już czeka skroni, by otoczyć blaskiem.
Nie braknie obcych książąt, co dostojnie
Polskę okryją powagą i władzą,
Którzy w pokoju albo w krwawéj wojnie
Dobry ład przodków u nas poprowadzą;
Nie brak i między swojemi rodaki
Męża, co świętość obowiązków pojmie;
Lecz za kim mówią najlepsze poznaki?
Kto najgodniejszą przedstawi rękojmię?
I kogo wybrać?

VIII.

Ościenni posłowie
Wchodzą do izby... cisza tajemnicza...
Każdy w szerokiéj a ognistéj mowie
Swojego pana przymioty wylicza:
—„Bierzcie go, bierzcie na króla, Sarmaci!
„On uszczęśliwi, on was ubogaci!“
Różne są myśli w radzie narodowéj,
Jedni pogodzą, drudzy marszczą czoła;
A prymas posłów temi żegna słowy,
Że się do woli narodu odwoła.
Posłowie kładą wierzytelne listy
Do *Najjaśniejszéj Rzeczypospolitéj;*
Wreszcie odchodzą—i szmer uroczysty,
Szmer nienawiści lub miłości skrytéj,
Rozległ się w kole. Marszałek sejmowy
Uderzył laską, zakrzyczeli woźni,
Szlachta umilka i uchyla głowy,
Zmilkły stronnictwa, co szumiały groźniéj—

I znów koronne i litewskie syny
Sierota matka w bratni węzeł splata,
Stają się dziećmi téj saméj rodziny,
Znowu im serce w jeden takt kołata,
I jedna żądza wszystkie serca pali,
Ażeby ojca ojczyźnie wybrali.

IX.

Prymas, i senat, i rycerstwo klęka,
Oto nastaje uroczysta chwila:
Jak gdyby jakaś niewidzialna ręka
Wszystkie te głowy ku ziemi pochyla;
Jak gdy wiatr zadmie, pochyla się zboże,
Drżą polne kwiatki, jęczą leśne drzewa,—
Polska, Ruś, Litwa, Mazowsze, Pomorze,
„*Przyjdź, Duchu Święty!*“ jednogłośnie śpiewa.
Z tysiąca piersi pobożnéj gromady
Błagalnym hymnem rozlega się niwa;
Ducha Świętego mądrości i rady
Rzeczpospolita na pomoc przyzywa.

X.

Skończono pieśnię do pana Syonu,—
Prymas powstaje z powagą oblicza,
I kandydaty do polskiego tronu
Ze swoich ziomków lub z obcych wylicza;
Zaklina wszystkich, aby była zgoda,
I nie bogactwo na względzie, lecz cnota:
„A kogo Pan Bóg do serca wam poda,
„Na tego rzućcie elekcyjne wota;

„Niech zstąpi na was łaskawa otucha
„Ojca, i Syna, i Świętego Ducha!“
Więc wszyscy kornie uchylają głowy,
Żebrząc nad krajem opieki niebieskiéj;
Powstaje z miejsca marszałek sejmowy,
Poczyna zbierać senatorów kreski.
I zawrzał senat: zdania podzielone,
Każdy swojego chciałby kandydata,
Wota padają nie na jedną stronę,
I brat się nieraz oddziela od brata,
Tak popęd serca lub moc przekonania
Na różne strony chwieje się i skłania.
Konia przed namiot senatorski wiodą,
Siada nań prymas w dostojnéj postaci,
By każdy powiat świętą natchnąć zgodą
I zebrać wota od szlacheckiéj braci.
Tu jeszcze gwarniéj, bo szlachty umysły
Na jedno zdanie zgodzić się nie mogą;
Gdzie niegdzie nawet szablice zabłysły,
Choć broń dobywać zakazano srogo.
Ale na widok książęcia senatu
Płonie rumieńcem gromada swawolna;
Brat rozjątrzony ustępuje bratu,
Wszyscy na króla zgadzają się z wolna,
I szumią tłumy jakby fale wrzące,
Kipią w powietrzu odgłosów tysiące.

XI.

Ale Duch Święty widocznie, widocznie,
Serce narodu ku jednemu skłania.
Wśród niesfornego wrzasku i wołania,
Wciąż jedno imię odzywać się pocznie.

Prymas niechętnych godzi i rozczula,
Ucicha stronnictw wołanie ponure,
Brzmi jedno imię obranego króla
I tysiąc czapek ulatuje w górę:
„*Vivat electus!* tron nabył zasługą,
„Niech nam panuje szczęśliwie i długo!“
Jeszcze gdzie niegdzie, jak w muzyki chórze,
Ozwie się nóta fałszywa, niezgodna,
Jako na morzu, gdy przechodzą burze,
Ostatni piorun chce je wstrząsnąć do dna;
Lecz próżno ryczy i nadstawia czoła,
Cichym wietrzykom oprzeć się nie zdoła.

Bo już Duch Święty na te fale ludu
Wionął swém skrzydłem, wionął w jednéj chwili;
Uczuli w sercach tajemnicę cudu
I ku jednemu swą myśl nakłonili.
Tak w święte imię miłości i zgody
Zbiera ich wota prymas siwobrody.

Pod senatorskim tak samo namiotem,
Wśród niezgód, żartów i hardych przechwałek,
Szumiała burza, lecz ucichła potém,
I zgodne głosy pozbierał marszałek.
I biedny szlachcic, i pan wojewoda
Przed sądem bożym schylają kolana.
Prymas po trzykroć zapytał: *czy zgoda?*
I już *mianuje* wybranego pana.
„Niech żyje!“ echem brzmi pole najdaléj;
Wietrzyk wieczorny pochwycił to echo,

I do stolicy niesie wieść z pociechą,
Że już Polacy monarchę wybrali,
Wybrali tego, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać.

XII.

Kipi w stolicy naród poruszony,
Rzewne uczucie odświeża mu łono,
I jakby cudem ozwały się dzwony,
I jakby cudem światła rozpalono,
Z twierdzy armatnie zahuczały grzmoty,—
Już mamy ojca, już my nie sieroty!

XIII.

I gwar urasta, urasta powoli,
Wciąż go przybywa z przestrzeni gdzieś dalnéj.
Senat i szlachta powraca z pod Woli,
Światłem zapłonął kościół katedralny.
Leci przed kościół kolaska prymasa,
Lecą kolaski państwa dygnitarzy,
Szlachta na koniach harcuje i hasa,
A radość z każdéj uśmiecha się twarzy.
Wszystko co żyje śpieszy do kościoła,
Kościół zaledwie pomieścić ich może;
Każdy co żyje z głębi piersi woła:
— „*Ciebie chwalimy, miłosierny Boże!*“
— „*Ciebie chwalimy!*“ powtarzają dzwony,
A głos ich płynie nad powietrzną falą,

I w całym kraju już serc miliony
Za wybór króla Pana Boga chwalą.
A Bóg już księgę wyroków odsłania
I pisze do niéj losy panowania.

CZĘŚĆ DRUGA.

STAROSTA KOPANICKI.

I.

Tak, kiedy w Polsce umarł August Drugi,
Kraj objął swoje elekcyjne prawa;
A przypomniawszy cnoty i zasługi,
Znów Leszczyńskiego obrał Stanisława.
On był wygnańcem na francuzkiéj ziemi,
Gdy go ubiegli sascy zapaśnicy,
Zadziwiał obcych cnoty sarmackiemi,
Na lotaryńskiéj panując dzielnicy;
A dobrodziejstwa sypiąc w koło siebie,
Cierpiącym bliźnim rad zasklepiać rany,
Sercem na ziemi, myślą goszcząc w niebie,
Był *filozofem dobroczynnym* zwany.
A córka jego, co w ojca szła tropy,
Sarmatka sercem i mową, i głową,
Na najświetniejszym tronie Europy
Zdała się światu królowych królową.
Ojcu się lepsza uśmiechnęła dola,—
Był wybran królem jako Piast nad Piasty,
Choć już utracił szwedzkiego Karola,
O jego sprawę stał Ludwik Piętnasty.

II.

Świetne te związki i świetniejsza cnota
W myślach Polaków gdy obecnie stawa,
Gdy przyszło dawać elekcyjne wota,
Znowu obrali królem Stanisława;
Z ręką na sercu i wielcy, i mali,
Jak go kochali, tak go i obrali.
Co ich obchodzi jakaś tam niełaska,
Albo intryga rakuska i saska?
Gdy się zbierają pod okopy Woli,
Z sumiennėm trzeba występować zdaniem:
Któż tu własnemu sercu nie pozwoli,
By wypowiedzieć, co tam leży na niém?
Sejm elekcyjny gdy o zdanie pyta,
Senat i szlachta głąb piersi odkryje;
Więc wykrzyknęła wnet Rzeczpospolita:
„*Vivat electus! niech Stanisław żyje!*“
I wiatr wieczorny pochwycił to echo,
I do stolicy niesie je z pociechą,
I już wiadomo, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać;
I dzwony głoszą, i armatnie grzmoty:
„Już mamy ojca, już my nie sieroty!“

III.

Gdy umocniony narodu powagą,
Prymas ogłosił królem Stanisława,—
We wsi Kamionnéj, za przedmieściem Pragą,

Zbiegła się kupa wyborców nieprawa.
Tam jednym przestrach saskiego pałasza,
A drugim złoto zawiązało usta:
Cząstka Polaków za króla ogłasza
Potomka Sasów, *Trzeciego Augusta.*
Wsparty potężną trzech dworów pomocą,
Koroną Piastów uwieńczył swe skronie.
Szlachta się waśniąc, choć nie wiedząc o co,
Gwałtem go chciała utrzymać na tronie.
Więc się utrzymał — i do tronu biegą
Po garstkę nagród, jak po cacko dzieci,—
I mimo wybór narodu wszystkiego,
Monarchą polskim został August Trzeci.
Tak było w wiecznéj zapisano księdze,
By na wspak poszła narodowa sprawa.
Mało kto wiernym pozostał przysiędze,
Chociaż ją złożył na rzecz Stanisława;
Nowemu słońcu już każdy się modli,
Nie dba, niełaska czy łaska w tém Pańska.
Gdy Stanisława odstąpili podli,
Z kilku wiernymi schronił sią Gdańska;
Ztamtąd na lichym kupieckim okręcie
Śpieszy się schronić na Zachodu kraniec,
Dwakroć na króla mianowany święcie,
Dziś znowu tułacz i znowu wygnaniec.
Szlachta, zjednana przez grosz i oręże,
Przed nowém słońcem w cześć upada twarzą...
Lecz w staréj Polsce, och! są jeszcze męże,
Którzy przysięgi swéj lekce nie ważą.
Gdy każdy uznał w obec nieprzyjaciół,
Że siłą serca żelazu nie sprosta,—

Jeden z niewiela *Poniński* się zaciął,
Pan kopanicki grodowy starosta.

IV.

Kiedy za obcéj potęgi podnietą
Kładli koronę na Augusta czole,
Stary Poniński: — „*Veto!* — krzyknął — *veto!*
„Jam go nie wybrał, ja nań nie pozwolę!“
I zadrżał August, a z nim dygnitarze,
Nie w smak im poszła wśród ludu przechwałka;
A więc posłano marszałkowskie straże,
Aby zatrzymać i uwięzić śmiałka.
Śmiałek napaści przed kościołem czekał,
Czekał, aż przyjdzie kohorta zajadła;
Straż marszałkowską rozproszył, posiekał,
I już w stolicy wieść o nim przepadła.

V.

Król August Trzeci, za poradą Brühla,
Wciąż swoją siłę Sasami zasila.
I nie masz wioski, i nie masz miasteczka,
Gdzieby się schronić przed niemiecką wartą,
Gdzieby z Niemcami nie wynikła sprzeczka,
Gdzieby narodu serca nie rozdarto.
Tam zbito kmiotka, że niby pijany,
Owdzie szlachcica zakuto w kajdany;
Tam przy gościńcu kapłan z organistą,
Gdy do chorego z Sakramentem śpieszył,

Sas mu odebrał patenę złocistą,
Pokrzywdził starca, albo szablą przeszył.
Senat i szlachta choć do króla woła,
Zanosić skargi — daremna mozoła,
Bo August Trzeci głuchy na bezprawia,—
Chyba ktoś z braci Saksonów wychłosta;
Takim mścicielem Poniński się zjawia,
Pan kopanicki grodowy starosta.

VI.

Piękaż to postać! Stary, siwy, chudy,
Na całém ciele choć policzyć kości;
Oko błękitne, pełne uprzejmości,
Nie świeci blaskiem zdrady lub obłudy,—
Ale z miłością kiedy spojrzy na cię,
To zda się mówić: „Chodź do serca, bracie!"
A z nienawiścią kiedy spojrzy czarną,
To: „Niech cię wszystkie szatany ogarną!"
Miał częstochowski medalik na szyi,
Stary pas słucki podtrzymywał zbroję,—
W imię Jezusa i świętéj Maryi
Już stary żołnierz gotów iść na boje.
A gdy prawicą po czuprynie muśnie,
Lewicą dotknie rzemiennego pasa,
To było ślubem, że póty nie uśnie,
Póki nie zwalczy choć jednego Sasa.
A Bóg mu szczęścił: bo gdy Sas napada
Wdowę, sierotę lub starego dziada,—
Jemu się w wiosce jakaś sprawa zdarza,
I zajrzy w okno, i podsłucha w sieni;

A kiedy w domu nie masz gospodarza,
I do chałupy zajrzeć się nie leni.
A tam broń Boże jaki żołdak saski
Pokrzywdzi chatnich, lub wszczyna niesnaski,—
Och! wtenczas biada, o! biada Sasowi,
Gdy go Poniński w swoje kleszcze złowi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

NAPAD NOCNY.

I.

Przy dworze Dłuskim, pod miastem Skwierzyną,
Kędy starosta kopanicki bawi,
Mniéj od Saksonów kraj cierpiał bezprawi,
Bo tam starosta był tarczą jedyną.
Bezpieczniéj kmiotek przejeżdżał do miasta,
Bezpieczniéj grunta orano i siano,
Bezpieczniéj dziecię lub słaba niewiasta
Mogli wypocząć pod strzechą słomianą.
Kopanickiego starosty nazwisko
Błogosławiła każda wiejska chata...
Lecz i nad jego głową cios już blizko, —
Jakaś złowroga przepowiednia lata...
  Ciemno na dworze, noc się rozpoczyna,
Bucha w komnacie światło od komina,
Od blasków ognia, zda się, gore ściana,
W świetny rynsztunek i oręż przybrana.
Stary Poniński smutnemi oczyma
Patrzy na fale i skręty ogniska,

Wolumen prawa w jednéj ręce trzyma
A drugą syna do piersi przyciska.
Dwuletnie dziecię w niewinnéj swawoli
Oburącz targa za suty wąs dziada;
Dziad zadumany nie zważa, że boli,
Bo cięższa boleść serce mu przejada.

II.

Młoda niewiasta, siedząca w półcieniu,
Zda się aniołem stróżem bohatera;
Drobną mu rączkę zwiesza na ramieniu
I piękną główkę na piersi opiera;
I sama smutna — bo jéj dusza tkliwa
Przyczynę smutku u starca zgadywa.
—„Żono ty moja, i ty synu mały,
„Drodzy wy moi... wy żywi i zdrowi...
„Jak smutno myśleć, że Nieba nie dały
„Bezpiecznéj doli naszemu krajowi!
„Jak smutno umrzeć z tą palącą myślą,
„Że pod nieprawém berłem panowania,
„Już naszych swobód prawa nie okréślą,
„I nic waszego życia nie osłania!
„Nieprawny obiór i Sasa uciski,
„Domowe wojny i bratnie niezgody,
„Pewno mi wróżą, że już koniec blizki
„Naszych praojców najświętszéj swobody.
„Pod starém prawem ujrzałem świat boży,
„Żyłem pod królem i pod sejmów władzą, —
„I nim się kości do trumny położy,
„Starego prawa jeszcze nie zagładzą;

„Lecz po mnie... po nas... ty i nasze dziecię
„Jakże w téj Polsce bezpieczni będziecie?
„Elektor saski, co się królem zowie,
„Puścił po kraju zastęp rabowniczy;
„Twój chleb, twój pieniądz, nawet twoje zdrowie
„I wszystko twoje — twojém się nie liczy.
„Mała otucha, że naszéj ustroni
„Jeszcze mój pałasz od ucisku broni.
„Na mojéj głowie już słabe nadzieje:
„Choćbym was pragnął bronić najgoręcéj,
„Ręka się chwieje, żelazo tępieje,
„A oni mocni, a coraz ich więcéj.“

III.

—„Rzuć czarne myśli, — odpowie niewiasta—
„Przestań się dręczyć urojoną trwogą,
„Bo jeszcze długo nasze wsi i miasta
„Pod twym orężem bezpiecznie spać mogą;
„I jeszcze w kraju mężów jest niemało
„Z odważném sercem i z odważną dłonią,
„Którzy za prawa zastawią się śmiało
„I bezpieczeństwo swych dachów zasłonią.“
Starzec się zaśmiał: —„Och, ci stróże prawa!
„Ty nie uwierzysz, jacy oni mali:
„Umieli królem wybrać Stanisława,
„Ale wyboru poprzeć nie zdołali.
„Czyż nie wiem codzień przez listy i gońce
„O moich ziomków słabości zbrodniczéj?
„I że to saskie fortunniejsze słońce
„Coraz to nowych zwolenników liczy?

„To za starostwo, to za trochę groszy,
„Codzień elektor stronniki swe mnoży:
„Stanisław w nędzy, a Sas ich panoszy,
„Więc niosą serce, gdzie przedać je drożéj.
„W Polsce, na Litwie, na Rusi i wszędzie,
„Codzień zdrad nowych odkrywa się zaród.“

IV.

—„Przebacz mi, mężu... możeś ty sam w błędzie,
„Może gdzie większość, tam cały jest naród.
„Kiedyśmy Sasom oprzeć się niezdolni,
„Tak widać w losów zapisano księdze.
„Znam, co winieneś poddańczéj przysiędze,
„Lecz od przysięgi sam Bóg cię uwolni,—
„Bóg, co Augusta umacnia na tronie,
„Co mu pomyślnych wypadków udziela...
„August cię liczy za nieprzyjaciela,
„August ku tobie nienawiścią płonie;
„Swoje rajtary i swoje hussarze
„Przysłał na ciebie, jak chmurę szarańczy.
„Jedź do Warszawy, złóż mu hołd poddańczy,
„A on twe wioski poszanować każe;
„A wtedy, mężu—tak mi serce szepce—
„Syn twój spokojniéj spać będzie w kolebce.“

V.

—„Niech umrze raczéj! — rzekł starzec z zapa-
„Gdy życie jego mam kupić niesławą. [łem,

„Stanisławowi przysięgę składałem,
„Któż od mych przysiąg rozgrzeszyć ma prawo?
„Zgwałcono nasze odwieczne statuta,
„Złamano wybór najlepszego z króli,
„Ziemia sarmacka okowami skuta, —
„Jaż mam się łączyć z tymi, co ją skuli?
„Jaż mam raz drugi poprzysięgać zdradnie?
„Niech ten dom raczéj na głowę mi spadnie!“

VI.

Rzekł i dziecinę ze swych kolan spycha,
I odszedł w ciemnéj komnaty ustronie.
Jakaś wątpliwość, czy narada cicha,
Snadź w jego męzkiém odbywa się łonie.
Żona nieśmiało przyjęła pacholę,
Ukołysała, w płaczu utuliła,
I przeżegnała, i za jego dolę
Cichą modlitwę do Niebios posyła.

Starosta spojrzał na żonę, na syna,
Jak chcąc przebłagać jednym oka rzutem;
Potém się znowu zbliżył do komina
I znowu pilnie zasiadł nad statutem,
I po raz setny źrenicą ciekawą
Zgłębia narodu kardynalne prawo.

Jedna i druga chwila tak upłynie;
Nastała cisza, tylko przerywana
Szelestem karty, lub wiatrem w kominie,
Lub silnym pryskiem smolnego polana.

VII.

Szanując dumkę tęsknego rycerza,
Młoda małżonka odeszła z komnaty.
On przejrzał broń swą, bo jutro zamierza
Znowu wyruszyć na zwyczajne czaty,
Przyjść przeciw Sasom na pomoc kmiotkowi,
Zbawić sierotę, ocalić grosz wdowi.
Na swoim dworze starosta posiadał
Mężnych i bitnych Kozaków półsotek,
A w jego wiosce każdy młody kmiotek
I strzelał celno, i szabliskiem władał.
Znali ich Sasi po hardéj postawie,
Czuli ich przyjście po pyłu kurzawie.

VIII.

Ale starosta swój huf niezwalczony
Wyprawił kędyś w odleglejsze strony.
Czeka powrotu z obawą widoczną;
Powrócą w nocy,—a jutro do ranka,
Ludzie wypoczną i konie wypoczną,
I znowu będzie Sasom niespodzianka.
U pruskich granic stojąc na załodze,
Słychać kaplicę spalili przy drodze;
Więc niechaj polskie nauczą pałasze,
Jak to świętości poszanować nasze.
Iskra po iskrze ognisko przygasa,
Godzina jedna i druga wybija,—
Starosta, marząc o pobiciu Sasa,

Szepce *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Marya.*
Myśl jego lata w przeszłości dalekiéj,
Wśród lepszych czasów i dzielniejszych ludzi;
Aż sen łagodny zamknął mu powieki,
Choć czujne ucho każdy szmer przebudzi.

IX.

Tak, gdy w milczeniu nocy uroczystém
Dusza starosty lepsze światy marzy,
Kozak, u bramy stojący na straży,
Hasło baczności dał przeciągłym świstem.
W sto kopyt końskich zatętniła droga,
Leci huf jezdny, dwaj starsi po przedzie;
Musi to swoja powracać załoga.
Kozak u bramy zapytał:—„Kto jedzie?“
Gdy w téjże chwili krzyknięto surowo,
I strzał ruszniczny palnął mu nad głową.

X.

—„Otwieraj wrota!“—ktoś huknął z niemiecka,
Aż zlękły Kozak cofnął się ku bramie,—
I sto rajtarów, jak kupa zbójecka,
Hurmem się kupi i wrzeciądze łamie.
Głucho stęknęła brama już otwarta,
Rozległ się łoskot aż po całym dworze.
—„Kto jedzie?“—krzyczy starościńska warta,
Lecz gwałtu gwałtem odeprzeć nie może;
Grzmotnęła z rusznic—po małym przestanku
Drugi raz, trzeci—i skryła się w ciemnie.

Ale już opór stawić nadaremnie,
Wodzowie sascy już stoją przy ganku;
A ich rajtary w téjże saméj chwili
Pałac starosty w koło otoczyli;
Snadź tutaj przyszli z mordem i łupieżą,
Bo w każde okno ze dwóch rusznic mierzą.

Starosta, z marzeń zbudzon wystrzałami,
Skoczył do okna, ujrzał hufiec Sasa,—
I już się próżną nadzieją nie mami,
Szablę na prędce przywiązał do pasa,
Zatlił w kominie żelazny kaganek,
I przy wybuchu rzęsistych płomieni,
Wyszedł do gości, co obległszy ganek,
Już drzwi zamczyste łamali do sieni.

XI.

— „Kto tam i po co?“
— „Otwórz w imię prawa!“
Głos jakiś dziki krzyknął z tamtéj strony.
Drzwi się otwarły—przed starostą stawa
Starościc Unrug, w pancerz uzbrojony.
Dawny przyjaciel i syn przyjaciela,
Dzisiaj go saska zhołdowała władza,
On o staroście wiadomość udziela,
On w jego dworzec gości naprowadza.
A za nim Hesler, znajomy wódz saski,
Co, za rabunki swojego orszaku,
I dotąd jeszcze ze starosty łaski
Zranioną rękę nosił na temblaku.

XII.

— „Zdaj się, bo zginiesz! — tak Hesler zawo-
„Czas porachunku! twe żniwo ustało.“ [ła—
Staroście Unrug, spojrzawszy z pod czoła:
— „Zdaj się, starosto...—wymówił nieśmiało—
„Widzisz tu we mnie brata, nie siepacza;
„Chcę cię wyzwolić w téj ciężkiéj potrzebie.
„Król August Trzeci winę ci przebacza,
„Tylko przysięgi wymaga od ciebie.
„Zdaj się, starosto! a na znak pokory
„Oddaj twą szablę, bo jesteś w areszcie.“

XIII.

— „Zdać się... król August... a któż wy jesteście,
„Co śmiecie w nocy najeżdżać na dwory?
„I któż mi prawo obrony odejmie?
„Oddać wam pałasz? ani mi się ruszcie!
„Ja byłem posłem w elekcyjnym sejmie,
„Lecz nie słyszałem o królu Auguście.
„Elektor saski, gdy ma jakie prawa
„Do berła Piastów—niesprzecznym w téj mierze:
„Jest na to Wola, jest na to Warszawa,
„Jest na to naród—niechaj go wybierze.
„Wtedy, panowie, tak mi pomóż Boże,
„Ja sam najpierwszy przysięgę mu złożę,
„Ja sam mu będę poddany najszczerszy;
„Lecz teraz: *vivat król Stanisław pierwszy!*“

XIV.

— „Vivat Stanisław!“—krzyknął z drugiéj stro-
Głos chrapowaty, jak surma bojowa. [ny
Pan Piotr Olędzki, rębacz doświadczony,
Co go starosta na swym dworze chowa,
Co był staroście jakby prawa ręka,
Co się ni Sasa, ni czarta nie lęka,—
Przybieżał k'panu jako wierny sługa,
Kiedy posłyszał strzały i hałasy,
I nie zważając, że tuż stoją Sasy,
Płatnął szabliskiem po głowie Unruga.
Szabla, puszczona omackiem i w ciemnie
Zgrzytnęła tylko po hełmie wzdłuż skroni,
Sypnęły iskry... Unrug się posłoni,—
Cios spaść miał znowu, ale nadaremnie;
Bo nim zaświstał znowu nad przyłbicą,
Dziesięciu Sasów porwało się skoro,
Już pana Piotra rajtary pochwycą,
Na smycz rzemienną jego ręce biorą.
Płatnął pałaszem, poprzecinał węzły,—
Płatnął raz jeszcze, lecz trudne staranie,
Bo się zatrzymał jego miecz, zagrzęzły
W miękkim łosiowym rajtara kaftanie.
Raniony rajtar chwieje się, uklęka,
I krzyczy z bolu, i zębami zgrzyta,—
I wkrótce jedna, potém druga ręka
Znowu za barki pana Piotra chwyta.
Pan Piotr zrozumiał nierówne obroty,
Trącił żołdaka, co jęczał od bolu,
Z rąk się wywinął, umknął między płoty,—

Rajtary za nim—szukaj wiatra w polu!
Strzelono w pogoń raz, drugi i trzeci;
Lecz pan Piotr umknął, dobrze świadom drogi.
Tylko gdy wystrzał dziedziniec oświeci,
Starosta widzi, że Sasów huf mnogi,
Że jego hufiec nie wrócił z podróży,
Że nocna walka na nic nie posłuży.

XV.

Więc cisnął pałasz i wyrzekł z zapałem:
— „Bierzcie mię w więzy, gdy wam siła dana;
„Lecz elektora nie uznam za pana,
„Bo już innego monarchę wybrałem!“
— „Jak wola wasza, miłościwy panie!
„Mamy królewski mandat oczywisty,
„Więc musim wasze obejrzeć mieszkanie,
„Zabrać oręże i przeczytać listy;
„A tego u was musi być zbiór duży,—
„Mnie pan starościc tłómaczem posłuży.“
Wzięto kaganiec, i Sasów gromada
Hurmem do komnat staroscińskich wpada.
Jeden za drugim żołdak podżegany
Błyszczące zbroje odziera ze ściany,
Ze starych szablic gorzko się najgrawa,
Co były świętém dziedzictwem rodziny,
Chociaż tam plama zardzewiała, krwawa,
Jeszcze z pod Wiednia, jeszcze z pod Byczyny,
Mogła zaświadczyć, że w imieniu bożém
I bronić drugich, i bronić się możem.
I pism szacownych starożytne pliki,

I pamiętników rodu foliały,
I świeższe listy, co w półkach leżały,
Wszystko to żołdak porabował dziki.
Gdy jaki świstek lub pergamin rzadszy
Starosta chciałby ocalić z grabieży,
Hesler powiada, że to sąd rozpatrzy,
A rozpatrzywszy, zwróci jak należy;
Tymczasem wszystko w jeden zwitek kręci,
Łamie pergamin i kruszy pieczęci.
Jak lew starosta w swych więzach się targa,
Lecz walczyć z tłumem daremne nadzieje,
Daremny protest, wołanie i skarga,
Że się krajowym swobodom gwałt dzieje.

XVI.

Młoda małżonka, strwożona, wybladła,
Ocalić męża do komnaty wpadła.
Daremne jęki słabéj białogłowy, —
Chciała przed Sasem uklęknąć nieśmiało,
Ale ją wstrzymał wzrok męża surowy,
Zamknął w jéj piersiach rozpacz oniemiałą.
— „Słuchajcie waszmość! — rzecze do Hesle-
„Waszéj przemocy oprzeć się nie mogę. [ra—
„Macie mnie więzić! gdzież wodza kwatera?
„Już świt—co prędzéj puszczajmy się w drogę.
„Czemuż mi dotąd kajdan nie kładziecie?
„Już mię prowadzić rozkażcie swéj straży.
„Oszczędźcie, proszę, zbolałéj kobiecie
„Widoku waszych rozbójniczych twarzy.“
— „Wszystko, starosto, pójdzie w swoją ko-
[léj!“

Odpowie Hesler z szyderstwem na twarzy.—
„Ty, piękna pani, namawiaj go woléj,
„Niech doma siedzi, niechaj gospodarzy,
„Niechaj królowi hołd poddaństwa składa,
„Niechaj na jego wojska nie napada.
„Tak... po rycersku... niech rękę mi poda,
„A ja rozkażę rozwiązać mu plecy.
„Trochę za przeszłość posiedzi w fortecy,
„I znów nastąpi pożądana zgoda!“

XVII.

Gniew groźny osiadł na starosty czole,
Wzgarda zmarszczyła jego brwi sokole.
— „Żołdaku! — rzecze z postawą wyniosłą —
„Po coś przysłany, czyń twoje rzemiosło.
„Musisz dopełnić, co ci rozkazali,
„Choć prawo więzić szlachcica zabrania;
„Lecz wara tobie zapuszczać się daléj,
„W obywatelskie wchodzić przekonania!“
— „Jak się podoba,—jeśliś tak uparty,
„Muszę cię stawić przed zwierzchności władzą!“ —
Odpowie Hesler — i krzyknął do warty:
„Niech go wywiodą i na konia wsadzą!“
Spełnił się rozkaz — wyszła ciżba cała
Z hałasem, brzękiem i urągowiskiem.
Małżonka nawet męża nie żegnała;
Bo pod przestrachu i żalu naciskiem,
Taki ból w sercu, tak w głowie się mroczy,
Że skamieniała, jak posąg rozpaczy;
Błądzą dokoła nieprzytomne oczy,

Lecz nie pojmuje, co to wszystko znaczy.
Wreszcie do okna podbiega jak we śnie,
Słucha... już hufiec wyjechał za wrota...
—„O dziecię moje! — krzyknęła boleśnie —
„Tyś już sierota!!...“

XVIII.

Jesienne słońce z pod deszczowéj chmury
Wyjrzało rankiem i w chmurach się chowa.
Lecz Dłuski dworzec smutny i ponury,
Jakby tu przeszła zaraza morowa.
Służba ze strachu gdzieś pierzchła na stronę,
Przy bramie leżą dwa trupy ze straży,
Przy nich psy wyją; przez okna stłuczone
Wpadłszy do komnat, wicher gospodarzy;
Sprzęty popsute i ściany odarte,
Gdzie niegdzie pochwa staroświeckiéj broni,
Wiatr po podłodze rozwiewa gdzieś kartę...
A pani, blada, oparta na dłoni,
Nie wie, co począć:—przestrach tajemniczy,
Odjął jéj siłę, odrętwił ją samą.
A małe dziecię z kolebki jéj krzyczy:
—„Daj wody, mamo! weź na ręce, mamo!“
Ręce zdrętwiały — a tu w całym domu
I kubka wody nie masz przynieść komu.
Nieprędko słudzy zeszli się do pani,
Aby ją złożyć na niemocy łoże;
Nieprędko przyszli strwożeni poddani
Zobaczyć, co tam działo się we dworze.
Aż zapłakali—bo wszędzie ruina,

Jaka po Sasach bywała zwyczajnie;
Zginęły z piwnic stare stągwie wina,
Konie najlepsze zginęły ze stajnie,
Tylko myśl jedna utwierdza ich w wierze:
Kozactwo wróci—i pana odbierze.

XIX.

Wróciła zresztą i kozacka jazda,
Straż opiekuńcza okolicy całéj,
Jako sieroce orlęta do gniazda,
Zkąd już ich wodza sokoły porwały.
Pan Piotr Olędzki wielce boleściwy
Z gorzkiemi łzami przemówił do sotni:
—„Bracia mołojcy! patrzcie, przez Bóg żywy!
„Co tu zdziałali Saksonowie psotni!
„Oj! gorzkiéj, gorzkiéj zadali nam soli,
„Pan Bóg na ciężką przeznaczył nas chłostę!
„Pani w chorobie, a pan nasz w niewoli.
„Héj! może odbić uda się starostę!“
—„Jedźmy!—krzyknęli—Sakson nie uciecze!
„W pień wyrąbiemy Heslera załogę!“
Popaśli konie, wyostrzyli miecze,
Wzięli kul, prochu i chleba na drogę,
Krzyżyk na piersi—i po twardéj błoni
Huf starościński w kopyta już dzwoni.
Trzy dni, trzy noce, od chwili do chwili,
Pani się wszystkich niespokojnie pyta:
Czy już Kozacy z wyprawy wrócili?
Czy z dala końskie nie tętnią kopyta?
Lecz słudzy wierni, ale obojętni,
Zawsze odpowiedź dają jednéj treści:

Że o Kozakach ni słychu, ni wieści,
Że nić nie widać, i droga nie tętni.

XX.

Powrócił wreszcie oddział podjazdowy,
I rozdarł smutkiem biednéj pani łono:
Że zdołał dotrzeć do miasta Kargowy,
Lecz tam w koszarach pana osadzono;
Więc się i kusić nie było już po co,
Wykraść fortelem lub odbić przemocą.
Ztamtąd go w nocy wywieźli do Drezna,
Otoczonego niezliczoną strażą;
Tam na Augusta przysięgać mu każą,
A on odmówi, on przymusu nie zna.
—„Och, dobra pani! z tą niemiecką zgrają
„Jeszcze nas długie cierpienia czekają,
„Dni pełne trwogi, niespokojne noce.
„Jedną pociechę i jedną mam radę:
„Wezmę Kozaków, na drogę wyjadę,
„I choć jednego Saksona wygrzmocę!“
Tak pan Olędzki pociesza się w smutku.
W to graj Kozactwu! ruchawka nie trudzi.
Co zapowiedział, to dotrzymał w skutku,
Wybrał pięćdziesiąt najdzielniejszych ludzi,
I ruszył na świat;—a kędy napotka,
Że Sakson skrzywdził szlachcica lub kmiotka,
Że się dopuścił rabunku w kwaterze,
Albo niesłuszne prowianty bierze, —
Pan Piotr jak piorun wpada na bezprawia,
I wedle sądu, jako czego warci,

Jednych Saksonów do grodu dostawia,
A drugich płazem albo ostrzem karci.
To gościł w wioskach, to się skrywał w lasy,
Jak za warowną bezpieczeństwa ścianę;
A jego imię często w tamte czasy
Po wioskach polskich było wspominane.

CZĘŚĆ CZWARTA.

WIĘZIENIE W SONNENBURGU.

I.

Piękne są Elby germańskiéj wybrzeża:
Na łąkach trawka kołysze się świeża,
Piękne pagórki uweselą oko,
Zielony gaik odbija się w wodzie,
Pod piękném niebem, wysoko, wysoko,
Szczęśliwy ptaszek śpiewa na swobodzie,
Szczęśliwa rybka pod wodą swawoli,
Wszystko rozkoszą oddycha w naturze...
Tylko na pięknéj Sonnenburga górze
Człowiek zbudował straszny dom niewoli.
W około groźną, niedostępną ścianą
I słońcu nawet wchód zamurowano.
Od baszt i strzelnic wieje zimna trwoga,
Z okien sklepionych patrzy noc złowroga;
A głos żołdaka i szczękot pałasza
Puszczyki nawet od murów odstrasza.

Żelazne kraty świadczą w każdém piętrze,
Że uciec nie ma żadnego sposobu;
A jakież straszne musi być wewnętrze
Tego dla żywych ceglanego grobu!

II.

Noc... głucha cisza... W izdebce więziennéj
Pali się lampka blaszana ukryta;
Za drzwiami szyldwach na tafli kamiennéj
Brzęknie pałaszem aż w sercu zazgrzyta.
Knot lampy parsknie, ćma nocna zaskwierczy,
Gdy wpadnie w płomień z niebacznych igraszek,
I znowu cisza... chyba nocny ptaszek
Przyśle swą piosnkę, jak na śmiech szyderczy,
Lub mucha, wpadła do sieci pajęczéj,
W szybce więziennéj o ratunek jęczy.

III.

Tam na słomianym zwitku materaca
Śpi ktoś, a serce uderza mu skoro;
Podeszły więzień targa się, przewraca:
Znaczno, że z senną pasuje się zmorą;
Znaczno, że robak morderczy dla ducha
W najboleśniejszą wpił się serca stronę;
Znaczno, że szatan szepce mu do ucha:
Życie stracone, czyny niespełnione!
Zerwał się więzień z twardego posłania
I senną ręką uczynił znak krzyża,
I znowu głowę na materac skłania,—
Znaczno, że szatan już się nie przybliża,

Znaczno, że więzień sny lepsze już marzy,
Bo spokój Pański odbił się na twarzy.
Młodość i spokój przed więźniem i starcem
Płoną, migocą barwy tęczowemi:
Śni, że po swojéj rodowitéj ziemi
Pierwszym wojennym występuje harcem.
Przez niezmierzone stepy Ukrainy,
Przez Wołoszczyznę i podolskie skały,
Kędy się snuły jego młode czyny,
Lata myśl jego i duch rozbujały.
Na wiernym siwku, z wiernym mieczem w dłoni,
W trop króla Jana hasa pod Kamieńcem;
Biją mu pulsa na gorącéj skroni,
Jakby laurowym opasane wieńcem;
Śni, że był z królem, że pokonał wrogi,
I że ich sztandar składa mu pod nogi...
Szyldwach zabrzęczał—bo więzień w téj porze
Okrzyk tryumfu wydał jakiś może...
Ocknął się więzień—ale nie na długo,
Bo sen tęczowy nowe kształty bierze:
Grzmoce kapela, wino tryska strugą,
A on na uczcie prowadzi tancerze;
A w jego ręku drży niewieścia ręka,
Biała jak mleko, a droga jak życie;
Jak taniec każe, on przed nią uklęka,
I pieści oczy w nadziemskim zachwycie.
Znów poszli w taniec—wesołość wybucha,
Na jego ręku wspiera się dziewoja,
I w wirze tańca szepce mu do ucha:
„Jam twoja, luby! jam na wieki twoja!“
On przez sen nóci i w dłoń klasnął dłonią,
Kiedy mu serce zakipiało żwawo...

Szyldwach powtóre zaszczękotał bronią:
Tu pieśń wesela wzbroniona ustawą!

IV.

Zbudził się—usnął—i słyszy organy,—
Snuje się orszak zebrany na gody;
A on, w złocistą delię przybrany,
Idzie przed ołtarz—szczęśliwy pan młody!
Piękna jak jutrznia, wesoła jak wiosna,
Daje mu rękę i staje z nim razem...
Pieśń na organach głośna, bardziéj głośna,
Dobrze znajomym przepływa wyrazem.
To hymn do Ducha, co swe łaski zlewa,
Którego darów dla duszy wzywamy...
I ton ten samy, i wyraz ten samy,
Prymas na polu elekcyjném śpiewa.
W muzyce hymnu, w sennéj wyobraźni,
Sejm elekcyjny zmieszał się z weselem,
I serce więźnia uderzyło raźniéj,
Że jest małżonkiem i obywatelem.
Dziwne się w piersiach kołysze uczucie,
Sny promieniste latają nad głową...
Lecz cóż to znaczy, że nóta po nócie,
Hymn się przemienia na pieśń pogrzebową?

HYMN.

„Dzień, on dzień straszny, zbliża się gniew boży,
„Świat na proch zetrze i w gruzy położy;

„A Dawidowi tylko i Sybilli,
„Dano być świadkiem téj okropnéj chwili.
„Cóż poczną grzeszni? gdzie schronić się mogą,
„Gdy i cnotliwy zalęknie się trwogą?
„Królu straszliwy...“

* * *

Wtém na zmianę warty
W trąbkę i bęben uderzyły straże;
Ocknął się więzień, z marzenia wydarty,
Gdzie jest przypomniał—pierzchły miłe twarze,
I znane miejsca, i młodzieńcze dzieła,
I cała przeszłość w grób się osunęła.
Lecz co za dziwy, że w nocnéj zaciszy,
Pieśń pogrzebową i na jawie słyszy?
Słyszy wyraźnie, gdy ucho natęży,
Słowa łacińskie i śpiewanie księży:

* * *

„Królu straszliwy, co zbawiasz wybrane,
„Niech i ja grzeszny w ich liczbie zostanę.
„Ty jawnogrzesznéj, błędnéj Magdalenie,
„Łotrowi z krzyża dałeś przebaczenie;
„Tyś sam i na mnie spojrzał po kolei,
„I spuścił w serce iskierkę nadziei.
„Usz twych niegodne wołanie nędzarza;
„Lecz przebacz, Panie! piekło mię przeraża,
„Gdzie potępieni wołają w rozpaczy...

. . . .

V.

Więzień wstał z łóżka i we drzwi zapuka:
—„Hola, żołnierzu, co ten odgłos znaczy?

„Kto tutaj śpiewa?“

—„To nienowa sztuka,
„To umarł Polak, czy Litwin do licha,
„Stronnik Leszczyńskich, podobny do ciebie;
„Więc pan komendant sprowadził tu mnicha,
„Co go w kaplicy ze śpiewaniem grzebie.
„Ta sama koléj i nad twoją głową,
„Bo w Sonnenburgu Polakom niezdrowo.
„Cicho siedź w celi.“

VI.

— „Mój Boże! mój Boże!—
Zawołał więzień, siadając na łoże: —
„Żem wybrał króla, jak prawo kazało,
„Żem mu przysięgnął, jak chce zwyczaj stary,
„I żem w swém sercu postanowił śmiało
„Krzywoprzysięztwem nie złamać méj wiary,—
„To już mi za to odetchnąć niewolno
„Powietrzem kraju, co śnił się tak błogo,
„To mam umierać śmiercią tak powolną,
„Nie zobaczywszy ze swoich nikogo!...
„Kraj... żona... dziecię... rodzicielska niwa...
„Do nich, och! do nich serce się wyrywa,
„Myśl do nich śpieszy, sen do nich ulata,—
„A tutaj rygiel i żelazna krata!...
„Panie Zastępów! umocnij me ramię,
„Rygle rozbiję i kraty połamię!“

VII.

Chwycił za sztabę żelazną okienka,
Lecz była mocno zasklepiona w ścianę;

Tylko zuchwała skrwawiła się ręka,
Uderzył głową w sklepienie ceglane,
Zachwiał się, upadł... i po małéj chwili
Począł modlitwę szeptać już swobodniéj,—
Snadź aniołowie na pomoc przybyli:
„Boże! to rozpacz—zachowaj mię od niéj!“
I długo, długo modlitwa strzelista
Leciała z piersi, jak ptaszek do nieba;
Musiała trafić wprost na serce Chrysta,
Bo Chrystus przysłał, co duszy potrzeba,
Co w każdéj walce zapewnia zwycięztwo,—
Wiarę, cierpliwość i żelazne męztwo.

VIII.

Nazajutrz przybył komendant zamkowy,
Wziął go za rękę i z dobrocią mówi:
—„Panie starosto! żal mi twojéj głowy;
„Zostaniesz wolnym—przysięgnij królowi.
„Król August Trzeci k'Polakom ochoczy,
„Winę przebaczy, łaską cię otoczy.“

IX.

Rzecze starosta:—„Wedle praw narodu,
„Anim go wybrał, ani mu przysiągłem.
„Że trzyma Polskę w niepokoju ciągłym,
„Miastom i wioskom każe umrzeć z głodu,
„Zalał nam ziemię swoich wojsk nawałem,
„Nie dziw, że miecza z pochew wydostałem.

„Jeśli jest królem, jako wam się zdawa,
„To dlań przysięga powinna być święta:
„A łamie statut i *pacta conventa*,
„I mnie... szlachcica więzi, mimo prawa.
„Gdy Stanisława obrano pod Wolą,
„A August siebie podtrzymać był gotów,—
„To, zamiast Polskę napełnić niedolą,
„Dla czego prawnych nie użył obrotów?
„Dla czego żaden ze stronników Sasa
„Nie rzekł:—Ja zdania przeciwnego jestem!—
„I w obec sejmu, i w obec prymasa
„Nie chciał z publicznym przyjść k'nam manife-
„Czyście zwołali rokoszowe koło, [stem?
„Jako zwyczaje staropolskie chciały?
„Czy wasz marszałek stawił komu czoło,
„Słał do powiatów swe uniwersały?
„Te wszystkie stare statutu koleje
„Lekceważono na drezdeńskim dworze;
„Lecz kraj świętemi formami istnieje,
„Których bezkarnie pogwałcać nie może.
„Czyż kiedy łamią przysięgę swawolni,
„To już ich przykład prawo nam stanowi?"
—„A jeśli papież od przysięgi zwolni,
„Czy przysiężecie wiarę Augustowi?"
—„Nie, generale,— rzekł więzień uprzejmie.—
„Rzym niczyjego sumienia nie zmusza!
„Będąc na przeszłym elekcyjnym sejmie,
„Dobrzem wybadał zdanie nuncyusza.
„Próżno na wasze namowy liczycie,
„Próżne zabiegi, próżne wasze prace:
„Straciłem wolność, utracę i życie,
„Ale sumienia i czci nie utracę.

„Obrałem jedną przekonania drogę,
„Elektorowi poprzysiądz nie mogę.“

X.

Odszedł komendant. I znowu staroście
Długie tygodnie męczeństwa nastały.
Czyli noc czarna, czy dzień nadszedł biały,
On zawsze jeden—a tylko dwie goście
Przyszły do niego, dwie żmije morderce:
Jedna mózg kąsa, druga szarpie serce.
—„Tam za górami, och! tam za rzekami,
„Twój kraj sinieje, twój domek bieleje,
„Tam wszyscy twoi pozostali sami,
„Pierzchły z ich serca najdroższe nadzieje.
„Ten, który tutaj nad tobą się znęca,
„Pewno i dom twój bezbronny uciska;
„I żałość wdowia, i boleść dziecięca
„Pewnie mu służy do urągowiska...
„Wczoraj mówiono, że jest list od żony,
„Lecz go posłali, by złożyć przed władzą;
„Stary mój sługa od bram odpędzony,
„Pewno mu do mnie przystępu nie dadzą.
„Napróżno chciałbym wybadywać straże,
„Żołdak coś mruknie i milczeć mi każe.
„Gdyby mi papier, gdyby dano pióro,
„Ująłbym w karby moją myśl ponurą:
„Gwarzyłbym z tymi, co mię krata dzieli,
„Moje boleści w słowaby się zlały;
„List długi, długi pisałbym dzień cały,
„Do żony, dziecka, współobywateli.

„Lecz mi zabrano papier nienawistnie,
„A tu dni moje tak okropnie płyną!
„Sen jest dla więźnia osłodą jedyną,
„Lecz kiedy zasnę, to znowu ich przyśnię;
„Wciąż w jedną stronę myśli mi się garną,
„Zawsze ich widzę krwawo albo czarno.
„Nie chcę ich widzieć, myślą nie pogonię;
„Ot czémś uboczném chcę rozerwać siebie.
„W oknie tak ciemno, z murów wilgoć zionie,
„Deszczowe chmury muszą być na niebie.
„Jesień... mój Boże, jak to życie leci!
„Gdzie się podziała nasza wiosna młoda?
„W tym kraju słońce posępniéj coś świeci,
„U nas daleko piękniejsza pogoda.
„Pan Bóg dał wszystko naszemu krajowi,
„Ale niezawsze fortunną dał dolę:
„Poczciwe serce, urodzajne pole,
„Cóż kiedy duchem niezawsześmy zdrowi?
„Gdy starsi bracia, nęcąc nas swobodą,
„Niebaczną szlachtę do niewoli wiodą,
„Niezgodni w kraju najświętszych obradach,
„Rodzim zatargi i wojny domowe,
„Chodząc po krwawych doświadczenia śladach,
„Codzień to klęski spotykamy nowe.
„A Pan Bóg karze, och! karze nas za to,
„Wkrótce do końca może obezsili...
„Ot! dym pożarny widzę nad mą chatą!
„Pewnie Saksoni ogień podłożyli.
„I ręce łamie nieszczęśliwa żona,
„Bo na jéj głowę cierpieć już za wiele!
„Dziecię w kolebce zachodzi się, kona...
„Musiało skonać—słyszę dzwon w kościele...

„Zgiń, czarna maro! Zkąd taka myśl płynie?
„Przecięż nie miałem myśleć o rodzinie!...
„Chcę zapomnienia rozkoszy niebieskiéj...
„Odwróćmy myśli—przejrzyjmy te ściany.
„Tu jakiś więzień polski zapisany:
„*Jakób Sobieski... Konstanty Sobieski...*
„Jak to? więc oni—więc w téj saméj celi
„Króla mojego synowie cierpieli!
„Ich własne ręce na sczerniałym murze
„Wyryły swoje męczeńskie nazwiska!
„Może duch ojca unosi się w górze,
„Więzienie synów rozpatruje z blizka,
„A serce jego, boleścią zatrute,
„Tutaj odbywa za Wiedeń pokutę.
„Monarchy mego bohaterska duszo!
„Och! gdybyś w lepsze nie odeszła światy,
„Ci, którzy Sasów dziś lękać się muszą,
„Mieliby spokój pod cieniem swéj chaty.
„Przy twoim boku walczyłem tak śmiele,
„Tyś mię pochwalał, tyś mi przyszłość wróżył;
„Teraz patrz, królu, czegom się dosłużył:
„Jam tu w ciemnicy, a mój dom w popiele.
„Mój dom... rodzina... poddani... ziomkowie...
„Tam moja ręka, tam potrzebna rada...
„Ratujcie, ludzie! kręci mi się w głowie..."

XI.

Więzień na ziemię bezprzytomny pada,
Znękaném czołem o mury uderza,
I tak spoczywa w omdleniu czy we śnie,—

Aż kiedy przyjdzie obiad, czy wieczerza,
I dwóch dozorców pojawi się wcześnie,
Ocucą więźnia, usadzą przy stole,
Z oblicza jego uchodzi pomroka...
Czy go na prawdę opuszczają bole?
Czy je ukrywa od ludzkiego oka?

XII.

A obiad skromny: jedyna potrawa,
Puharek wina, czarny chleba kawał.
Dozorca przyszedł, mięso porozkrawał,
Bo noża więźniom zaprzecza ustawa.
Próżno starosta swoją czarką wina
Chciałby się dzielić z swym więziennym stróżem,
Próżno rozmowę jakąś rozpoczyna:
—„Ani jeść z wami, ni rozmawiać możem.
„Lecz w jednym razie, w jednym tylko razie,
„Rozwiążesz nasze i serca, i usta:
„Jeśli zezwolisz, jak pisze w rozkazie,
„Złożyć przysięgę na króla Augusta;
„Wtedy, gdy zechcesz, kazano nam prosto
„Drzwi twojéj celi otworzyć, starosto.“

XIII.

—„Więc jabym wolność, ja wolnośćbym zyskał!—
Rzecze starosta, do głębi wzruszony—
„Więcbym zobaczył kraj ziemi rodzonéj!
„Jabym małżonkę i dziecię uściskał!
„Jabym powitał me obywatele!

„Jabym się modlił w mych ojców kościele!
„To być nie może!... nie... to być nie może.
„A cóż Bóg powie? cóż kraj na to powie?
„Swojéj starszyźnie powiedzcie, panowie,
„Że na Augusta przysięgi nie złożę.
„Tylko poproście, niechaj mi pozwoli
„Zażyć okruchę Anielskiego Chleba:
„Znękane serce tak mię srodze boli,
„Z Bogiem koniecznie rozmówić się trzeba,
„Trzeba Chrystusa, co serca przenika,
„A uleczony na duszy zostanę.
„Proście, niech przyślą do mnie spowiednika,
„Coby mi balsam przyłożył na ranę."
Dozorca odszedł—powie, czy nie powie,
A dusza zawsze spragniona pociechy.
Starosta upadł na twarde wezgłowie,
W myślach oblicza swojéj duszy grzechy.
A myśl zbłąkana... O! niech prędzéj śpieszy,
Kto go w imieniu Chrystusa rozgrzeszy!

XIV.

Więzień zaniemógł— to krasny, to blady,
O dziwnych rzeczach gorączkowie gwarzy;
Przysłano k'niemu najpierwszych lekarzy,
Ale starosta odrzucił ich rady;
Tylko o Polsce nieprzytomnie bredzi,
Tylko kapłana prosi do spowiedzi.

XV.

W końcu, coś we dwa czy we trzy tygodnie,
Nadjechał kapłan, przysłany ze Drezna.

Więzień, co zda się nikogo już nie zna,
Na jego widok odetchnął swobodnie,
Przytomniéj spojrzał—jego oczy płoną,
Gdy Przenajświętszy Sakrament wniesiono.
I długo, długo zakonnik go badał,
I długo, długo więzień się spowiadał.
Dziwne uczucia czytał w jego twarzy
Szyldwach z daleka stojący na straży:
Była tam święta uległość pokory,
Było promienne podniesienie ducha,
Był gniew na twarzy, do wybuchu skory,
Znów chrześciańska uległość i skrucha;
Kilkakroć głośniéj powtórzył z zapałem:
—„Ja nie przysięgnę, bo go nie wybrałem!“
—„Synu! — rzekł kapłan — czyń, jak ci się zda-
„Ja dopełniłem, co mi polecono. [wa,
„Losy monarchów i narodów prawa
„Nie nam tu grzesznym rozwiązywać pono.
„On niechaj weźmie w przenajświętszą pieczę
„Twoje uczucia, jak obywatela.
„Teraz przeze mnie za grzechy człowiecze
„Kościół ci swoich rozgrzeszeń udziela:
„Odejdź w pokoju!“
Starosta uklęka,
Bije się w piersi, pokutuje w myśli.
Kapłan się modli,—namaszczona ręka
Nad siwą głową krzyż łaski nakréśli,
I uroczyście klęczącemu w skrusze,
Chlebem żywota posila mu duszę.

XVI.

Lżejszy na sercu po wytrwaniu proby,
Więzień nie wrócił na łoże choroby.
Twarz pokraśniała—oczy po iskierce
Nabrały blasku powoli, powoli;
Pan Bóg wytrwaniem namaścił mu serce,
Umocnił hartem niezachwianéj woli.
Nad jego głową już trzy gwiazdy świecą:
Dobréj Nadziei, Miłości i Wiary; —
Tylko że myśli nieprzytomnie lecą
Gdzieś na dalekie ojczyste obszary;
Tylko z daleka w snach doń się uśmiecha
Koło sejmowe i napaść zbójecka,
Wioska rodzinna i domowa strzecha,
I młoda żona, i pieszczoty dziecka,—
I tyle, tyle znajomych mu osób,
Na sejmie, w wiosce, w kościele, we dworze...
O! takich marzeń odpędzić nie sposób,
Lub je odpędzać to ciężki grzech może!
Może tym kształtem ziemia ojców miła
Swe pozdrowienie więźniowi przysyła.
Lecz spokojniejszy więzień po spowiedzi,
Już wewnątrz serca zasklepił swe rany,
O swoim kraju już przez sen nie bredzi,
Rycerskiéj głowy nie tłucze o ściany;
Tylko gdy oknem spojrzy na poddasze,
Słabość ogarnia jego duszę wzniosłą:
—„Och! gdyby motyl, gdyby małe ptaszę
„Pod skrzydełkami wieść ztamtąd przyniosło!“

XVII.

Może myślicie, że hańba dla męża,
Kiedy się czasem zamarzy, rozszlocha?
Ale nie wiecie, że ducha natęża,
Kto silnie wierzy i serdecznie kocha;
Ale nie wiecie, że Niebo zabrania
Wiary bez marzeń, a bez łez kochania.

XVIII.

Gdyby choć papier... O znikoma karto!
Ty jesteś wszystkiém po szczęścia utracie.
Kiedy nam serce boleśnie wydarto,
Miła krwi kropla, co wytryska na cię.
Gdy biedną głowę, co najświęciéj marzy,
Nadzieja zdradzi, a wiara omami,
Jakaż pociecha dla biednych nędzarzy
Myśl we łzach skupić i kartę zlać łzami!
Tu każda kropla, czy łzawa, czy krwawa,
Boleść umniejsza, nadziei dodawa.

XIX.

W bitwach, na sejmach, puhar wychylany
Orzeźwiał myśli i krew biła raźniéj;
Lecz tu w więzieniu, między czterma ściany,
Straszno rozogniać choréj wyobraźni.
Raz chciał starosta użyć Bacha darów,
Smutek utopić w rzeźwiącym nektarze:

Żażądał wina—i kilka puharów
Za jednym razem przyniosły mu straże.
Łapczywie chwycił i pił ciągiem długim,
Chylił puhary w ślad jeden za drugim,
I sam nie wiedział, z pragnienia, czy z chęci,
Aby się na dnie dopić niepamięci.
Lecz niepamięci próżno żąda człowiek,
Kiedy wspomnienia mózg i serce palą: —
Nawet sen słodki nie obciążył powiek,
Tylko krwi potok rozigrał się falą,
Latają w oczach obrazy złowieszcze,
Lecz krwawsze jeszcze i czarniejsze jeszcze.
A kiedy chora paliła się głowa,
Gdy twarz skraśniała, gdy mu drżały usta,—
Rozkaz mu służba przyniosła zamkowa,
Aby przysięgał na króla Augusta.
Odtrącił rozkaz i puhar odtrącił,
Dłońmi zacisnął głowę, co go boli,
I jasnéj myśli już winem nie mącił —
Poznał, że wino trucizną w niedoli;
Tylko się w drzemce niespokojnéj miota,
Tylko mu cięższa do swoich tęsknota.
—„Wy moi drodzy! wy moi dalecy!
„Choć wiatr niech o was wiadomość udzieli!...“
W tém zapukano do więziennéj celi,
I wszedł ponury dowódca fortecy.

XX.

—„Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi?
„Jak wam smakują niewolnicze pęta?

„Nie chcecie wiary przysięgnąć królowi,
„A król jegomość zawsze was pamięta;
„O ile pańska pozwala mu władza,
„Więzy rozwalnia i los wasz osładza.
„Oto i teraz naszych wojsk kolumny
„Pojmały ptaszka—och! koléj z nim długa!
„Jak wy, zuchwały, niespokojny, dumny,
„Pan Piotr Olędzki, dawniejszy wasz sługa,
„Rozbijał w Polsce naszych wojsk oddziały,
„Krył się po lasach, wypadał jak zbójca;
„Lecz potrafiono pochwycić mołojca
„I porozpędzać jego hufiec cały.
„Więc go sądzono do téj saméj celi,—
„Wasz sługa z wami niewolę podzieli."

XXI.

Drzwi się otwarły—i w podartéj szacie
Wpadł Piotr Olędzki z bliznami na czole.
—„Pan Piotr!"
—„To pan mój!"
—„Ha! jak się miewacie?
„Dla czegoś, głupcze, dał się wziąć w niewolę?"
—„Kozak nas zdradził—to i mówić szkoda.
„Ale ja pana nie poznałbym z dali...
„Ta długa broda..."
—„Ho! ta długa broda—
„Jużbym ogolił, lecz brzytwy nie dali.
„Lecz co tam słychać?... Moja biedna żona?..."
—„O! biedna pani! nie wytrwać jéj sile:
„Może skonała—może teraz kona."

—„A moje dziecię?“
—„Dawno śpi w mogile;
„Umarło biedne... Przyczyna zbyt prosta:
„Wiadomo—słabe niemowlątek zdrowie;
„Wiatr zawiał w szybę... widzi pan starosta,
„Szyby potłukli w domu Saksonowie.“
—„A wioska moja?“
—„Wioska na Stawiszczu
„Już po pożarze buduje się nieco:
„Szlachta osiadła na spaloném zgliszczu,
„Lecz poddanego nie znajdziesz ze świecą,—
„Wszyscy uciekli... niechaj Pan Bóg broni,
„Co tam po wioskach broili Saksoni!
„Dzielniem ich plażył—to aż śmiech porywa,
„Co im na plecach popisałem znaków!
„Jak ze stu ludzi gromada pierzchliwa
„Od kilku naszych zmykała kozaków!
„Lecz przebacz, Panie! zdradą a nie siłą
„Dałem się ująć, dałem się i kwita:
„Sprzedał nas Kozak, Brzozowiec Kiryło;
„Gdy cała sotnia spała jak zabita,
„Z jednéj i z drugiéj, z trzeciéj, z czwartéj strony
„Na śpiący obóz napadły Saksony.
„Jedna rzecz tylko dręczy mię, niestety,
„Że zapomniałem postawić pikiety!
„Gdyby pikieta! tożbym kapitalnie
„Pogrzmotał groźnych saksońskich wąsali!
„Dopóki Niemiec z pistoletu palnie,
„Harap kozacki z siodła go obali.
„Lecz co się stało, to już nie odstanie.
„Dam hartu Niemcom—ich niedoczekanie!“

—„Cóż na sejmiku szlachta i panowie?“
—„Stanisław w mowie, a August im w głowie.
„Nasza obrada... wiadomo obrada;
„Ten będzie królem, który wojskiem włada.“

XXII.

—„Boże mój, Boże! czyż to prawda szczera?“—
Jęknął starosta z głębi swego łona:—
„Dziecię umarło, a żona umiera,
„Wioska w popiele, a bracia spodlona!...
„Och! gdyby wrócić! odżyłbym na nowo,
„Żonębym wskrzesił z śmiertelnéj pościeli,
„A braci szlachcie takie rzekłbym słowo,
„Że zdradzić króla nigdyby nie śmieli.
„Przeklęte mury, straszliwa pokuta,
„Usta zamknięte, a dłoń moja skuta!
„Puśćcie mię, puśćcie, choć na jedną chwilę,—
„I sam się wzmogę, i mój kraj zasilę!“

XXIII.

—„Panie starosto! wyrzecz jedno słowo,
„A twoje więzy w jednéj chwili prysną:
„Uznaj nad krajem władzę Augustową,
„Zrzuć z twego serca zemstę nienawistną.
„Wskrzesisz twą żonę, która dogorywa,
„Zbadasz na sejmie twego kraju losy;
„A twoja niwa, twoja piękna niwa,
„W żytnie i pszenne odrodzi się kłosy.

„A za cierpienia, a za twoje szkody,
„Bóg cię obdarzy szczęściem niespodzianém:
„Król tobie nada godność wojewody;
„Jak hetman umrze, zostaniesz hetmanem;
„A w Polsce starostw dużo, bardzo dużo—
„Co zechcesz wybrać, do wyboru służą.“
Wzdrgnął się starosta—spojrzał po za plecy:
—„Precz, kusiciele! precz mi ztąd, pochlebce!“
To sonnenburskiéj komendant fortecy
Słowa nadziei do ucha mu szepce.
Starosta skraśniał, chciał jąć się pałasza,
Pas z lewéj strony potargał w zapędzie;
Lecz broń odjęta!...—„Idź precz, miłość wasza!
„Elektor saski mym królem nie będzie.
„Niech co chcą czynią rodacy swawolni,
„Od moich przysiąg nikt mię nie uwolni.“

XXIV.

—„Jak się podoba, jak się wam podoba;
„Nikt wolnéj woli nie przymusza przecię.
„Będziecie w zamku pokutować oba,
„Jeśli przysięgi wykonać nie chcecie.
„Czyńcie już sobie, jako wasza łaska.“
Tak rzekł komendant i drzwiami zatrzaska.

XXV.

Znów się poczęło między czterma ściany
Okropne życie—wieczność nieprzebyta,

Noce bezsenne, dzień nieprzeczekany,
Potém noc znowu, potém ranek świta.
Och! nim przez okno do więzienia wpadnie,
Wolałby w morzu utopić się na dnie.
On dzień zwiastuje—a dzień taki długi!
Co począć z życiem, gdy działać nie może?
W południe obiad przyniosą ci sługi,
Wieczorem szyldwach przetrząśnie twe łoże.
Zda się szyderstwem, kiedy dźwięk zegaru
Jakiéjś godziny przedstawia odbicie.
Dla trupa w grobie czas nie ma rozmiaru,
A życie więźnia—to umarłe życie.
Gdzie wszystkie czynu zerwane ogniwa,
Każda godzina *wieczność* się nazywa.
Ale towarzysz, w więzieniu towarzysz:
Z nim swoich ludzi, z nim wspomnisz swe strony.
Ho! bywa czasem, tak się z nim rozgwarzysz,
Że dzień upływa ani postrzeżony.
Lecz myśl, gdy leci w nadpowietrzne kraje,
Z aniołem stróżem gdy chcesz się rozgadać,—
On ci o śniegu przeszłorocznym baje,
I puste rzeczy będzie rozpowiadać.
Wtedy ci droższa twa samotna cisza,
Choć słuchasz brata, szanując w nim człeka;
Przykreć gadanie twego towarzysza,
Chciałbyś mieć celkę od niego z daleka,
Chciałbyś sam dźwigać jarzmo swéj niewoli,
Chciałbyś sam cierpieć, kiedy serce boli...
Tak myślał więzień; ale trudna rada,
Wszak władza wieszczów nie każdemu dana:
Gdy trzeba milczeć—to pan Piotr zagada,
Gdy trzeba mówić—on milczy jak ściana;

Gdy myśl uleci ku domowéj strzesie,
On cię obrazy powszedniemi mami;
Gdy cię modlitwa do Niebios uniesie,
On zimno rzecze: „Zmiłuj się nad nami!“
Chciałeś go podnieść i bujać z nim w niebie,
A on myśl twoją zniżył aż do siebie.
Tysiąc jest w świecie moralnych niewoli,
Tysiącem bolów nasze serce boli.
Lecz kiedy cierpim, — miłosierny Boże,
Daj nam żyć myślą swoją a nie cudzą:
Przyjaciel, żona, domownik, pies może,
Złamią nam wiarę i miłość ostudzą;
Wtedyby, Panie, my ludzie zuchwali
I w Twoją miłość wierzyć zaprzestali.
Na co nam w życiu towarzysz powszedni?
Gdy mamy cierpieć — cierpmy sami jedni!

XXVI.

Wreszcie do swojéj niewoli przywyka,
Bo go towarzysz broni od rozpaczy:
Dźwięk ojczystego w obczyźnie języka
I to coś znaczy — ach, to wiele znaczy!
Gdy w myśli chwila spokoju zaświta,
Uczucie serca tu nie czuje tamy,
Można się z ziomkiem nagadać do syta
O tych, co znamy, o tych, co kochamy,
I uobecnić znajome postacie,
Odświeżyć dawne radości i biedy,
Odżyć wspomnieniem: „Czy pamiętasz, bracie,
„Jak to bywało wtedy, albo wtedy?“

Ten, kto zbyt ciężką niedotknięty probą,
Ten marzy przyszłość—kto ma czyn przed sobą;
Ale dla więźnia, który nic nie czeka,
Dobrym jest skarbem i przeszłość człowieka.

Ze starym sługą w pośród pogadanek
Nieraz schodziły całe dni i noce,
Nieraz noc przeszła i zaświtał ranek.
Szyldwach napróżno pałaszem stukoce,
Ciszę zaleca — ale gdzież tam cisza!
Kiedy zabłyśnie choć promyk wesela,
Więzień szczęśliwy, że ma towarzysza.
Nawet i śmiechem rozlega się cela,
Kiedy przypomną dawniejsze swe czasy,
Bitwy, pamiętne i wioskom i miastu,
Jak to przed nimi uciekały Sasy,
Jak jeden Kozak schłostał ich dwunastu,
Jak to po lasach kryła się piechota,
Jak to rajtarów wpędzono do błota...

XXVII.

Ale niewola toć zawsze niewolą,
Więzy, choć z kwiatów, ale niemniéj bolą;
Zawsze bolesne łańcucha ogniwa,
Który nam ręce do czynu skowywa.
Kiedy nas w trumnę kładą za żywota,
A jeszcze w piersiach święty ogień gore,
Nie dziw, że człowiek boleśnie się miota,
Aby odwalić gniotącą zaporę.

Ale gdy nadto sklepiste są ściany,
Czy wieko trumny, czy wązkie drzwi celi,
Niepożyteczną walką zmordowany,
Gorzko złorzeczy tym, co go zamknęli.
Wiedział starosta, że przez jedno słowo
Mógłby potargać swych więzów ogniwa,
Mieć w każdéj chwili swobodę gotową,
I lecieć w stronę, gdzie duch się wyrywa,
Wskrzesić małżonkę, co kona w niedoli,
Podźwignąć dom swój, co w zgliszczach upada,—
Przez jedno słowo — lecz tém słowem: *zdrada!*
A on na zdradę nigdy nie zezwoli.
Lepiéj, spełniając, co do czci należy,
Skonać z tęsknoty w sonnenburskiéj wieży.

Mniemał dowódca, że kiedy dobodzie,
Łacniéj starosta ugnie się przed probą:
Siedzieli więźnie o chlebie i wodzie,
Nawet im mówić zakazano z sobą,
Wodzono na mszę tylko w wielkie święto,
Nawet im książkę modlitew odjęto;
Lecz im się bardziéj męczarnia wytęża,
Tém się duch silniéj zahartował w obu.
Wreszcie król August uszanował męża,
Kazał rozszerzyć przestrzenie ich grobu:
Celę przy celi otworzono drugą,
Przyozdobiono ich pościel ubogą,
Dano im książki — i już pan ze sługą
Gwarzyć, czy pisać, czy modlić się mogą.
Wreszcie raz jeden dowódca zamkowy
Z temi do niego odezwał się słowy:

XXVIII.

—„Powiedz, starosto, dla czegoście gniewni?
„Czemuście twardzi przy waszym obiorze?
„Król, co cię skarał, pożałować może,
„On wam stracone dostatki zapewni.
„Już się kraj wszystek królowi poddawa,
„Nowe przymierza król zawarł dokoła;
„A wasz Stanisław do swojego prawa
„Nigdy nie wróci i wrócić nie zdoła:
„Więc mimo wszystkie waszych ustaw księgi,
„Wolni jesteście od waszéj przysięgi.“
—„Któż przekonanie moje zabezpieczy,
„Że naszym królem jest saksońskie książę?
„Dałem przysięgę Pospolitéj Rzeczy,
„Ona mię tylko od przysiąg rozwiąże.
„Dopóty śluby moje nie ustały
„W obliczu kraju, króla i kościoła,
„Aż wreszcie prymas przez uniwersały
„Szlachtę na pole elekcyjne zwoła,
„Aż wszystkich społem niezmuszone usta,
„Łaską i wolą kierując się bożą,
„Królem ogłoszą Trzeciego Augusta
„I prawnie z tronu Stanisława złożą.
„Gdy król przysięgnie na *pacta conventa*,
„Wywiedzie z kraju saksońską załogę, —
„Wtenczas przysięga to powinność święta,
„Wtenczas się od niéj wyłamać nie mogę,
„I będę wierny Augustowéj sprawie,
„Krew zań wyleję i piersi nadstawię,

„Niech będzie świadkiem mego domu zgliszcze,
„Grób mego dziecka i ta siwa broda,
„Że póty waszych żądań nie uiszczę,
„Póki mi prawo rękojmi nie poda.“
—„Próżno, starosto, króla obrażacie
„Tą upartością waszą niesłychaną.
„A gdyby krzesło dostojne w senacie?
„Gdyby wam godność wojewody dano?
„Pan mój łaskawy—kto mu wiernie służy;
„A jego serce zawziętości nie zna.
„Dam ci pieniądze na koszta podróży:
„Jedź go przebłagać, jedź, panie, do Drezna.“
—„Godności nasze—rzekł starosta dumnie—
„Tylko dla zasług kraj na sejmie dawa;
„A żadnych zasług jeszcze nie masz u mnie,
„Ja w zasłużeńszych nie wdzieram się prawa.
„Pieniędzy saskich dla mnie nie potrzeba:
„Dajcie swobodę... swobodę jedynie;
„Pójdę o kęsku żebranego chleba
„Płakać na domu mojego ruinie.“

XXIX.

—„Ha! trudna rada—rzekł dowódca wreszcie—
„Godna spraw lepszych takowa odwaga.
„Słuchaj, starosto:—swobodni jesteście!
„Król żadnych przysiąg od was nie wymaga.
„Jednego od was domaga się przecię,
„Na co mi słowo zaraz dać należy:
„Że wojska saskie szanować będziecie,
„Co stoją w Polsce na zimowéj leży.
„Bo gdy trwać w dawnym będziecie zamiarze,

„To was osądzić jak zabójcę każe.
„Wolni jesteście—podwoje otwarte;
„Znów macie prawo przypasać pałasza.
„Od waszych komnat odprowadzam wartę,
„I idźcie z Bogiem, dokąd wola wasza.“
—„Wolny?! swobodny?! więc ja wyjść ztąd mo-
„Do mego kraju wnet puścić się w drogę? [gę?
„Mogę ocalić małżonkę, co kona?
„Na moich ziomków rzucić się ramiona?!... —
Krzyknął starosta z radośnym zapałem.—
„Nie! być nie może!... ja nie dosłyszałem...
„Lub wy słów moich nie pojęli może:
„Bo ja Sasowi przysięgi nie złożę.“
—„Król miłościwy, pewien swéj potęgi—
Dowódca zamku obrażony powie—
„Żadnéj już od was nie pragnie przysięgi,
„Wolność powraca wam bezwarunkowie.
„Jesteście wolni, i wy, i wasz sługa,
„Jedźcie do wioski, wracajcie do pługa.“

Obaj więźniowie padli na kolana,
Jak gdyby jedna popchnęła ich siła.
Modła dziękczynna, z ich duszy wylana,
Pierwszy swobodny oddech orzeźwiła.

EPILOG.

Pochmurnym dzionkiem, po jesiennéj grudzie
Bije stuk kopyt o drogę przestronną.
W rysich opończach dwaj rycerscy ludzie
Pod wielką wioskę zbliżają się konno.

—„Panie Olędzki,—starszy z nich zapyta,
Co miał rumaka dzielniejszego nieco:—
„Czemu to żadna chata niepokryta,
„A rzadko w któréj małe szybki świecą?
„Wszystko tu widzę zniszczoném, obdartém,
„Nawet gospoda nie świeci z daleka.“
—„Ej, panie, panie! umocnij się hartem:
„Co krok to nowa niespodzianka czeka.
„Ludzie z wsi poszli kędyś w strony insze,
„Więc i pustkują dawniejsze ich chaty.
„Tu kilku szlachty osiadło na czynsze,
„A to—wiadomo—naród niebogaty.
„Gdzież to po wojnie pilnować wygody?
„Gdzież to naprawiać takie wielkie szkody?
„Otoż... po polu bydło się wałęsa,
„Chwast ogryzając na dwornym poparze...
„W stodołach siana nie masz ani kęsa,
„Wszystko Sasowie wzięli na furaże.
„Ot dworzec pański... tam same ruiny...
„Panie starosto, nie patrzaj w tę stronę:
„Z kupy popiołu sterczą trzy kominy
„I cztery brzozy ogniem opalone.
„Konie dom czują—już ochoczéj lecą;
„Dzielnie parskają! oj, będąż nam radzi!
„Dzielne koniska, poczekacie nieco,
„Nim was do stajni służba odprowadzi...
„Strzygą uszami—już marzą o sianie,
„Ale po Sasach pewno go nie stanie...
„Oj! za to wszystko warciż oni, warci...
„Lecz pan dał słowo, że bić ich nie będzie!!...
„Ot idą ludzie... a jacy odarci!
„Na taką nędzę aż strach spojrzeć wszędzie.

„I po stodołach, i w domach, i w bydle,
„Wszędzie brak cierpią szlachta i poddani...
„Dzień dobry, człeku! gdzie niesiesz te rydle?"
—„Idziem na cmentarz grób kopać dla pani,
„Tydzień jak zmarła, lecz nie było cieśli,
„Wyciosać trumnę nie było tu komu.
„Stała w ogrodzie w opuszczonym domu,
„Dzisiaj ją z rana do kościoła wnieśli!..."

Krzyknął starosta—zachwiał się i blednie,
Zesłupił oczy, jak gdyby umarły;
Lecz żadne żale, ni jęki powszednie
Już się z rycerskiéj piersi nie wydarły.
Gniew lekką chmurką zwisnął mu u czoła,
Tłumioną groźbą ścisnęły się pięście.
Jak wiatr poleciał ku stronie kościoła:
Tak mu tam pilno sprawdzić swe nieszczęście,
Tak mu tam pilno na zimnéj podłodze
Gorące czoło zahartować mocą,
I swéj żałości popuściwszy wodze,
Bogu powierzyć swą skargę sierocą,
Świecę pogrzebu ponieść przed innemi,
Na lube oczy nasypać garść ziemi...

* * *

Już nie powrócił do swych ojców domu,
Nie zasiadł w gronie współobywateli;
Zniknął z ojczyzny—a ludzie widzieli,
Jak w kraje pruskie przeszedł po kryjomu.
Na ziemi obcéj, w ponuréj rozpaczy
Skończył starosta swój żywot tułaczy.

1857. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY W TOMIE II.

UTWORY EPICKIE.